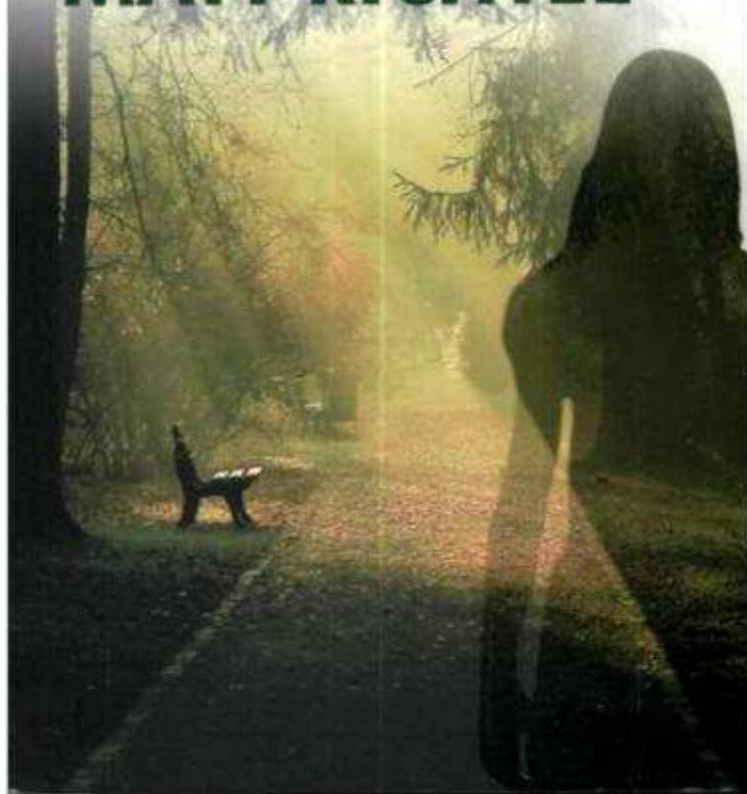


W POTRZASKU

THRILLER O MIŁOŚCI
I INNYCH UZALEŻNIENIACH

MATT RICHTEL





MATT RICHEL

Eksplozja w kafejce internetowej w San Francisco zaczyna się wizjonerska powieść ery cyfrowej – pełen nieoczekiwanych zwrotów akcji thriller o miłości i typowym dla współczesnego społeczeństwa uzależnieniu od nowoczesnych technologii, osadzony w słynnej amerykańskiej Dolinie Krzemowej. Jeden z recenzentów powiedział o nim: *Kiedy przeczytałem tę powieść, rozstrzelałem swój komputer.*

Kładąc mu na stoliku liścik *Natychmiast wyjdź!*, nieznaną kobietą ostrzega młodego dziennikarza Nathaniela Idle'a, by bezzwłocznie opuścił kawiarnię. Nat wybiega na ulicę, a lokal wylatuje w powietrze. Mężczyzna jest przekonany, że pismo zostało skreślone ręką jego nieżyjącej narzeczonej Annie Kindle, która kilka lat wcześniej zginęła w wypadku na morzu. Utracona miłość staje się jego obsesją. Porzuca pisanie artykułu na temat wpływu fal radiowych na mózg człowieka i próbuje rozwiązać tę niezwykłą zagadkę. Pomaga mu Erin, śliczna kelnerka, która także uszła z życiem z wybuchu. Czy wiedziała, co się zdarzy? Zdaniem policji nie jest całkiem niewinną osobą, być może ma na koncie jakieś podpalenia. Sytuacja się zagęszcza, gdy w ogniu staje dom kolejnej osoby ocalałej z eksplozji – początkującego pisarza...



W POTRZASKU

THRILLER O MIŁOŚCI
I INNYCH UZALEŻNIENIACH

MATT RICHTEL

Z angielskiego przełożyła
ANNA KOŁYSZKO



Tytuł oryginału:

HOOKED. A THRILLER ABOUT LOVE AND OTHER ADDICTIONS

Copyright © Matt Richtel 2007 All rights reserved

This edition published by arrangement with Grand Central Publishing New York, USA

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Anna Kołyszko 2009

Redakcja:

Joanna Schoen

Zdjęcie na okładce:

Michał Mierzejewski

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-712-9

Dystrybucja

Firma Księgarska

Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t/f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2009. Wydanie I

Druk: OpolGraf S.A., Opole

Rodzicom

1.

W moim przekonaniu nowe życie zawsze rozpoczyna się bez wstrząsów, zwiastowane przez skomlenie. Dlatego huk powinien być dać mi do myślenia.

Głównie pamiętam drobiazgi.

Ze szklanki kawy mocha spływał nadmiar piany. Jakaś para klóciła się, czy wpisać wyciskarkę do soków Mighty OJ na listę upragnionych prezentów ślubnych. Przywiązany przed kawiarnią rottweiler stał na tylnych łapach, przednimi napierając na witrynę.

Kiedy mnie mijala, właśnie czytałem nudny opis rzeki płynącej przez Boston, przelatując w poczuciu winy ten opis przyrody, żeby czym prędzej wrócić do fabuły. Nie zwróciłbym uwagi na tę kobietę, gdyby nie zostawiła złożonej kartki na rogu mojego stolika. Zauważyłem, że ma zgrabne dłonie i pierścionek na wskazującym palcu. Spojrzałem na świstek papieru. Czy to podryw?

Kiedy podniosłem wzrok, kobieta już była jedną nogą za drzwiami z siatki. Maszerowała zdecydowanym krokiem, nie oglądając się za siebie. Założyłem stronę w książce, zaginając róg, podniosłem kartkę i ruszyłem za nieznajomą.

Rozejrzałem się po ulicy. Młodzi, napływowi mieszkańcy San Francisco, którzy rozpanoszyli się w tutejszej Marina District, spacerowali w designerskich okularach lub pchali designerskie wózki dzieciinne według najnowszej mody, delektując się przejrzystym lipcowym popołudniem. Zobaczyłem przez tłum, że kobieta wsiada do czerwonego saaba zaparkowanego przed barem Pita Parlor.

Chciałem zawołać, ale coś mnie powstrzymało. Postanowiłem dać jej sygnał gestem, lecz zdążyła wsiąść do samochodu i ruszyła, zanim zbliżyłem się na odległość, która pozwoliłaby mi krzyknąć bez zwracania powszechnej uwagi. Spojrzałem na trzymany w ręce, wytłaczany beżowy arkusz papieru listowego. Rozłożyłem go i zobaczyłem jedno zdanie, które ryknęło, jakbym je usłyszał z megafonu:

„NATYCHMIAST wyjdź z kawiarni!”.

W tej samej chwili nastąpił wybuch.



Dym. Alarmy samochodowe. Szkło, popiół, obłok pyłu. W głowie dudnił mi łoskot, jakby nadjechał pociąg towarowy wiozący kaca. Chyba ani na chwilę nie straciłem przytomności. Porwany siłą eksplozji przeleciałem kawałek w powietrzu i upadłem na chodnik, nie odnosząc żadnych obrażeń.

Widziałem filmy z terenów objętych wojną, kiedy wali się cały świat. Tutaj wcale tak nie wyglądało. Krótka chwila niewiarygodnie potężnego wstrząsu, a potem tylko mgła. Krwawa wersja sytuacji, w której mój ojciec cisnął na podłogę garnek z nierdzewnej stali, żeby mój brat zaczął go słuchać.

Szyba w oknie kawiarni roztrzaskała się w drobny mak, boczna ściana popękała, i chociaż nie legła w gruzach, wystawały z niej teraz metalowe i betonowe wnętrzości. Przez drzwi z siatki wyszła para ludzi. Mężczyźnie zwiślała bezwładnie jedna

ręka, kobieta ledwo powłóczyła zakrwawionymi nogami. Właściciel rottweilera sprawdzał, czy pies nie został ranny.

W obecnych czasach od razu na myśl przychodzą terroryści.

Ja jednak w pierwszej chwili pomyślałem o Annie.

Rzadko przestawałem o niej myśleć, chociaż minęły cztery lata od wypadku, w którym zginęła, w wieku dwudziestu ośmiu lat. Najczęściej myślałem o niej w momentach przejściowych — kiedy wstawałem rano, kładłem się wieczorem do łóżka lub podczas długich jazd samochodem między wywiadami. Świadczyło to nie tyle o mnie, ile o nas. Właśnie w chwilach spokoju, kiedy życie przelewa się bezładnie, najbardziej pragnąłem skupić się na czymś konkretnym.

Nie twierdzę, że łączył mnie z Annie idealny związek, ale z pewnością oznaczał w moim odczuciu miłość, a poza tym trwał. Annie zawsze ssała odświeżające miętusy, przez co jej pocałunki miały pikantny smak. A zapach cynamonu nieodmiennie napawał mnie smutkiem. Czasem nocami opowiadałem jej w myślach na głos różne historie i próbowałem odgadnąć, w którym momencie poprosi mnie sennym głosem, żebym się streszczał.

Kiedy jednak cienka warstwa kurzu opadła, pomyślałem o Annie nie tylko z tęsknoty. Spowodowała to kartka podsunięta mi przez nieznaną. Pismo Annie poznałbym nawet na końcu świata.



— Czy może pan ruszać nogami?

Jak przez mgłę dotarło do mnie to pytanie zadane mi przez kłęczącego nade mną policjanta. Machnąłem ręką na znak, że nic mi nie jest. Dźwignąłem się, a on pomógł mi wstać, ujmując mnie pod łokieć.

— Musimy pana stąd wynieść.

Wracała mi przytomność, a wraz z nią dźwięki, kolory i... poczucie chaosu. Policjanci i strażacy, urywki rozmów w radiu, helikoptery. Czuję się jak reporter wojenny przygotowujący materiał do wieczornych wiadomości.

Policjant wprowadził mnie na teren prowizorycznego ambulatorium dla rannych. Czyżbym oberwał bardziej, niż przypuszczałem?

— *Rzeka tajemnic* — powiedział funkcjonariusz.

Spojrzałem na niego z konsternacją.

— Niezła książka — dodał. — Ale radzę panu zainwestować w twardą okładkę. To dowodzi prawdziwego zainteresowania.

Popatrzyłem na ziemię i zobaczyłem, że leży przy mnie książka, którą czytałem w kawiarni. Po zbiegających kostkach rąk poznałem, że musiałem kurczowo ją ścisnąć jak koło ratunkowe. Ale gdzie jest list? Przeszukałem kieszenie, na próżno. Odwróciłem się i ruszyłem tam, skąd mnie zabrano.

— Czekaj no, bratku. Nie może pan tam wrócić. Za duże ryzyko.

— Zgubiłem kogoś — powiedziałem.

— Kogoś pan zgubił?

— Nie kogoś, ale coś. Bardzo pana proszę.

— Mowy nie ma, żeby pan teraz po cokolwiek wracał.

Chwycił mnie silną ręką za ramię, okręcił, odprowadził na betonową alejkę ogrodzoną żółtą taśmą, po czym zostawił na ziemi obok innych poszkodowanych.



Policjant nazywał się Danny Weller i należał do gaduł. Opowiedział mi o swoim dzieciństwie w Oakland i o tym, jak uczył się z tatą łowić w gumowych woderach ryby w rzece Sacramento. Twierdził, że ojciec miał świetne pióro. Na pozór był tylko związkowcem, a w głębi duszy humanistą, chodzącym

słownikiem. Danny kręcił się obok, bo zlecono mu sprawowanie opieki nade mną.

Słuchałem go w otępieniu, ale jego przyjacielskie głędzenie wcale nie spowalniało huraganu kłębiących mi się w głowie pytań. Kto mógł to zrobić? Czy ktoś próbował ocalić mi życie? Czy ten ktoś ma związek z Annie?

I co się stało z pozostałymi osobami w kawiarni? Ilu jest rannych? Ilu zabitych? Te ostatnie pytania zadałem na głos.

— Mamy trzy ofiary śmiertelne i dwie osoby w stanie krytycznym — odparł Danny. — Nieco mniejszy cud, niż wydawało się na początku.

— Jak to?

Spojrzałem na pół tuzina ludzi z większymi lub mniejszymi obrażeniami, siedzących na ulicy wokół mnie. Każdemu asystował ktoś z policji i pogotowia ratunkowego. Niewiarygodne, że w ogóle ktoś ocalał.

— Wybuch ograniczył się do jednej części kawiarni. Jest lepiej, niż z początku sądziliśmy — wyjaśnił Danny. — Jeszcze nie zdołaliśmy ustalić, czy to był zamach, czy przypadek spowodowany awarią techniczną.

— Chce pan powiedzieć, że to mogła nie być bomba?

— A dlaczego pan sądzi, że to była bomba?

Przyjrzał mi się badawczo, raczej z ciekawością niż oskarżycielsko.

Po raz pierwszy i ja zmierzyłem go wzrokiem. Zauważyłem włosy i brzuch, jednego i drugiego miał w nadmiarze. Dałbym mu czterdzieści pięć lat. Zniszczone ręce pracownika fizycznego, brak obrączki na palcu, chociaż w dzisiejszych czasach to jeszcze o niczym nie świadczyło. Do tego łagodne, melancholijne oczy, które przypominały mi czarno-czekoladowe szklane oczy niedźwiedzia polarnego z gabinetu wypychacza zwierząt, gdzie odbywałem praktykę wakacyjną przed ostatnim rokiem studiów.

Zanim odpowiedziałem Danny'emu, ukląkł przy mnie ratownik medyczny.

— Chyba nic mu nie jest — powiedział Danny. — Podczas wybuchu znajdował się na zewnątrz.

— Obejrzę go — rzekł ratownik i uniósł mi podbródek, żeby zajrzeć w oczy. — Muszę panu zadać kilka podstawowych pytań. Proszę o wyrozumiałość. Jak się pan nazywa?

— Nathaniel. Nathaniel Idle.

— Nat Idle — powtórzył policjant. Wcześniej przedstawiłem mu się z imienia, ale nie z nazwiska.

Ratownik i ja odwróciliśmy się w jego stronę. Danny umknął wzrokiem, jak zły pokerzysta, który nie potrafi ukryć emocji. Przyznam, że wcale mnie to nie zdziwiło.

Przed rokiem, kiedy zbierałem materiały do artykułu na temat epidemii HIV w środowisku przyjezdnych prostytutek, trafiłem na niepokojący sygnał. Wielu funkcjonariuszy przydzielonych do rozbicia miejscowych burdeli zaczęło korzystać z ich usług, zamiast postawić osoby gwałcące prawo przed wymiarem sprawiedliwości. Pewien gliniarz, dowiedziawszy się, że mógł tą drogą złapać HIV, pobił latarką dwudziestoletnią malezyjską prostytutkę. Ten gliniarz, Timothy Aravelo, wraz z dwoma kolegami został skazany.

Wielu funkcjonariuszy publicznie nie szczędziło mi pochwał, zgodnie z wymogami poprawności politycznej. Prywatnie jednak twierdzili, że przesadziłem, wywlekając utarczki domowe jednego złego gliniarza i obracając je w krucznię. Zaliczyli mnie do przedstawicieli mediów żądnych sensacji i idących na łatwiznę.

— Nie widzę żadnych złamań, a jedynie powierzchowne otarcie na czole, zadrapania kolan, łokci i dłoni wskutek silnego upadku — orzekł ratownik,

— Gratuluję przytomności umysłu — powiedział Danny.

Ratownik sądził, że te słowa są skierowane do niego. Ja jednak wiedziałem, co Danny ma na myśli.

— Dziękuję — odparłem. — Mimo wszystko coś tu nie gra. Bardzo to było dziwne i...

Danny mi przerwał.

— Wstępnie przesłuchujemy wszystkie osoby znajdujące się w tym rejonie. Chcielibyśmy spisać ich wrażenia na gorąco. Pan jest następny.

Przyciągnął mnie do siebie, nachylił się do mojego ucha.

— W normalnych okolicznościach porucznik Aravelo zadałby panu kilka uprzejmych pytań i poklepał po plecach. Nie wykluczam jednak, że akurat on może potraktować pana surowiej.

2.

Policja urządziła prowizoryczne centrum dowodzenia pod namiotem rozstawionym przed restauracją Kuma Sushi.

Siły porządkowe, zwłaszcza wojsko, często oskarża się o to, że się ją spustoszenie — niszczą domy, drzwi wejściowe, całe wioski. Mnie natomiast imponuje cechująca ich nie mniejsza umiejętność budowania. Wystarczy dać do rąk dobrze zmotywowanemu oddziałowi wojska łopaty, drągi oraz brezent na zadaszenie i ściany, a w ciągu godziny powstanie miasteczko namiotowe z męskimi i damskimi latrynami oraz natryskami.

Danny zaprowadził mnie do centrum dowodzenia.

— Wskakuj — powiedział.

Zostawił mnie za żółtą taśmą policyjną okalającą namiot i wszedł do środka, zapewne, żeby zawiadomić kolegów, że przyprowadził im kandydata na następne przesłuchanie. Przypomniała mi się analiza wyborów prezydenckich w roku 1996 dokonana przez mojego fryzjera jedynie pod kątem fryzur obu kandydatów — Dole'a i Clintona. Nieuchronnie patrzymy na świat przez pryzmat naszych codziennych zajęć, kiedy więc tam siedziałem, cudem ocalały z wybuchu, patrzyłem na tę scenę oczyma dziennikarza. Wszędzie dookoła widziałem potencjalne

relacje, załączki reportaży, na przykład widziałem chłopca w przydługiej, poszarpanej koszulce z żabą na plecach grającą na bębnie, który pocieszał zapłakaną matkę.

— Idziemy — powiedział Danny i wprowadził mnie przez przerwę w policyjnej taśmie. — Pan porucznik czeka.

W namiocie pół tuzina policjantów zajmowało się różnymi zadaniami. Kilku wykrzykiwało rozkazy do nadajników walkietalkie, jeden pisał na laptopie, jeszcze inny ustawiał przenośną radiostację, a wszyscy uwijali się w jednakowym napięciu. Byli ćwiczeni na wypadek podobnych sytuacji i teraz zdawali egzamin z wyraźnym poczuciem władzy i determinacją.

Trzymając za łokieć, Danny zaprowadził mnie w kąt namiotu i uprzedził szeptem:

— Powiedziałem mu, kim jesteś i że przeszedłeś szok. Próbowałem go udobruchać, ale nie wiem, czy ci odpuści.

Okazało się, że o odpuszczeniu nie ma mowy.

Najwyraźniej wszyscy Aravelowie byli wielkoludami zrodzonymi z kobiety i górskiego zbocza. Grubokościstej budowy, o barczystym torsie i silnych, potężnych dłoniach typowych dla polityków. Może dlatego skupiłem się na jednym drobnym szczególe — nieproporcjonalnie małym jabłku Adama pana porucznika. Wyglądało na genetyczny feler.

— Dodo — powiedział, świdrując mnie wzrokiem.

Zwróciłem się do Danny'ego.

— Pan porucznik lubi nadawać ludziom ksywki — wyjaśnił.

— Co ma niby stwarzać osobisty klimat, a tak naprawdę pokazuje, kto tu rządzi.

— Nie będziesz już potrzebny, Danny. Spadaj, chłoptasiu — zakomenderował porucznik bez cienia samokrytycyzmu. — Obejdziemy się bez nadzoru.

Danny zacisnął zęby. Odwrócił się na pięcie i odmaszerował, Aravelo zaś przysunął sobie krzesło bliżej.

— Ptak dodo wyginął. Podobnie jak dziennikarze gazetowi. Wybije was Internet, który dociera znacznie skuteczniej do odbiorców.

W San Francisco nawet gliniarze mieli obsesję na punkcie modelu biznesowego, nie wspominając o drugim znaczeniu określenia ptaka „dodo”, czyli debil.

— Po pierwsze, nie mam zamiaru zawalić śledztwa — ciągnął porucznik. — W ciągu kilku godzin agencje federalne, śledczy stanowi, a pewnie też nasza piechota morska z piekła rodem przetrząśnie tu wszystko. Ale na razie komenda główna San Francisco zleciła mi tę sprawę i nie mam ochoty wypuszczać jej z rąk, choćby moja rola miała się okazać błaha.

Zmrużyłem oczy, bo nie bardzo rozumiałem.

— Będę pana traktował jak wszystkich innych, którzy byli w tej kawiarni, nie jak faceta, którego popisy dziennikarskie załatwiły mojego brata. Potrafię oddzielić przeszłość i przyszłość od teraźniejszości.

Widocznie uznał, że jeżeli ktoś wykryje konflikt interesów, odsuną go od potencjalnie największej sprawy w jego karierze.

— To pan pierwszy wspomniał o mojej pracy — powiedziałem cicho.

Aravelo puścił moją uwagę mimo uszu i odwrócił się do protokolanta.

— Zaczynj notować — rzekł, po czym zwrócił się znów do mnie. — Co pan dziś robił w kawiarni?

Pytanie było niewinne, ale zadane niemiłym tonem.

— Siedziałem i czytałem książkę.

— Po to pan przyszedł do kawiarni?

— Jak powiedziałem.

Aravelo przyjrzał mi się.

— Nie, powiedział pan, że siedział i czytał, a nie, że w tym celu przyszedł do kawiarni.

— Owszem, przyszedłem, żeby poczytać, napić się kawy i posiedzieć z ludźmi, którzy robią coś podobnego.

— Często pan czyta w miejscach publicznych?

Zapytał takim tonem, jak gdybym był ekshibicionistą.

Wzruszyłem ramionami.

Aravelo zerknął na protokolanta, a następnie spojrzął mi głęboko w oczy.

— Mam piętnaście albo i więcej osób rannych w dziwnych okolicznościach. Sprawa jest niecodzienna. Nie ma więc głupich pytań. No więc gdzie pan był w chwili wybuchu?

Westchnąłem. Chociaż facet mnie mierzył, to musiałem przyznać mu rację.

— Byłem już w drzwiach. Jeszcze chwila, a znalazłbym się na dworze.

— Wychodził pan z kawiarni w chwili wybuchu — powtórzył i na chwilę zawiesił głos. — Czy wychodził pan właśnie wtedy z jakiegoś konkretnego powodu?

Czułem, że to pytanie padnie, ale nie wiedziałem, co powiedzieć. Jeżeli nie wyjawię całej prawdy, mogę utrudnić śledztwo. Jeżeli jednak wszystko dokładnie opowiem, mogą zacząć mnie posądzać. Zastanawiałem się, co lepsze.

— Obok mojego stolika przeszła kobieta — powiedziałem — która wydała mi się...

Szukałem odpowiedniego słowa. Ogarnęło mnie jakieś dziwne uczucie, nadziei zmieszanej z przejmującą samotnością.

— Jaka? — podchwycił porucznik. — Proszę ją opisać.

— Czarująca.

— I wyszedł pan za nieznaną na ulicę?

Może brzmiało to trochę dziwnie, ale nie do końca. Każdemu mężczyźnie zdarzyło się takie oczarowanie, że szedł za obcą kobietą aż na drugą ulicę albo siadał obok w barze z nadzieją na zawarcie znajomości. Wyjaśniłem z grubsza przebieg

wypadków. Powiedziałem porucznikowi, że nie zamieniłem z tą kobietą słowa, bo wyszła, najwyraźniej w pośpiechu, i szybko wsiadła do najnowszego modelu czerwonego saaba. Aravelo uczył się tej informacji.

— Do wszystkich posterunków. Poszukiwany czerwony saab, najnowszy model, prowadzony przez atrakcyjną...

Spojrzał na mnie, żebym pomógł mu dokończyć zdanie. Dodałem bez przekonania:

— Miała jasnobrązowe włosy.

— Szatynkę — podyktował Aravelo z naciskiem swojemu protokolantowi. — Rozesłać! — Spojrzał na mnie. — Jeszcze jedno pytanie. Jakie historie rozdmuchuje pan ostatnio z typową dla siebie przesadą?

Wzruszyłem ramionami. Aravelo mnie zwolnił, dodając, że będzie w kontakcie.

Rozejrzałem się — wokół niezliczone radiowozy i karetki, sprzęt techniczny funkcjonariuszy prawa, gapie i dziennikarze odgradzeni niebieskimi barierkami na drugim końcu ulicy. Nieopodal kilku lekko rannych gości kawiarni, którzy czekali na przesłuchanie Aravela. I po drugiej stronie ulicy w policyjnym namiocie blondynka, która skierowała teleobiektyw w moją stronę. Czyżby mnie fotografowała?

Prędko ruszyłem w jej stronę. Stała za żółtą taśmą policyjną i pstrykała zdjęcia. Na czubku brody miała bliznę przypominającą nieco linię brzegową Kalifornii. Kiedy podszedłem, uderzyło mnie, jaki ma aparat fotograficzny. Staroświecki, nie cyfrowy, w skórzanym futerale z pluszową kasztanową wyściółką, który miał wprawdzie teleobiektyw, lecz nie był zbyt wyszukany jak na profesjonalne standardy dziennikarskie. Zapytałem, czy rzeczywiście mnie fotografowała i po co.

— Jestem fotoreporterką — wyjaśniła. — Wykonuję tylko swoją pracę.

Zwróciła obiektyw na mnie. Zamachałem rękami, żeby zasłonić twarz i nieoczekiwanie wypaliłem:

— Zna pani Annie Kindle?

W tej samej chwili minął nas chłopiec, który szedł chodnikiem, trzymając ojca za rękę.

— Tato, co się stało temu panu?

Obejrzałem się, żeby sprawdzić, co tak zainteresowało chłopca. Szorty i koszulę miałem podarte, kolana podrapane, dłonie różowe od zaschłej krwi, a prawy łokieć zaklejony plasterem. W łydki miałem wtarty żwir. Niezły obiekt dla fotografa.

Wziąłem głęboki oddech. Zamknąłem oczy, przypomniały mi się dawne czasy, śmiech Annie. Możliwe, że jako pierwszy człowiek na świecie zakochałem się od pierwszego roześmiania.

3.

Jej śmiech rozdzwonił się po całym barze z grillem Jeremy'ego. Wzniósł się ponad rozmowy zakochanych par. Zamarłem nad guinnessem. Ten śmiech był krystaliczny, ufny, wyzwolony.

Rzadko pijałem sam. Ale też rzadko przyjeżdżałem do górskich miasteczek, żeby podjąć ważną życiową decyzję.

Kings Beach znajduje się trzy godziny drogi na północny wschód od San Francisco. Ponieważ ma plażę w nazwie, byłbym skłonny sądzić, że leży nad oceanem. Tymczasem chodzi o plażę na północnym brzegu jeziora Tahoe.

Miasto tworzy szereg skromnych moteli i restauracji, a także wypożyczalni kajaków latem i nart, kiedy zamiast słońca króluje śnieg. Chociaż uchodzi za typowe uzdrowisko rodzinne, dla mnie zagubionego absolwenta stało się miejscem chwilowego wypoczynku.



Śmiech należał do drobnej brunetki z włosami do ramion, o śniadej cerze, jak gdyby któryś z jej dziadków pochodził z Azji. Nie wiem, czy wszyscy dopatryliby się w niej urody, ale ja

doceniłem jej piękno. Wydała mi się subtelna, żarliwa i serdeczna, a w każdym razie sprawiała wrażenie osoby sympatycznej.

Jej koleżanka była całkiem inna.

Kiedy podchodziły, zorientowałem się, że tylko obok mnie zostały wolne miejsca przy barze. Niewiele myśląc, odwróciłem się od nich, uniosłem piwo do ust i wlepiłem oczy w mecz baseballowy w telewizji. Gdybym zareagował chwilę później, zauważyłyby, że im się przyglądam. Wyszedłbym na podglądacza, a co gorsza, straciłbym korzystną pozycję udawanej obojętności. Ktoś postukał mnie w ramię. Koleżanka.

— Czy te miejsca są zajęte? — zapytała.

Jej ton zniechęcał do odpowiedzi wykraczających poza zwyczajne „tak” lub „nie”.

— Zapraszam — powiedziałem, odwracając się do nich. — Witajcie po sąsiedzku.

Kobieta moich marzeń uśmiechnęła się i podziękowała. Jej koleżanka wyczuła moje zainteresowanie i wykonała manewr zapobiegawczy.

— To nasz babski wieczór, dlatego nie wdajemy się w żadne flirty — rzuciła, po czym dodała odrobinę życzliwiej: — Niech pan lepiej wraca do swojego piwa.



Nie zamierzałem więcej pić. Ale teraz nie miałem wyjścia. Zamówiłem kolejne. Pogadałem z barmanem, oglądając mecz. Zamieniłem kilka słów z siedzącą po mojej prawej parą, która po sześciu godzinach spędzonych razem na rowerach górskich bardzo cieszyła się, że może dla odmiany odegrać nawet rolę piątego koła u wozu.

Przejrzałem się w lustrze nad barem z nadzieją, że nie zobaczę tam mizeroty. Pod względem przystojności plasuję się plus

minus w okolicy osiemdziesiątego centyla, z dużymi odchyleniami. Mam metr osiemdziesiąt wzrostu, jestem postawny, wysportowany, mam więcej w klatce piersiowej niż w nogach. Jako ciemny szatyn z wydatnym nosem stanowię krzyżówkę etniczną. Nieraz porównywano mnie do kolorowego aktora drugoplanowego, modnego w danym sezonie. Autor porównania nie omieszkiał dodawać, że to podobieństwo „w pozytywnym sensie”, tyle że jego ton dawał mi do myślenia. Czynnikiem przesądającym o mojej atrakcyjności jest fryzura. Jeżeli jestem dobrze ostrzyżony, sięgam dziewięćdziesiątego centyla. Jeżeli źle, spadam do siedemdziesiątego lub niewiele więcej.

Odwrociłem oczy od lustra i zobaczyłem, że zyskałem trochę na czasie, bo koleżanka mojej piękności wstała i ruszyła w stronę toalety. Oczekałem zwyczajowe dziesięć sekund, po czym zacząłem udawać, że odkryłem nieobecność jej koleżanki.

— A teraz możemy porozmawiać? — zapytałem. — Bo chciałbym uszanować konwencję genewską i inne odnośne rozporządzenia.

— Tylko bardzo cicho — szepnęła. — Wolałabym nie spędzać za karę kolejnego popołudnia w odosobnieniu.

Czytałem artykuł randkowego guru, który radził, żeby czekać, aż kobieta pierwsza się przedstawi. Aby to ona wyraziła zainteresowanie. Jednakże ta kobieta zasługiwała na coś więcej niż salonowe zabawy, a ja nie miałem zbyt dużo czasu.

— Nat — przedstawiłem się.

— Annie.

— Mam plan ucieczki. Sądzisz, że trudno będzie przebić się przez bar?

Wzięła do ręki niską szklankę. Miała w niej jakiś czerwony napój.

— Nie przejmuj się moją koleżanką. Sarah próbuje mnie

tylko chronić... przed palantami i facetami, którzy nie wiedzą, że tylko prawdziwa dama ucieka, posługując się obłudą i kłamstwem. Uśmiechnęła się.

— Koniec tego dobrego, gołąbeczki — rozległ się blisko głos. Wróciła Sarah wyraźnie zainteresowana, żeby nasz związek się nie rozwinął. — Ostrzegalam, młody człowieku. Żadnych rozmów.

Annie wzruszyła ramionami. Obojętność czy rezygnacja? Również wzięła kurtkę.

— No to na razie — pożegnała się.

— Podziękujesz mi później — powiedziała Sarah i obie wyszły.

Nie wiedziałem, jak je zatrzymać, żeby nie wypaść na desperowanego, natrętnego świra. Ale tuż przed drzwiami Annie zatrzymała się niezgrabnie, jak gdyby coś ją tknęło albo się zawahała, okręciła się na pięcie, zrobiła dwa kroki w moją stronę i rzuciła szeptem:

— Różowa salamandra.

Nawet nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem. I znikła.



Jeżeli tak chciała mnie pozdrowić, nie chwyciłem, o co chodzi, a jeżeli miała to być zaszyfrowana wiadomość, też nie. Przez pół dnia wertowałem książki telefoniczne w całym mieście i uliczki w śródmieściu, szukając hotelu, baru, restauracji bądź innego lokalu o nazwie Różowa Salamandra albo podobnej. Znalazłem jedynie salon tatuażu i pielęgnacji paznokci Kameleon, którego właścicielka — okoliczycowane czupiradło — pochwaliła, że docenia moją donkiszoterię, ale jej zdaniem moje poszukiwania spełzną na niczym, dopóki nie odnajdę więzi z Bogiem.

Cały następny dzień jeździłem po mieście w nadziei, że „przypadkiem wpadnę” na Annie. Przesiedziałem idiotycznie dużo czasu w barze Jeremy'ego. Zasięgałem języka. Bez powodzenia. Nikt nie znał Sarah ani Annie.

Przedłużyłem już pobyt o jeden dzień. Musiałem dać za wygraną. Spakowałem się do swojej toyoty 4Runner i rozpatrzyłem sprawę trzeźwo. Annie nie była aż tak piękna, poza tym słuchała we wszystkim koleżanki albo nie wpadłem jej w oko. Po co więc kruszyć kopie?

Przynajmniej pod jednym względem wyjazd bardzo mi pomógł. Zdecydowałem się na ważną zmianę w życiu zawodowym, mianowicie postanowiłem nie zostać lekarzem. Przed dwoma miesiącami ukończyłem medycynę. Musiałem przyznać, że studia obrzydliły mi ten zawód.

Prawie cały tydzień roztrząsałem w górach swoją przyszłość, zastanawiając się, czy iść na staż. Bardziej kusilo mnie, żeby zostać dziennikarzem medycznym. Zamiast bawić się w doktora, mógłbym pisać na temat zdrowia publicznego i zastąpić pragmatyzm oraz szacunek społeczny możliwością pomocy w zmianie sytuacji, a przy tym móc chociaż częściowo być panem własnego czasu. Skoro rozważałem zajęcie się dziennikarstwem w świetle wymagającego spłaty długu za studia w wysokości stu tysięcy dolarów, to znaczy, że przyświecał mi idealizm niezbędny do rezygnacji z początkowo obranej kariery.

Na przedmieściach, w drodze powrotnej do domu, minąłem wjazd na marinę i uczepiłem się ostatniej deski ratunku, żeby sprawdzić slipy jachtów — salamander żyjących na styku łądu i wody.

W sklepie ze sprzętem nurkowym i żeglarskim Erniego znajdował się punkt wynajmu tych miejsc cumowniczych na przystani. Najwyraźniej zaciępany sprzedawca oznajmił, że nie może udzielić mi informacji na temat jachtów i ich slipów bez

zgody kierownika, którego spodziewa się lada moment. Odrzuciłem jako niedorzeczny pomysł, żeby obejść całą marinę, zważywszy na liczbę takich wyciągów wokół jeziora.

W oczekiwaniu na kierownika przymierzałem maski do nurkowania.

— Wreszcie mój rycerz w lśniącej zbroi do nurkowania — usłyszałem czyjś głos.

Podpłynęła „Salamandra”, jacht, na którym Annie i Sarah się zadekowały.

— Miałem nadzieję, że znów się spotkamy — powiedziałem.

— Ja też — przyznała Annie.

4.

Na pierwszą randkę zaproponowałem modny bar meksykański w Mission District. Jedzenie było autentyczne. Podobnie jak zespół mariachi, który zagłuszy ciszę, gdyby zawiodła nas inteligencja.

Nie kieruję się w życiu przesadami, ale kiedy szedłem do baru na to spotkanie, znalazłem na chodniku pięciocentówkę z wyszczerbionym kantem, podniosłem i uznawszy, że ma pięć razy większą moc od centa, wypowiedziałem życzenie, po czym rzuciłem ją przez lewe ramię. Z całą pewnością pomieszałem kilka wróżb. Życzenie natomiast sformułowałem bardziej klarownie. Musi istnieć ktoś, kto pozwoli mi się na tyle zatracić, że przestanę obserwować świat z zewnątrz. Miałem nadzieję, że ta osoba lubi margaritę.



Od Annie, ubranej w obcisłą koszulkę bawełnianą bez rękawów, biła taka pewność siebie, że mogła sobie pozwolić na swobodny strój.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziała. — Na Sto Pierwszej była masakra.

Annie dojeżdżała do Palo Alto, na obrzeżach San Francisco. Reszta świata zna tę miejscowość lepiej pod nazwą Doliny Krzemowej.

Postawiłem przed nią drinka.

— Wypijmy za świat, w którym dzieci nie głodują, bezdomni mieszkają w hotelu Four Seasons, a na autostradach panuje płynny ruch — zaproponowałem.

Opowiedziała mi o sobie. Że ma dwadzieścia sześć lat. Wychowała się w San Francisco. Ukończyła studia w prestiżowej uczelni na północnym wschodzie Stanów. Nie lubi umawiać się na randki, bo mężczyźni najczęściej biorą jej śmiech za przejaw namiętności i startują do niej tacy, z którymi wolałyby się zaprzyjaźnić. Powiedziała, że powinna chyba nakierowywać przyszłych adoratorów na ponure tematy, żeby zapobiec nadmiernej żartobliwości.

— Chociażby takie tematy jak fobie.

Roześmiała się.

— Mam jedną. Żeby wacik nie utknął mi w uchu — wyjawiła.

— Boisz się wgniecenia mózgu?

— Może nie wgniecenia. Ale mój mózg to już jedyne prywatne miejsce, jakie zostało na świecie.

— A co cię smuci?

Znalazła swój własny powód do smutku — ostatnie pół minuty programu *Sobotnia noc na żywo*, kiedy lecą napisy i goście machają na pożegnanie. To znak, że tydzień marzeń prowadzącego dobiega końca i nadchodzi tydzień pracy.

Powiedziała, że pracuje w firmie finansowej swojego taty, Partnerzy Inwestycyjni Kindle'a, żeby sprawdzić, czy umie inwestować w małe spółki i przekształcać je w duże. Nie czuła do tego powołania, a jej ojciec uważał przeciwnie. Twierdziła, że jest, nie chwaląc się, jednym z najpotężniejszych finansistów

spekulacyjnych w Dolinie. O pracy opowiadała znużonym głosem.

— Co byś robiła, gdybyś nie chciała się bogacić ani uczestniczyć w rozwoju techniki, która zmieni świat? — zapytałem.

Zastanowiła się.

— Mam dyplom z informatyki.

— Ale widzę, że tracisz do niej serce.

— Nie wiem, może zostanę terapeutką. Mam licencjat z psychologii — powiedziała, po czym przybrała tajemniczą minę, jak gdyby kłui jej się w głowie nowy pomysł. — Zostanę weterynarzem.

— Albo połącz obie dziedziny i zostań psychoterapeutką zwierząt domowych — podsunąłem. — Miałem kiedyś psa, któremu przydałoby się spędzić kilka godzin na kozetce.

— Zwierzęta nigdy człowieka nie zawiodą. Wystarczy je karmić i kochać. Nakarm mnie, nakarm — powiedziała. — Łatwiej im zaufać niż ludziom.

— Ludzie też muszą jeść.

— Trudno mi uwierzyć, że mogłabym się związać z kimś zupełnie nieprzekupnym.



Opowiedziałem jej o sobie. Wychowałem się w Denver, w kochającej rodzinie urzędników państwowych. W miarę możliwości wszystkie weekendy spędzałem w górach — na pieszych wędrówkach, wspinaczce, łowieniu ryb. Trochę dlatego, że uwielbiam turystykę, a trochę, bo chciałem się wyrwać.

— Mój brat dominował — powiedziałem.

— Ja też tak żyję — oznajmiła.

— W cieniu brata?

— Nie, w cieniu ojca. Ma w związku ze mną wielkie plany. Mawia o mnie, że zabijam uśmiechem. Też mnie tak widzisz?

- Prędeż uśmieszkiem.
- Uważa, że się w niego wrodziłam. Twierdzi, że jestem ze stali — powiedziała i ściszyła głos o oktawę. — Annie, rodzina Kindle to zdobywcy!
- Pięknie się ubierasz jak na przedstawicielkę Hunów.
- A widzisz — powiedziała.



Annie umiała słuchać. Przy każdej rewelacji unosiła tylko i opuszczała brwi.

Wyznałem jej, jakie zdarzenie pomogło mi zrezygnować z kariery medycznej. Na trzecim roku studiów odbywałem praktykę na dziecięcym oddziale onkologicznym, gdzie zaprzyjaźniłem się z dziewięcioletkiem chorym na białaczkę. W środowe popołudnia znajdowałem wolną godzinę, żeby pobawić się z Jacobem. Najczęściej graliśmy w „Spadochrony i drabiny”.

Niestety, przyplątało się zapalenie płuc, które przy osłabieniu chłopca mogło go zabić w dwa tygodnie. Lekarz prowadzący uważał, że należy zostawić sprawę naturze, ja natomiast przekonywałem, że trzeba zastosować antybiotyki, żeby pokonać infekcję płuc, a dopiero potem mieć nadzieję na remisję raka. Miałem sporo racji, ale o zapaleniu płuc dowiedziałem się dopiero nazajutrz po środzie, w którą nie dopełniłem cotygodniowego rytuału gry planszowej z Jacobem. Targany poczuciem winy klóciłem się zaciętrzewiony z lekarzem w obecności rodziców chłopca. Kazał mi wyjść na korytarz i powiedział, że zbyt się angażuję. W terminologii medycznej równa się to oskarżeniu o nieprofesjonalizm.

Na twarzy Annie odmalowało się zdumienie.

- Coś ty powiedział?
- Porównałem go do doktora Kevorkiana.

Roześmiała się.

— Nazwałeś swojego szefa mordercą. — Wyraźnie jej zaimponowałem. — To wyraz ogromnej odwagi albo skrajnej głupoty.

— Rodzice chłopca mnie poparli. Podano antybiotyki. Chłopiec przeżył dwa miesiące.

Dostałem przykrą reprimendę, oczywiście nie za śmierć Jacoba, ale za to, że za bardzo się sprzeciwiałem.

Im dłużej zagłębiałem się w swoją opowieść, tym mniej skupiałem się na Annie, a bardziej na resztkach zapychających chrupków Nacho. Wychwytywałem jednak jej najdrobniejsze reakcje. Czułem, że ta dziewczyna podziela mój światopogląd, wspiera mnie w moich decyzjach. W odróżnieniu od większości ludzi, w tym przyjaciół, którzy w mojej decyzji o porzuceniu medycyny upatrywali porażkę. Czasem musiałem z nimi walczyć o własny punkt widzenia. Podniosłem wzrok na Annie. Patrzyła mi w oczy.

— Cieszę się, że odnalazłeś mnie w Tahoe. — Spuściła wzrok. — Ja też cię szukałam.

Przysunęła się, pocałowała mnie w policzek, a ja dosłownie rozpląnąłem się cały na posadzce z linoleum.



Mijaliśmy małe bary meksykańskie i tanie sklepiki.

— Trudno o bardziej romantyczne miejsce niż ciemny zaułek — powiedziałem i wziąłem Annie za rękę, kiedy weszliśmy w mały prześwit między dwoma budynkami. Zaczęliśmy się całować. Annie wzięła moją rękę i opasała się nią z tyłu. Przyciągnąłem ją do siebie.

— Nie możesz teraz prowadzić — oznajmiłem, kiedy odeszliśmy od siebie, żeby zaczerpnąć tchu.

Wyjęła telefon komórkowy, przeprosiła, wybrała numer.

Kiedy wróciła do mnie, znów połączył nas pocałunek. W pewnej chwili rozległ się klakson. Przed zaułkiem zatrzymało się ciemne bmw.

— Przyjechali po mnie — powiedziała.

Trzymała mnie jeszcze za rękę, otwierając drzwi, po czym wsiadła do sedana i odjechała.

5.

Wciąż oszołomiony wybuchem, szedłem do swojego mieszkania na Portero Hill, dzielnicy, której przemysłowe korzenie znikły pod napływem nowych mieszkańców. W dobie rozkwitu Internetu nie wystarczyło domów mogących pomieścić dwudziestokilkulatków zwabionych gorączką złota, toteż powoli opanowali również Portero.

Po drugiej stronie ulicy znajdował się sklep wegetariański Raya, który handlował zdrową żywnością, homeopatycznymi środkami na bazie tofu oraz substytutami mięsa. Obok w ciasnej klitce mieściła się pralnia automatyczna, której właściciel oferował na boku usługi informatyczne. Tak wyglądało San Francisco po rewolucji informatycznej, miasto walczące o powrót do świetności, żywiące się kielkami pszenicy i załącznikami do e-maili.

Najbardziej jednak lubiłem bar Past Time znajdujący się trzy ulice od mojego domu, otwarty do czwartej rano. Nie odznaczałby się niczym szczególnym, gdyby nie jego niesamowici klienci, zwłaszcza Dennis „Bycze Oko” Leary i jego żona Samantha.

Część ludzi uważa, że państwo Leary przekroczyli cienką

granicę obłądu. Ja wołałem uważać ich za barwne postaci. W każdym razie byli sawantami. Trzeba docenić erudytego potrafiącego wymienić średnią uderzeń na koncie wszystkich baseballistów, którzy grali dłużej niż dwa sezony w drużynie San Francisco Giants.

A Bycze Oko potrafił. Jego mocną stroną była matematyka — liczył i pamiętał. Słabą było prawie wszystko inne. Nie mógł się popisać w tak zasadniczych sprawach jak utrzymanie pracy lub systematyczna dbałość o higienę. Błahe sprawy również sprawiały mu nie lada trudność. Kiedyś podczas gry w rzutki tak strasznie chybił, że trafił kelnerkę stojącą pod kątem czterdziestu pięciu stopni od tarczy. Też mi Bycze Oko.

Niepotwierdzona plotka kursująca w barze głosiła, że Bycze Oko niegdyś był właścicielem stacji benzynowej Chevrona, nieźle się przy tym dorobił i po serii głośnych kłótni z zarządem korporacji przeszedł na emeryturę.

Samantha miała własną specjalność. W nomenklaturze New Age takie osoby nazywa się mianem uzdrowicieli duchowych. Potrafi również samym dotykiem leczyć bóle głowy, urazy sportowe i dolegliwości wywołane przepracowaniem. Niektórzy nazywają to akupresurą. My nazywaliśmy ją po prostu Czarownicą.

Samantha umiała określić nastrój danego człowieka, skąd się wziął i jak się rozwinie. Szczyciła się ponadto, że potrafi oczyszczać domy z duchów i zjaw, co wiecznie roztrząsano przy barze, choćby ze względu na trudności wynikłe z udowodnienia obecności duchów.

Kiedyś Samantha i Bycze Oko przez wiele dni spierali się zajadle, czy on ma wobec niej zobowiązania w przyszłym życiu, gdyby takowe istniało. Czasem wydawało się, że w ogóle się nie lubią, a tylko kochają. Nieustannie wystawiali na próbę akceptację wobec siebie samych i siebie nawzajem. Choćby dlatego,

że Samantha podczas wykonywanych masażu wprowadzie platonicznie, lecz z zapalem masowala ludziom ciała i dusze, dlatego na miejscu Byczego Oka pieklilbym się jeszcze częściej niż on.

W najgorszych chwilach ratowalo ich poczucie humoru. W najlepszych wspierali się jak para przyjaciół. Po śmierci Annie odsunalem się od większości dawnych kolegów — to bylo rozstanie za obopólną zgodą. Chcialem oderwac się od dotychczasowego życia i od ich ponawianych, wynikajacych z życzliwosci wysilków, żeby znaleźc mi nową partnerkę. Przyjaciele chcieli natomiast odetchnac od otaczajacej mnie przygnębiajacej aury. Wielu i tak wyjechalo na staż, a ich życie kręcilo się wokół pracy i snu. Pustkę wypełnili mi Samantha i Bycze Oko. Często tylko sluchali. Dzisiaj naprawde mieli czego wysluchac.



— Bonds miał dwa odbicia na cztery wejścia — powiedział Bycze Oko na mój widok. — Ale nie to jest najciekawsze.

Z pewnością słyszał o tym, co się stało w kawiarni. Nie mógł jednak wiedzieć, że ja tam byłem. Dlatego jeśli nie zwrócił uwagi na moją podartą koszulę i szorty, świadczyło to o jego zdolnościach dyplomatycznych, a nie o świetnie dobranym temacie zastępczym.

— Podzielmy się obowiązkami — zaproponowałem. — Ja pójdę po piwo, a ty mi powiesz, co jest najciekawsze.

— Doszedł do dziesiątej zmiany — wyjaśnił Bycze Oko. — Dlatego osiągnął najwyższy procent notowań na bazie nie tylko wśród wszystkich graczy w tak zaawansowanej fazie sezonu, lecz również jak na dowolnego gracza w dowolnym okresie po pierwszym miesiącu meczów kolejki.

Przyniosłem nam obu po piwie.

— Byłem w kawiarni Sunshine.

Nie skomentował, ale czułem, że chowa głowę w ramionach jak wtedy, kiedy w czaskę z lewej strony wbito mu kij. Samantha położyła mi ręce na kolanach, obejrzała dokładnie moją twarz, po czym objęła mnie niedźwiedzim uściskiem.

— Tylko po to wyszedłem cało z wybuchu, żeby mnie teraz udusili w miejscowym barze.

— Oddychaj głęboko ustami. Pozbędziesz się toksyn.

W końcu wypuściła mnie z objęć.

Opowiedziałem jej o wybuchu i o późniejszym rozwoju wydarzeń.

— Jesteś pewien, że to było pismo Annie? — zapytała Samantha.

Mogłem tylko wzruszyć ramionami. Przysiągłbym, że tamto pochyle pismo wyszło spod jej ręki, ale to przecież niemożliwe.

— Czy ta kawiarnia nie znajduje się w dawnej dzielnicy Annie?

Skinąłem głową.

— Po meczu baseballowym miałem coś do załatwienia w marinie. Rzadko teraz odwiedzam tamtą kawiarnię. Chodziłem do niej czasem z Annie na wczesny niedzielny obiad.

Zabrzmiało to jak usprawiedliwienie. Samantha uklęknęła przede mną.

— Może Annie chodziła ci po głowie, mój drogi. A kiedy przeżyłeś wstrząs podczas wybuchu, otworzyła ci się klapka w pamięci. Zstąpiłeś na inny poziom świadomości.

— Trele-morele — rzucił gderliwie Bycze Oko.

Wydało mi się, że widzę szczyptę oskarżenia w jego spojrzeniu. Spotkał się z Annie tylko jeden raz, ale zniechęcił ją od pierwszego wejrzenia. Od kogoś innego w barze słyszałem, że nadał jej miano „Pacyfki”, kuszącej, lecz odznaczającej się

przerostem symboliki nad treścią. Nie mógł znieść dzielącej nas przepaści klasowej, a może uważał, że moja miłość ze swą intensywnością wykracza poza normę jego matematycznej wizji świata.

Im więcej im opowiadałem szczegółów, tym mniej sam wszystko rozumiałem. Jeżeli wierzyłem, że wybuch zdarzył się przypadkiem, nie miałem jak wytłumaczyć otrzymanego ostrzeżenia.

Jednakże możliwość, że ktoś wysadził miejscową kawiarnię, zakrawała według mnie na obłąd. I co wybuch mógł mieć wspólnego z Annie?

Wypiliśmy w milczeniu jeszcze dwie kolejki. W pewnej chwili Samantha usiadła Byczemu Oku na kolanach i karmiła go orzeszkami ziemnymi, a on oglądał mecz. W końcu wymknąłem się z baru. Czyżby właśnie ktoś próbował wysadzić mnie w powietrze? Czy raczej ocalić?

Czy i jedno, i drugie naraz?

6.

Po północy dotarłem do swojego loftu. Wziąłem laptop na kanapę, bo chciałem sprawdzić pocztę, ale pozostawiony na cały dzień bez prądu, rozładował się. Włączyłem go z powrotem do sieci na biurku i wtedy dopadło mnie zmęczenie. Głowa osunęła mi się na pierś, a ja zapadłem w głęboki sen. Przyśniła mi się Annie, która rozpadała się na miliony małych komputerowych pikseli.

Obudziły mnie dwa dźwięki — miauk i dzwonek telefonu. Miauczał kot, a dzwonił mój redaktor naczelny. Obaj domagali się czegoś ode mnie.



Samantha Leary podarowała mi Hipokratesa, czarnego kota, który siadał mi na piersi i pomiaukując, domagał się śniadania. Twierdziła, że ten zwierzak odczyty mnie bycia „psem” i obudzi drzemiącego we mnie kocura. Spojrzałem na kota i szczechnąłem, co sprawiło, że czmychnął do kuchni. Odebrałem telefon. Dzwonił Kevin.

— Masz chwilę, żeby pogadać?

Ktoś powinien kiedyś przeprowadzić analizę sposobów

porozumiewania się redaktorów z autorami. Niewyobrażalna liczba rozmów rozpoczyna się pytaniem redaktora: „Masz chwilę, żeby pogadać?”. Ale nie chodzi bynajmniej o krótką wymianę zdań. W istocie redaktor pyta: masz dla mnie pół godziny? Bo muszę ci dokładnie powiedzieć, jak masz napisać to czy tamto.

Pisarz odpowiada: „Jasne”. A chce przez to powiedzieć: „Gadaj zdrow. I tak się nie zastosuję. Napiszę, co mi się podoba”.

Moja strategia wobec Kevina — podobnie jak wobec innych redaktorów — wymagała bardziej subtelnej podejścia. Jako wolny strzelec byłem szczególnie wyczulony na żądania redaktorów. Raz zniechęceni potem mnie nie zatrudnią, a zatem nie będę miał co jeść ani za co opłacić czynszu.

Kevin pracował dla „American Health Journal”, czasopiśma, do którego pisywałem kilka razy do roku. Tematy niespecjalnie mnie interesowały, ale płacili tam dobrze i na czas.

— Chętnie opublikowalibyśmy artykuł na temat telefonów komórkowych — powiedział. — Chcemy zamieścić graficzną ilustrację drogi fali radiowej przechodzącej przez mózg.

Redaktorzy często mówią „my”, kiedy chcą powiedzieć, ja”.

Kevin wyjaśnił swój pomysł uproszczonej ilustracji zawilego problemu. Miała ukazywać falę radiową biegnącą z wieży telefonicznej przez główne obszary mózgu aż do ostatecznego celu, czyli telefonu przyłożonego do ludzkiego ucha.

Nagle urwał i zmienił front.

— Artykuł musimy mieć na piątek. Jeszcze badasz sprawę?

Spojrzałem na kuchenny stół. Piętrzył się tam piętnastocentymetrowy stos zebranych przeze mnie materiałów. Jeszcze do nich nie usiadłem, ale powiedziałem Kevinowi, że zrobiłem już wywiady i przeczytałem literaturę fachową. Poświęciłem kilka minut na wystudzenie jego oczekiwań. Istnieje powszechne

przekonanie, że fale radiowe wywierają znikomy lub wręcz zerowy wpływ na mózg, zapowiedziałem więc Kevinowi, żeby nie spodziewał się żadnych rewelacji. Mimo to nie sposób się dziwić paranoi dotyczącej telefonów komórkowych, nie tylko dlatego, że fale radiowe bombardują nasz czołowy płat mózgu, co budzi uzasadniony niepokój. Przejawiamy ogólny brak zaufania do maszyn. Wystarczy wziąć pod uwagę liczbę filmów, w których technika przybiera postać wroga — w dzisiejszych czasach szalone komputery wyparły komuchów, przybyszów z innych planet i hitlerowców.

Może nasz strach rósł proporcjonalnie do uzależnienia od gadżetów. W każdym uchu tkwi słuchawka. Przy każdym pasku pager — miliony urządzeń łączą nas z milionami innych, zalewając lawiną danych. Uzależniliśmy się całkowicie od mechanizmów, których większość z nas nie potrafi ani zbudować, ani naprawić.

— Musisz podkreślić, że nie wiemy, jaki będzie ich wpływ na nasze zdrowie — dodał Kevin. — I żebyś nie przekroczył dwóch tysięcy słów.

Może powinienem był grać na litość i poprosić o zwłokę, żeby mieć czas na dokończenie artykułu. O wybuchu w kawiarni trąbiono we wszystkich mediach. Powinienem był powiedzieć Kevinowi, że tylko podwójne cappuccino dzieliło mnie od śmierci z powodu wybuchu. Na pewno jednak zawołałby wówczas: „O Boże! Nic ci się nie stało?”. Co znaczyłyby: napisz o tym na piątek.



Usiłowałem skupić się na stosie zebranych materiałów, tyle że artykuły były wysoce specjalistyczne, nudne i nie wnoszące zbyt wiele nowego. W zwykły dzień to zadanie wydawałoby mi się ciężarem, a tego dnia ciążyło mi w dwójnasób.

Poza tym znów mnie wzywał laptop.

Ludzie pracujący w domu wiedzą, że nie wolno im się odrywać na kilka godzin od pracy, żeby oglądać telewizję, ale nie mają oporów, żeby pozełgować sobie po sieci. Telewizja uchodzi za jałową rozrywkę i stratę czasu, a czytanie wiadomości na Yahoo!, śledzenie wyników giełdy lub sprawdzanie co dwie minuty poczty elektronicznej uważane jest jedynie za drobne przewinienie. Kunktatorstwo pod płaszczykiem kreatywności.

Wszedłem na stronę internetową gazety „San Francisco Chronicle”, która zamieściła trzy materiały na temat wybuchu w kawiarni. Główny artykuł nosił nagłówek „Lokal w San Francisco wyleciał w powietrze”. Pisano w nim, że policja gorączkowo sprawdza wszystkie poszlaki, ale jeszcze nie znalazła żadnych podejrzanych ani pobudek. Nie ma żadnego wiarygodnego dowodu, że był to akt terroryzmu. Zginęło pięć osób.

Zdaniem dziennikarza „Chronicle” zginęłoby więcej, gdyby nie ładna pogoda. Pół tuzina gości, które mogło siedzieć w środku, siedziało przy solidnych dębowych stołach przed kawiarnią. Siedzący w środku nie mieli tyle szczęścia. Przeczytałem ich nekrologi.

Simon Anderson miał trzydzieści pięć lat i był ambitnym powieściopisarzem. Zostawił żonę i dwoje dzieci, w tym jedno adoptowane, autystyczne. Andrea Knudson, lat dwadzieścia pięć, właśnie skończyła prawo i przygotowywała się do egzaminu na aplikację adwokacką. Darby Station, trzydziestokilkuletni kawaler, pracował jako regionalny dyrektor marketingu w teksańskiej firmie. Eileen i Terry Dujobe byli emerytami i spędzali popołudnie przy kawie latte, którą nieoczekiwanie pili po raz ostatni. Wszyscy byli mieszkańcami San Francisco.

Pisano, że nieliczne osoby przebywające w środku przeżyły

wybuch bez obrażeń. Jedną wymieniono z nazwiska. Policja podała, że kelnerka Erin Coultran tuż przed wybuchem udała się do małej toalety dla personelu. Betonowe ściany ochroniły toaletę, a więc kelnerka wyszła z tego prawie bez szwanku.

Obok zamieszczono zdjęcie Erin. Nic dziwnego, że miała przerażoną minę. Była trzydziestotrzyletnią ładną, może wręcz piękną kobietą. Nawet na zdjęciu dostrzegłem w jej oczach dobroć i głębię.

Poczułem znów przyływ adrenaliny. Nogi mi dygotały i ugryzłem się tak boleśnie w policzek, że się wzdrygnąłem. Drżącym palcem wskazującym zakreśliłem kółko wokół Erin.

Spojrzałem jej w oczy. Czy widziała w kawiarni kobietę, która wręczyła mi kartkę?

7.

Wysoce wyspecjalizowani dziennikarze poznają sposoby szukania ludzi. Chociażby takie jak korzystanie z książki telefonicznej lub Internetu. Dlatego jesteśmy tak sownie opłacani.

Okazało się, że Erin Coultran należała do grupy artystycznej w Mission District pod nazwą Boskie Tyłeczki. Na ich stronie internetowej przeczytałem, że grupa składa się ze świadomych społecznie kobiet uprawiających improwizację taneczną w wolnym stylu. Opis wiele pozostawiał wyobraźni, chociaż mogłem przypuszczać, że gdybym kiedykolwiek miał okazję zatańczyć z Erin, raczej nie ja bym prowadził.

Nie sądziłem, że siedziba grupy będzie oblegana, chociaż jakiś przedsiębiorczy dziennikarz mógłby tam dotrzeć przede mną. Żeby zgromadzić materiał, musiałem zebrać się w sobie i od czegoś zacząć.

Kiedy dotarłem na miejsce, na chodniku znajdowało się kilkoro dziennikarzy, którzy tam warowali lub raczej kręcili się. Jest to ulubione zajęcie reporterów. Wynika z zespołu nadpobudliwości ruchowej, nieodzownego w naszym zawodzie. Dziennikarz, który w danej chwili nie żyje emocjonującą sprawą, na pewno takiej szuka.

Podszedłem do skromnej witryny w siedzibie grupy. W oknie wisiała opuszczona do połowy kremowa żaluzja. Ukłakłem,

zajrzałem, ale na podłodze wyłożonej linoleum zobaczyłem tylko dwa drewniane stoły.

Odwrociłem się i spojrzałem w słońce. Ponieważ przestała działać adrenalina, poczułem tępy ból.



Dwa miesiące wcześniej napisałem artykuł o automatach z przekąskami w szkołach San Francisco, które oferują wysoko-kaloryczne, tuczące świństwa, sprzedawane przez firmy sponsorujące nadobowiązkowe zajęcia sportowe. Sporym nadużyciem byłoby nazwać tamto zadanie dziennikarstwem śledczym. Wymagało, podobnie jak prawie cała moja praca, wychwycenia powiązań. W mojej profesji nie zdarzają się raczej sensacje z gatunku płaszcza i szpady. Używałem jedynie pióra, własnej ciekawości i Pierwszej Poprawki do Konstytucji zapewniającej, ku mojej wielkiej wdzięczności, wolność słowa. Obecne zadanie wymagało jednak odmiennego, pełnego determinacji podejścia.

Zatrzymałem się przed meksykańskim sklepem spożywczym dwa domy dalej. Oczywiście duży wybór papryczek jalapeño, bananów i zielonych pomidorów wyłożonych na straganie, oferowanych ze względu na ogromne skupisko hiszpańskojęzycznych mieszkańców w tej dzielnicy, ale w środku zalaływało kaczką pieczoną na rożnie za szybą delikatesów. Wiele miejscowych sklepów wykupili ostatnio Chińczycy, który to trend demograficzny potwierdzał stojący za ladą młody człowiek oglądający *Koło fortuny*.

- Chciałbym panu zadać dziwne pytanie.
- Kondomy leżą tam, brachu — odpowiedział, wskazując trzeci rząd regałów.
- To świetnie. A gdzie macie dmuchane lalki? — zapytałem.

Wyjąłem wycinek ze zdjęciem Erin.

— Próbuję kogoś znaleźć.

— Jest pan gliną?

— Reporterem. Ta kobieta ocalała niedawno z wybuchu.

Chciałbym się dowiedzieć, jak się czuje.

Nagle okazało się, że więcej informacji mu nie trzeba. Wziął do ręki zdjęcie i gwizdnął.

— Nogi ma potąd, brachu — powiedział i wyciągnął rękę masywnym gestem.

— Czyli widział ją pan? A dzisiaj?

Dzisiaj nie, ale w ogóle widział. Często do niego zagląda, kiedy prowadzi głodne dzieci ze świetlicy znajdującej się przecznicę dalej. Pokazał mi, w którą stronę iść.



Przy następnej przecznicy stanąłem przed witryną pełną kolorowych bazgrołów wykonanych kredkami. Na szyldzie widniał napis: „Przedszkole ze świetlicą Guerrero”.

Przedarłem się przez tłum pędraków. Erin siedziała w głębi, skulona nad kawą. Zatrzymałem się kilka kroków przed nią. Podniosła wzrok.

Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Spojrzała w lewo. Popatrzyłem za jej spojrzeniem — znajdowały się tam drzwi na zaplecze. Wisiał nad nimi transparent z napisem narysowanym grubymi fioletowo-zielono-żółtymi markerami: „Adios, Amigos”. Kiedy odwróciłem się znów do Erin, zdążyła już wstać i teraz szybkim krokiem zdążała do wyjścia. W lewej dłoni trzymała kluczyki.

— Erin!

Nie zatrzymała się ani nie obejrzała za siebie.

8.

Mignął mi tylko koński ogon zwisający z baseballówki Erin, która pośpiesznie się oddalała. Przez ułamek sekundy zastanowiłem się, czy znów nie zerwę sobie ścięgna, ale puściłem się za nią biegiem i dogoniłem w zaułku, kiedy wkładała kluczyk do zamka nie najnowszej zielonej hondy z bagażnikiem na narty.

W głębi duszy czułem, że nie będę zadowolony z tego, co za chwilę zrobię. Dałem krok naprzód, wyciągnąłem rękę i zatrzasnąłem drzwi kierowcy, żeby nie mogła otworzyć.

— Odpieprz się ode mnie — rzuciła ni to ze strachem, ni to z gniewem, raczej z nutą rezygnacji. Postanowiłem ją wykorzystać.

— Byłem wtedy w kawiarni. Bardzo panią proszę o pomoc.



Miała na sobie bluzę z napisem „Tsingtao”. Wysoka i szczupła, miała gładką, jasną cerę. Jej krągłą twarz można by w innych okolicznościach uznać za wesołą, ale w tej chwili wydała mi się nadęta.

Kiedy ponownie się odezwała, nie słyszałem w jej głosie ja-
du ani strachu, a jedynie pewność siebie.

— Puści mnie pan? Czy mam zacząć krzycheć i kopać?

Cofnąłem rękę, zwalniając dostęp do drzwi.

— Nie wiem, za kogo mnie pani bierze — powiedziałem. — Ale zapewniam, że nie mam złych zamiarów. Musi mi pani pomóc.

Mówiąc te słowa, zastanowiłem się, czy jestem wobec tej kobiety szczerzy. Tym bardziej że wyraźnie przede mną uciekała.

— Pan mnie z kimś myli.

Pokręciłem głową. Myli? Nie jest Erin, kelnerką z kawiarni? Po chwili zrozumiałem, że chodzi jej o co innego, tyle że nie bardzo wiedziałem o co. Pewno się nie dowiem, chyba że pozwę ją do sądu. Zamiast jednak zamknąć drzwi, oparła na nich rękę, zaciskając palce. Po raz pierwszy przyjrzała mi się badawczo.

— Wszędzie dziennikarze — pożaliła się. — Przyszłam tu, żeby zebrać myśli i przewietrzyć głowę.

Pomyślałem, że może cierpi na łagodną odmianę zespołu stresu pourazowego. Była bardzo napięta, rozdrażniona, reagowała przesadnie.

— Proszę mi poświęcić pięć minut. — Usiłowałem przybrać możliwie niegroźny ton. — Widziałem pani zdjęcie w gazecie. Chciałem porozmawiać z kimś, kto też ocalał z kawiarni. Szukam kogoś.

Przedstawiłem jej skróconą wersję zdarzeń w kawiarni.

— Ta kobieta uratowała mi życie. Może ją pani widziała. — Nie wspomniałem o Annie. Dodałem tylko: — Wiem, że to brzmi dziwnie.

Słuchała. Zamknęła oczy, jakby w skupieniu, chociaż zastanawiałem się, czy jej milczenie nie jest pozą.

— Nie widziałam żadnej kobiety wychodzącej z kawiarni. Nie zauważyłam, żeby ktokolwiek zostawił panu liścik, ale pana pamiętam — przemówiła w końcu. — Zamówił pan przy barze,

a potem usiadł przy regale z prasą. Obserwowałam pana, czy czegoś nie trzeba podać do jedzenia albo do picia. Może kobieta, o której pan mówi, w ogóle nie usiadła. Zwykle dostrzegam ludzi dopiero wtedy, kiedy usiądą przy stoliku.

Zacisnąłem zęby i wycedziłem zdenerwowany:

— Miała długie włosy. Na pewno jej pani nie widziała?

— Siedziałam podczas przerwy na zapleczu, sprawdzałam pocztę w komputerze. Tuż przed wybuchem wyszłam do łazienki. Może właśnie wtedy ta kobieta się zjawiła.

Przypierając do muru pytanie wyrwało mi się samo.

— Dlaczego właśnie wtedy pani wyszła do łazienki? Na chwilę przed wybuchem?

— Zakończmy tę rozmowę.

— Erin...

Otworzyła drzwi samochodu. Bacznie mi się przyjrzała.

— Co pan przeszkrobał?

— Nie rozumiem.

— Przepraszam, muszę już iść. Możemy wrócić do tej rozmowy, ale później — oznajmiła.

Zapisała mi na świstku papieru swój numer telefonu komórkowego. Kiedy już odjechała, zorientowałem się, że zapisała tylko sześć cyfr. Zadzwonił mój telefon. Odebrałem. W słuchawce rozległ się nieznamy głos.

— Nathanielu, mówi Danny Weller. Policjant z kawiarni.

— Witam, sierżancie — powiedziałem.

W słuchawce słyszałem odgłosy ruchu ulicznego.

— Czy miałbyś chwilę, żeby się ze mną spotkać? — zapytał

— Chciałbym ci przekazać kilka nowych, ciekawych informacji.

9.

Kiedy wszedłem do baru Bus Stop, sierżant Danny Weller już czekał w łoży w głębi lokalu. W samej koszuli wyglądał bardziej na dentystę niż na gliniarza. Tkwił z nosem w gazecie. Obok siedział ciemnoskóry umundurowany policjant, co najmniej o głowę wyższy, potężniejszy i skrzętnie coś pisał.

Podszedłem.

— Inaczej „stworzenie” na pięć liter — powiedział Danny, podnosząc oczy znad złożonej na pół „Chronicle”. — Stwór — mruknął do siebie pod nosem.



Danny przedstawił mi drugiego policjanta. Wielki Samoanczyk, sierżant Edward Velarde. Uścisk dłoni miał jak imadło. Wydawało mi się, że skądś go znam. Za lewym uchem, obok przedziałka, miał czerwoną wysypkę, złuszczenie skóry wskazujące na łupież. Studiując medycynę, człowiek uczy się poznawać ludzi po ich patologiach. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie go widziałem... może zaraz po wybuchu. Poprosił sierżanta Wellera o podpis na dokumentach, nad którymi pracował, i schował je do teczki.

— Do zobaczenia w naszych kazamatach, kolego — pożegnał Wellera, sepleniąc dla żartu i wyszedł.

— Co się dzieje, sierżancie? — spytałem wymownie.

— W dzieciństwie prawie co weekend jeździłem z tatą autostradą numer osiemdziesiąt. Łowiliśmy ryby w Sacto albo chodziliśmy po górach wokół jeziora Tahoe. Drogi zawsze były straszliwie zakorkowane. Dlatego tata zawsze kazał mi w drodze czytać krzyżówki. Uwielbiał wszelkie łamigłówki — wyjaśnił. — Rozwiązywanie krzyżówek nie wymaga właściwie analizy, lecz pamięci. Od dwunastego roku życia zapamiętuję hasła. W tamtych czasach, jeżeli źle użyłem słowa w rozmowie, tata kazał mi przez cały dzień nosić słownik.

Chciał narzucić tok rozmowy. Zwalczyłem w sobie impuls, żeby domagać się odpowiedzi.

— Nadal jeździsz z ojcem na ryby?

— Teraz mieszka we Fremont, w domu opieki. Jest bardzo chory, przydałaby mu się nowa wątroba — powiedział Danny. — Cholera, w świetle wczorajszych wydarzeń nie powinienem wyciągać swoich nieszczęść. Jak się czujesz?

Sam nie wiedziałem. Przeżyłem taki przyływ adrenaliny, że nie zdążyłem nabrać dystansu do rzeczywistości.

— Zmęczony.

Poza tym stropiony i sfrustrowany. Chciałem poznać nowe informacje, o których napomknął przez telefon, ale lata pracy dziennikarskiej nauczyły mnie, że najskuteczniej zdobywa się informacje, jeżeli człowiek nie przyznaje się, jak bardzo mu na nich zależy. Zwykle ludzie chętnie ujawniają swoje sprawy, chcą się podzielić przeżyciami, zaistnieć w świetle reflektorów.

Inna strategia, żeby skłonić ludzi do rozmowy, każe najpierw samemu się otworzyć, dlatego postanowiłem opowiedzieć Danny'emu, co sam wiem. Ponośliem oczywiście pewne

ryzyko. Chociaż przeszedł ze mną na ty, mimo wszystko pozostał gliną, czyli miał własne zobowiązania i priorytety.



Przekazałem mu garść informacji. Powiedziałem o liście, o Annie — i jej piśmie — o odszukaniu Erin, o jej wrogości i krótkiej relacji z całego zdarzenia.

— Pobieгла do toalety. Ciekawą porę wybrała sobie na zew natury — powiedział.

— Coś podejrzewasz?

Wzruszył ramionami.

— Nathanielu, wierzysz, że liścik wręczyła ci twoja była dziewczyna?

Tej jednej możliwości nie rozważyłem wcześniej.

— Nie sądzę, sierżancie. Bo niby jak?

Nie dopowiedziałem, że Annie z całą pewnością nie żyje, bo już dawno by się ze mną skontaktowała.

Przyjrzał mi się badawczo. Pod wpływem jego wzroku odzykiwałem pewność siebie. Annie nie żyje, koniec, kropka. Ale ktoś mnie wybrał, nieładnie ze mną pogrywał, dlatego czas pociągnąć tego policjanta za język, bo po to tu przyszedłem.

— Chcę wiedzieć, co się dzieje, sierżancie.

Wziął szklanke, pochylił się, dopił colę.

— Prokurator wznowił śledztwo w sprawie przeciwko bratu porucznika Aravelo.

— Co? — spytałem ostro. — Dlaczego?

Timothy Aravelo bez dwóch zdań był bandytą. Omal nie zabił dwudziestojednoletniej kobiety, a potem wciągnął w spisek dwóch innych gliniarzy, żeby to zatuszować. Nabrałem podejrzeń, że korupcja w wydziale policji sięgała wysokich szczebli, ale nigdy tego nie udowodniłem. Wierzyłem jednak święcie, że

młodsze Aravelę tylko policyjna blacha dzieli od członkostwa w gangu.

— Sowiec opłaceni adwokaci przekonali sędziego sądu apelacyjnego, żeby ponownie przesłuchał niektórych spośród zaprzysiężonych świadków.

Zacisnąłem zęby.

— Pewnie to nic wielkiego — ciągnął Danny. — Ale chciałem ci powiedzieć, że coś tu śmierdzi. Chyba będziesz ponownie składał zeznania.

Przerwał nam brzęczyk dochodzący ze spodni sierżanta. Danny wyjął pager.

— Cholera — zaklął.

Wstał.

— Nie prowadzę śledztwa w sprawie wybuchu w kawiarni. Powierzono je porucznikowi Aravelo. Ale je monitoruję.

Poinformował mnie, że liczba zabójstw w San Francisco w ciągu ostatnich dwóch lat horrendalnie wzrosła. Wielu zabójców nie wykryto, zwłaszcza w biednych murzyńskich zakątkach miasta, którymi trzęsły gangi. Przypomni mi, że burmistrz rozdmuchał sprawę, kiedy wytknął nierozwikłane zabójstwa, czym narobił sobie wrogów w policji, bo publicznie podważył ich kompetencje, a następnie wydał polecenie, żeby przypadki zabójstw szczególnej wagi trafiały do dwóch ekip oficerów śledczych — jednej oficjalnej i drugiej, na wzór gabinetu cieni, składającej się z jednego lub dwóch śledczych, którzy prowadzą osobne dochodzenia, na własną rękę szukają śladów, z tą różnicą, że przekazują swoje odkrycia głównej ekipie. Czasem woleli jednak zgarnąć poklask za pojmanie kogoś.

Taki układ wymuszał rywalizację, lecz również tworzył nieufność.

— Informacja o tym liście powinna trafić we właściwe ręce. Ściśle współpracuję z dwoma oficerami śledczymi w sprawie kawiarni. Pozwolisz, że się z tobą skontaktuję — powiedział. —

Albo jeżeli nie masz oporów, sam skontaktuj się bezpośrednio z Aravelem.

Nie mogłem go tak puścić. Jeszcze nie dowiedziałem się wielu rzeczy.

— Sierzancie Weller, liczyłem na to, że powiesz mi coś więcej o wybuchu w kawiarni. Czyja to robota? Dlaczego mnie ostrzeżono? Czy był to przypadkowy akt przemocy, czy szalony atak, w który zostałem zamieszany?

Przyjrzał mi się, wzruszył ramionami.

— Chyba wczoraj ująłeś rzecz właściwie. Zdarzyło się coś bardzo dziwnego.

Odwrócił się, obejrzał za siebie.

— Dzwon do mnie, jeżeli będziesz miał ochotę pogadać.

■ ■ ■

Marzyłem o piwie, może nawet niejednym, dlatego ruszyłem przez miasto do mojego lokalnego baru. Samantha i Bycze Oko zaparkowali na swoim stałym miejscu, a teraz oglądali mecz Giantsów. Zaraz po przywitaniu zacząłem im opowiadać.

— Qi masz zupełnie rozchwane — stwierdziła Samantha, złapała mnie za rękę i zaczęła energicznie rozcierać mi dłoń. — Może trochę ci pomogę masażem. Ale powinieneś przyjść do mnie do salonu na akupunkturę i pobudzenie energii.

— Moje qi marzy o pizzy i odrobinie snu — odparowałem.

Miała jednak rację. W ciągu ostatnich dwóch lat, mimo że czasem sprzeciwiałem się Samancie, coraz bardziej doceniałem jej czarodziejską wiedzę. Umówiłem się z nią na następny dzień.

■ ■ ■

Wyszedłem z baru i obejrzałem dokładnie świstek papieru, na którym Erin zapisała sześciocyfrowy numer. Może po prostu

zapomniała jednej cyfry. Spróbowałem kilku kombinacji, za każdym razem wstukując na końcu inną cyfrę. Pod trzema usłyszałem „nie ma takiego numeru”, a przy czwartym odebrała sepleniąca staruszka, która najwyraźniej bardzo chciała pogadać.



Wróciłem do domu skrajnie zmęczony, ale kiedy mój wzrok padł na laptop, nie mogłem się opanować. Wysłałem e-maila do swojego adwokata, przekazując mu sensacyjną wiadomość od sierżanta Wellera, że sprawa Araveli została wznowiona. Zapytałem go o radę.

Potem zacząłem szukać wiadomości w telewizji. Mało w nich usłyszałem nowego poza tym, co wcześniej wiedziałem z „Chronicle” i od Danny’ego. Na widok rozbebeszonej kawiarni ogarnęły mnie mdłości.

Przeczytałem o właścicielu kawiarni, korporacji Idelwild, spółce holdingowej z potężnymi korporacyjnymi właścicielami. Chcieli powtórzyć fenomenalny sukces sieci kawiarni Starbucks — połączyć postęp techniczny z kontaktami międzyludzkimi. Kawiarnie przypominały spotkania przy ognisku, tyle że z bezprzewodowym dostępem do Internetu i lepszymi ciastkami.

Przez cztery godziny surfowałem od jednego linku do drugiego. Choć organizm domagał się łóżka i snu, nie mogłem się oderwać, bo ciekawość i wspomnienia przyświecały moim poszukiwaniom. W końcu zapadłem w sen i obudziłem się rano z klarowną decyzją. Czas odwiedzić umarłych.

10.

W gazecie przeczytałem, że pogrzeb i nabożeństwo żałobne Simona Andersona odbędą się przy jego grobie w Colmie, zwanym Miastem Dusz. Na zielonym zboczu wzniesienia znajdującego się na południe od San Francisco leży pochowanych ponad milion osób. Większy tłok niż w świecie Bay Area panuje tylko na tamtym świecie.

Z nekrologu wyczytałem, że zmarły był bankierem inwestycyjnym, stawiającym na osiągnięcia techniki, i tak się dorobił, że zrealizował swoje marzenie o zostaniu pisarzem. Wydał książkę dla dzieci w wydawnictwie publikującym na koszt autorów.

Wokół gęstniał tłum. Jakaś kobieta obok wyjęła butelkę wody mineralnej i torebkę z mieszanką surowych orzeszków. Powiedziała koleżance, że przyniosła własny prowiant na wypadek, gdyby poczęstunek na stypie nie uwzględniał zdrowej żywności.

Przy grobie rozstawiono namiot, pod którym usiadła kobieta wyglądająca na żonę Andersona, z córką i autystycznym synem. Chłopak podrygiwał z emocji, wyraźnie nieświadom konieczności zachowania powagi. Wokół wznosiły się duże grobowce i małe nagrobki, bogaczy i biedoty sąsiadujących po śmierci.

Kaplica rodziny Silverów była tak duża, że gdyby ją wynająć jako dwupokojowe mieszkanie w Noe Valley, kosztowałaby trzy tysiące dolarów miesięcznie, nie licząc remontów.

Przyjechałem na pogrzeb, żeby od czegoś zacząć, może od kogoś, kto był w kawiarni i komu mógłbym pokazać zdjęcie, które nosiłem za pazuchą. Wyjąłem je i spojrzałem na Annie.

Na drugą randkę umówiliśmy się dwa tygodnie po pierwszej. Nie mieliśmy praktycznie kontaktu, bo wyjechała służbowo do Nowego Jorku i prawie nie odpowiadała na e-maile. Ale kiedy pojechałem po nią do jej mieszkania, natychmiast zaczęliśmy się całować i skończyłoby się nie wiadomo jak, gdyby dziewczynka z przeciwka nie otworzyła drzwi.

Poskarżyła się Annie, że jej kot znów się schował za kuchenkę i siedzi tam od wielu godzin. Annie obiecała pomóc, zniknęła na chwilę w głębi mieszkania i z chytrym uśmiechem pokazała mi torebkę kocimiętki, z którą ruszyliśmy wyciągać Edmunda. Annie uklękała przy kuchence i odstawiła dla dziewczynki z sąsiedztwa nie lada teatrzyk z przywabianiem kota. Cudownie go błagała, przekonując, że wszyscy zainteresowani skorzystają na jego wyjściu z ukrycia.

Kiedy Edmund wychynął, dziewczynka nie posiadała się z radości, podobnie jak Annie, która zdjęła kotu z pyszczka pajęczyny i podrapała go za uchem. Prawdziwa zaklinaczka kotów. Zawsze miałem słabość do kobiet, które trzymały zwierzęta w domu, bo uważałem, że skoro kobieta umie pokochać stworzenie, które na co dzień rzyga na dywan, zniesie i mnie, wraz z moimi kłębami kurzu. Zdumiała mnie, kiedy bez trudu odczytała moje myśli.

— Ale jeżeli ty się schowasz za kuchenkę, na mnie nie licz — powiedziała z uśmiechem.



— Nie jestem kobietą łatwą. Kochałam się tylko z trzema facetami — uprzedziła mnie Annie.

— Naraz?

— Świntuch. — Urwała. — Nasz seks będzie wyjątkowy.

Wciągnęła mnie do mieszkania. W pierwszej chwili niewiele zauważyłem. Uderzyło mnie tylko jedno. Panował tam nieskazitelny ład, zupełnie jak w szpitalu.

— Nat, aż mnie strach ogarnia — powiedziała Annie. Ściszyła głos, jakby była za bardzo zakłopotana, żeby dokończyć myśl. — Czy to się dzieje naprawdę?

Roześmiałem się.

— Też się nad tym zastanawiałem.

Zaprowadziła mnie do sypialni. Zobaczyłem przypięte pod sufitem girlandy lampek choinkowych — niebieskich, czerwonych, żółtych i zielonych — ale niezapalone.

— Powinnam je była zdjąć pół roku temu — powiedziała. — Łatwiej mi zawsze wieszać, niż zdejmować.

— Jasne, fajnie jest wieszać, bo to zapowiedź świąt, urlopu i prezentów. Zdejmowanie oznacza koniec zabawy. Czas hibernacji.

— I to głębokiej — potwierdziła. — W dodatku nie wiem, gdzie je wsadzić.

Roześmiała się, a w jej oczach zapłonęła radość i pożądanie. Rzuciłem się w ich odmętę.



Po wszystkim obejrzałem jej stolik nocny. Był pusty, nie licząc tykającego budzika z metalowymi czarnymi wskazówkami oraz dwóch powieści w twardej oprawie: *Jądro ciemności* i *Horton słyszy Ktosia*.

— Nat, uratowałeś komuś kiedyś życie? — spytała Annie. — No wiesz, jako lekarz.

Opowiedziałem jej historię sprzed dwóch lat, kiedy na moich oczach terenówka przed centrum handlowym wjechała tyłem w ciężarną kobietą. Udzieliłem jej pierwszej pomocy, co zrobiłby każdy po podstawowym kursie. Kobieta umarła, dziecko przeżyło. Mąż kobiety oskarżył mnie o to, że nie unieruchomiłem jej kręgosłupa szyjnego. Jego skargę oddalono, ale przeszedłem piekło.

— Zażądałabym głowy tego faceta na talerzu — powiedziała Annie, po czym spytała: — Dlaczego się uśmiechasz?

To była prawda. Miała rację. W gnieniu oka zmienił mi się humor.

— Od dawna to wspomnienie nie wywoływało we mnie wzburzenia — przyznałem. — Bo też szczerze mówiąc, od dawna prawie nic nie czułem.

Wziąłem *Hortona* z nocnego stolika. W książce widniał autograf z dedykacją: „Dla Annie, przewspaniałej dziewczyny, która pewnego dnia może rządzić światem”.

— Dlaczego zapytałaś, czy uratowałem komuś życie.

— Bo nigdy nie wiadomo, panie doktorze — odpowiedziała rozbawiona Annie — kiedy przyjdzie ci ratować kobietę.

Dwa następne dni spędziliśmy w łóżku. Nie cały czas w porwach namiętności, bo głównie rozmawialiśmy, ale zdarzyło się wiele porywów. Trochę to dziwne, zważywszy na niemal brak kontaktu między dwiema randkami. Kiedy dopytywałem, dlaczego nie odzywała się podczas wyjazdu służbowego, zbyła mnie, że była za bardzo zajęta. Ojciec wysłał ją, żeby przejęła niewielką firmę elektroniczną na północy stanu Nowy Jork. Wyznała, że chociaż była pochłonięta bez reszty pracą, przez cały czas o mnie myślała.

Słowem, spędziliśmy dwa dni na cudownych rozmowach, zamawianym jedzeniu i spacerach z Truskawką Drugim, labradorem, którego nazwała tak na cześć swojego pierwszego psa

z dzieciństwa. Każde z nas opowiadało najważniejsze rzeczy o sobie. Annie nie zносиła, kiedy ktoś dotykał jej szyi, wołała oglądać telewizję przy świetle, to jej uświadamiało, że wydarzenia na ekranie nie dzieją się naprawdę. Kiedy szlifowała swój hiszpański, dorobiła się „młodsze go brata” z East Palo Alto. Miała mocną głowę, ale źle zносиła piwo. Co miesiąc pisała tradycyjny list na papierze do mamy, która przed laty rozwiodła się z ojcem i przeprowadziła do stanu Waszyngton. Lubiała pisać listy i była przekonana, że jej pismo trochę się zmienia w zależności od adresata. Na przykład w listach do mamy było krągłejsze, miało wyrażać współczucie.

Nie umiałbym wyodrębnić jednej rzeczy, która mnie w Annie pociągała, jednego jej osiągnięcia lub cechy skupiającej cały jej powab. Po prostu urzekło mnie, że trzeźwe myślenie łączy z namiętnością, a przy tym czeka, podobnie jak ja, niewykluczone zresztą, że właśnie na mnie. Kiedy obudziłem się w poniedziałek rano, poczułem się naprawdę w szponach nałogu. Ocknąłem się przy naszej pierwszej kłótni.

Minęło kilka tygodni. Siedziałem w staroświeckim fotelu w jej salonie. Odchyliłem głowę na oparcie, żeby napawać się wspaniałą chwilą. Zapewne przesadziłem, bo fotel przewrócił się do tyłu i złamała się noga. Podbiegła Annie. Do fotela.

— Dać ci młotek?

— Mną się nie przejmuj — powiedziałem, unosząc zakrwawioną rękę.

Poszedłem do kuchni, odkręciłem ciepłą wodę i przemyłem sobie skaleczenie błony przy kciuku. Potrzebny mi był plaster z opatrunkiem. Za plecami słyszałem, jak Annie usiłuje zbić razem kawałki drewna. W końcu podeszła do mnie, obejrzała ranę, ale zachowała chłód.

— To pierwszy przedmiot, jaki sama sobie kupiłam — oświadczyła.

Powstrzymałem się od komentarza. Wyszedłem w posepnym milczeniu i przez całą noc odtwarzałem w myślach całe zdarzenie. Może to różnica wychowania. Annie była wychowana na Pradzie, ja na levisach. Z samego rana dostarczono mi przesyłkę. Był w niej mały żółw jaszczurowaty w terrarium. I załączony list: „Okropnie mi przykro, że pogryzłam Cię jak ten gad. Wybacz, A.”.

W najbliższych miesiącach, kiedy jedno z nas zapomniało się w kwestii priorytetów albo rozdmuchało nieproporcjonalnie sprawę, mówiliśmy, że jest „żółwikiem”. To było nasze pierwsze odzwierzęce zdrobnienie. Z czasem „żółwik” stał się naszym ulubionym pieśczośliwym przezwiskiem.

Nie od razu dałem za wygraną. Po pierwszej kłótni zszedłem na niższe obroty. Zacząłem dmuchać na zimne. Pewnego wieczoru, po wyjściu z kina, już mieliśmy wsiadać do samochodu, kiedy Annie poprosiła mnie o kluczyki i zapowiedziała, że ona prowadzi. Usiadłem na miejscu pasażera, a ona położyła mi palec na ustach, prosząc o ciszę. Następnie wyjęła czarną apaszkę, obwiązała mi głowę, zasłoniła oczy. Śmiałem się, kiedy pół godziny jeździliśmy w kółko po mieście. Próbowwała mnie zmylić, żebym nie odgadł celu podróży. Wyobrażałem sobie, że skończymy w hotelowym łóżku, ja w samej przepasce na oczach.

W końcu zaparkowała. Wprowadziła mnie do budynku, weszliśmy po schodach. Poczuję się swojsko. Pamiętam unoszący się w pobliżu zapach ciasteczek cynamonowych. Annie nachyliła się nade mną i powiedziała szeptem:

— Zaufaj mi jeszcze raz.

Włożyła klucz do zamka, otworzyła drzwi. Rozwiązała przepaskę, spojrzała mi w oczy.

— Poznają — powiedziałem.

Zrozumiałem, że stoimy w progu mojego mieszkania.

— Niespodzianka! — zawołała Annie i pokazała stertę prezentów: gęsie pióro, stos papeterii z papieru czerpanego z moim monogramem i nowy laptop Mac z dużym, lśniącym ekranem na staroświeckim mahoniowym biurku. Powiedziała, że chciała podzielić się ze mną zyskiem z umowy, która przysporzyła firmie jej ojca dziesiątki milionów dolarów. Przejechałem ręką po rzeźbionym boku biurka.

— Z pewnością można mnie kupić — stwierdziłem żartem.

— Nie można — zaprzeczyła, ujmując w dłoń moją twarz.

— To są podstawowe narzędzia pisarza. Twoje narzędzia — szepnęła mi do ucha. — Zaczynij pisać. Zaczynij coś tworzyć.

Od tamtej pory zacząłem pisać dla Annie wiersze, zostawiałem jej głupie wiadomości nagrane na sekretarkę automatyczną, podrzucałem liściki do samochodu i nigdy więcej w nią nie zwątpilem.



Na cmentarzu Cypress Lawn wyrwał mnie z zamyślenia głos pastora, który wygłaszał szablonową mowę pogrzebową. Simon Anderson, kochający mąż i ojciec, człowiek wielkiego serca, pełen pasji, opuścił nas przedwcześnie. Po nim przemówił brat Andersona. Był niezwykle przystojny, podobnie jak wielu obecnych żałobników. Inna sprawa, że do San Francisco ściąga wiele urodziwych osób, ale on mimo wszystko się wyróżniał. Dużo mężczyzn było pod krawatem, które panowie noszą już tylko na śluby i pogrzeby. Brat Andersona określił Simona jako człowieka nadzwyczaj błyskotliwego, który zbilby fortunę nawet bez hossy zwanej bańką internetową. Był pilotem i poszukiwaczem przygód odznaczającym się naturalną charyzmą, mężem i ojcem oddanym rodzinie.

— Wiem, że ostatnio różnie mu się układało — rzekł, spoglądając na wdowę. — Ale znacie Simona i wiecie, że nie chciałby od nikogo litości. Zależałoby mu na prawdziwej stypie. Dlatego opróżnijmy jeszcze jedną beczkę.

Kiedy tłum zaczął się rozchodzić, zauważyłem, że sto rąk sięga do kieszeni po telefony komórkowe. Zupełnie jak po wylądowaniu samolotu. Rozglądałem się za człowiekiem, z którym mógłbym porozmawiać. Zauważyłem, że jeden żałobnik kuśtyka z nogą w gipsie. Twarz miał w strupach. Ruszyłem w jego kierunku, ale podeszło do niego dwóch smutnych mężczyzn. Jeden trzymał w ręku notes. Gliny. Odwróciłem się i ruszyłem w przeciwną stronę, na wielki trawnik, który przypominał mi sceneryę uroczystości pogrzebowych Annie, kiedy to setki osób przyszło oplakiwać jej tragiczną śmierć w oceanie. Do tego czasu ludziłem się znikomą nadzieją, że poszukiwania jej ojca, który nie liczył się z kosztami, sprawią cud, a może nawet odnajdzie się ciało.

Żałobnicy ze strony rodziny Andersonów szli równym rzędem do wyjścia. W jednym z zaułków przylegających do ogromnego cmentarza dostrzegłem zaparkowaną na uboczu wysłużoną zieloną hondę z bagażnikiem na narty. Jakaś osoba siedziała skulona za kierownicą.

Zacząła się tu Erin Coultran.

11.

Sądziłem, że na mój widok Erin naciśnie na gaz, ale nie ruszyła. Zaczęła już zamykać okno, ale przestała, kiedy spojrzała na mnie przez okulary przeciwsłoneczne w fioletowych oprawkach, jak gdyby gubiła się w domysłach.

— Wsiadaj — powiedziała raptem z całą stanowczością.

Oddaliliśmy się w milczeniu od konduktu żałobników. Nie lubiła tłumu, a zwłaszcza takiego. Zaparkowaliśmy przy grobie z napisem: „Nasz kotek Frisky powiększył grono aniołków”.

— Człowiek w żałobie naprawdę potrzebuje odosobnienia — powiedziałem.

— Jak się dowiedziałeś, że ten gliniarz omal nie zabił tamtej Malezyjki?

Tyle razy sam tropiłem ludzi przez Google, że umiałem poznać, kiedy ktoś znalazł mnie w wyszukiwarce.

Z kieszeni na piersi wyjąłem małe prostokątne zdjęcie. Może ono odświeży pamięć Erin? A może Annie żyje już tylko w mojej wyobraźni i żadne odświeżanie nie ma sensu.

Trzymałem zdjęcie przed sobą. Nie widziałem przeszkód, żeby nie opowiedzieć Erin historii Araveli od początku. Moi koledzy z medycyny pracowali w szpitalu miejskim San Francisco

prowadzącym ostry dyżur i selekcję chorych na poszczególne oddziały. Często zawiadamiali mnie o ciekawych przypadkach medycznych, które ich zdaniem po pierwsze nie zainteresują prasy codziennej, po drugie nie zostaną w pełni zrozumiane i nie doczekają się wyjaśnienia przez laików bez wykształcenia medycznego.

— Czy to znaczy, że jesteś lekarzem? — spytała Erin.

— Jestem niepraktykującym, niedostatecznie wykształconym, nieśledzącym bieżących osiągnięć absolwentem medycyny.

— Czyli jesteś lekarzem.

Oznaki życia. Prawie się uśmiechnęła, chociaż nie uniosła kącików ust. Kiedy zdjęła okulary, zobaczyłem jej piwne, magnetyczne oczy.

Wyjaśniłem, że moi przyjaciele lekarze zaczęli przyjmować tabuny młodych Azjatek, nosicielek HIV. Mieli świadomość, że to prostytutki. Chodziło o to, żeby ustalić, gdzie pracują. Okazało się, że burdele ogłaszają się eufemistycznie w miejscowych gazetach. Zadzwoiłem po dziewczynę do towarzystwa i dostałem adres w Sunset District. Tam odbyłem gruntowną dziennikarską pracę w terenie. Przeprowadziłem spotkania z wieloma prostytutkami, w tym z Azliną Hathimar, znaną również pod pseudonimem Stokrotka. Przysyłano je z Malezji i Wietnamu, a potem, handlując ciałem, wykupywały się z niewoli.

— Dlaczego nie zgłaszały tego na policję? — spytała Erin.

— Miały wśród swoich klientów gliniarzy, dlatego nie wiedziały, komu ufać.

— Pieprzona policja! — zawołała, odwracając wzrok.

Sam zamierzałem udać się na komisariat, ale obrót wypadków pokrzyżował mi plany. Wróciłem do burdelu na kolejne wywiady i natknąłem się na Azlinę, której Aravelo właśnie

przed chwilą spuścił łomot. Nie jestem pewien, czy przeżyłaby, gdybym się nie zjawił i nie zaczął jej reanimować. Alfonsi mogliby się nie kwapić, żeby wezwać karetkę.

— Czyli teraz prowadzisz śledztwo w sprawie wybuchu w kawiarni? Szukasz kolejnego tematu?

Zapaliła samochód.

— Erin, dokąd jedziemy?

— Do Cole Valley. Później odwiozę cię do twojego auta.

Zupełnie inna Erin niż tamta, która uciekła z przedszkolnej świetlicy. Ta dzierżyła kierownicę w rękę, dosłownie i w przenośni. Zobaczyłem w niej nie lada możliwości.

W pewnej chwili wyjęła długopis, wyraźnie nadgryziony.

— I co ty na to?

— Powiedziałbym, że należysz do gryzoni.

— To sprawka Andy'ego. On go tak pogryzł.

Nie miałem pojęcia, kim jest Andy ani dlaczego Erin mi o nim opowiada.

— Andy odebrał sobie życie dwa tygodnie temu — powiedziała. — Słyszałam, że jakoby skoczył z mostu. Absolutnie bym go o to nie podejrzewała.

— Od kogo o tym usłyszałaś?

Pokręciła tylko głową.



— Andy był twoim chłopakiem?

— Niezupełnie. Był bardzo życzliwy, zabawny. Był... Dwa miesiące temu zaczęły go nękać okropne bóle głowy.

Weześniej zauważyłem butelki wody na tylnym siedzeniu. Odwróciłem się, żeby wziąć dwie. Na siedzeniu leżał stos ubrań, które wylewały się na podłogę, opakowania po słodyczach, kule zmiętego papieru i zniszczony egzemplarz Biblii. W odróżnieniu od Annie Erin nie przywiązywała szczególnej wagi do porządku.

— Cofnijmy się — powiedziałem. — Mogłabyś mi coś powiedzieć na ten temat?

Nie dlatego pytałem, że mnie to szczególnie obchodziło, ale pojąłem, że najlepiej pozwolić Erin mówić. Może powie coś, co pomoże mi zrozumieć związek kawiarni z Annie, jeśli takowy istniał.

A może po prostu nawiążę z Erin lepszy kontakt.



Andy'ego Goldsteina poznała po dwóch latach pracy w kawiarni. Był tyczkowatym drągałem o kędzierzawej pszenicznej czuprynie, która czasem przypominała bujną roślinę wyhodowaną na użyźniających nawozach. Uczył w piątej klasie szkoły prywatnej. Podczas roku szkolnego czasami wstępował po lekcjach do jej kawiarni, żeby oderwać się od szkoły i od dzieciarni. Żartował, że wierzy w uzdrawiającą moc piwa imbirowego.

Erin bardzo się z nim zaprzyjaźniła. Chodzili razem do skateparku i rozmawiali, przekrzykując deskarzy, którzy sprawdzali swoje siły na chodniku. Czasem Andy poważnie mówił tym chłopakom, że jest wysłannikiem MTV i ma za zadanie sprawdzić, który z nich wyróżnia się umiejętnością koncentracji i odwagą, a który popełnia najwięcej błędów. Andy znał się prawie na wszystkim. Zapewniał Erin, że umie ocenić klasę chińskiej restauracji po ryżu. Twierdził również, że ludzkość można podzielić na dwie grupy pod względem zwyczajów korzystania z windy — jedni od razu naciskają guzik docelowego piętra, a drudzy naciskają go przy każdym zatrzymaniu się windy. Był silny, uważny, przy nim śmiała się i czuła spokój.

— W jego obecności zawsze czułam się jak w niedzielne popołudnie — wyznała Erin.

— To znaczy?

— Na tyle bezpiecznie, że mogłabym uciąć sobie drzemkę.

Podczas wakacji Andy zamierzał pojeździć po Wietnamie i Tajlandii, ale postanowił najpierw zrobić magisterium. Przyjaźń kelnerki z gościem trwała, dopóki Andy nie zaczął się dziwnie zachowywać.

— Przez kilka tygodni Andy się podniecał, a potem oklapł. Stał się przykry i rozdrażniony — powiedziała. — Wściekał się, że źle mu przyrządzam latte. Czuł, że coś jest nie tak. Skarżył się, że źle śpi i że dręczą go dziwne, wyraziste koszmary. Prawie odczuł ulgę, kiedy zaczęły się te bóle głowy — dodała. — Bo wreszcie miał na co poskarżyć się lekarzom.

Wstępne badania nie wykazały raka, ale niczego nie przesądzały. Zgłosił się więc do neurologa, który zrobił bardziej skomplikowane testy, a te wykryły coś dziwnego. Erin nigdy nie usłyszała pełnego wyjaśnienia, ale niektóre wyniki dawały powód do nadziei.

Dwa dni później skoczył z mostu Golden Gate.

Usiłowałem przypomnieć sobie podstawy neurologii i psychologii. Andy był rozdrażniony. Miał wyraziste sny. Myśli samobójcze. Czyżby to był dowód na początki psychozy lub schizofrenii? Przypomniałem sobie, że takie objawy zwykle dopadają ludzi po trzydziestce. Tyle że nie pasowało mi to do reszty obrazka.

Nie zdziwiłem się natomiast, że zakończył życie skokiem z mostu. Tam kończyło ze sobą statystycznie najczęściej samobójców na świecie, co prowokowało ożywione dyskusje, czy San Francisco nie powinno zamontować siatki ochronnej, która przynajmniej utrudniłaby skoki do wody. Krytycy pomysłu twierdzili, że zafundujemy sobie drogą szkaradzieństwo, co skłoniło mnie do zastanowienia, czy moi współmieszkańcy z San Francisco mają prawo ostentacyjnie twierdzić, że są mniej powierzchowni od pięknoduchów z Los Angeles.

Spytalem Erin, czy powiedziała na policji o Andym.

— Złożyłam zeznanie tuż po wybuchu.
— Porucznikowi Aravelo? — spytałem.
— Ty też?
— Aha. — Skrzywiłem się. — Erin, to tragedia, przyjmij wyrazy współczucia. Ale nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego z wybuchem albo z czymkolwiek innym.

Pokręciła głową.

— Dziwny zbieg okoliczności — powiedziała stanowczym, lecz dalekim głosem. — Tam, w kawiarni, stało się coś złego.

Przemyślałem to stwierdzenie. Z jej tonu biła pewność, która wcale nie wynikała z jej słów.

— Erin, kiedy znalazłem cię w świetlicy, z której uciekłaś, najpierw zasugerowałaś, że widocznie cię z kimś myślę. A potem spytałaś, co przeskrobałem. Co znaczyły te odzywki?

Wzruszyła ramionami.

— Bo chyba gryzie mnie sumienie.

— Dlaczego?

— Że ocalałam — wyjaśniła cicho. I dodała: — Chciałabym ci coś pokazać.

12.

Cole Valley znajduje się zaraz na północ od Haight-Ashbury, słynnego zakątka, który w latach sześćdziesiątych przedzierzgnął się ze spontanicznego w na pół komercyjne targowisko koszulek farbowanych domowym sposobem po związaniu sznurkiem. Cole Valley w przeciwieństwie do Haight stanowi królestwo japisonów. Mieszka tu wielu właścicieli audi A4, użytkowników kart kredytowych Pottery Barn.

Tutaj również znajdowało się mieszkanie Andy'ego, a w nim stos kartonów po mleku służących mu za prowizoryczne regały na książki, zbiór kolorowych, niepasujących do siebie mebli i hamak. Na ścianie nad telewizorem z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku wisiał plakat przedstawiający Einsteina. Elegancja rodem z garażowych wyprzedaży. Moda à la profesor Du, guru matematyki. Erin podała nam herbatę w plastikowych kubkach z emblematem corocznego biegu Zatoki San Francisco na dystansie dziesięciu kilometrów.

Ponieważ, jak wyjaśniła, miała klucz do mieszkania Andy'ego,

kiedy znalazła chwilę wolnego czasu, zebrała się na odwagę, żeby w nim posprzątać.

Pokazała mi zdjęcie. Andy na kempingu. Chociaż słońce świeciło jasno, mogło niemal pozazdrościć promienności filuternemu uśmiechowi Andy'ego. Chłopak miał zmierzwiene blond włosy, a ubranie, jakby wybrał coś na łapu-capu z Armii Zbawienia. Sprawiał wrażenie luzaka.

— Nie jestem lekarzem — powtórzyłem.

— Ale skończyłeś medycynę. I widzę, że jesteś bystry. Chciałabym tylko zrozumieć, co się stało. Wysłuchaj mojej wersji zdarzeń.

Nagle nie miałem serca jej zwodzić, a może zabrakło mi cierpliwości.

Sięgnąłem za pazuchę, wymacałem zdjęcie. Wyjąłem, położyłem na stole. Miało typowy dawniej format osiem na trzynaście centymetrów, białą ramkę. Annie stała na skale na tle jeziora Tahoe.

— Piękna kobieta — pochwaliła Erin. — To ona zostawiła ci ten liścik?

Przyznałem, że nie wiem.

Wzięła zdjęcie do ręki.

— Nigdy jej nie widziałam.

— Jesteś pewna?

— Przykro mi.

Nasze spojrzenia na chwilę się spotkały, ale Erin szybko odwróciła wzrok. Schowałem zdjęcie Annie do kieszeni. Poczuliśmy, że musimy uciec od wspomnień. Popatrzyłem na długopis Bic.

— Nie tak trudno przegryźć długopis.

I natychmiast pożałowałem swoich słów. W moim komentarzu pobrzmiwał sarkazm. O co mi chodziło? Nietrudno przegryźć długopis, ale po co ktokolwiek miałby to robić — ze stresu czy z agresywnej obsesji oralnej?

— Andy rzadko wpadał w zły humor. Potrafił zasnąć na podłodze przy telewizji i obudzić się dopiero nazajutrz rano. Ale dwa miesiące temu wkroczył do kawiarni i oznajmił, że ma za sobą bezsenność. Podobno oglądał inforeklamy. Bardzo nas ubawił. Odstawił faceta, który sprzedaje nagrania dla psów poprawiające nastrój.

Nagle przestało mnie to śmieszyć. Nie spał kilka kolejnych nocy.

— Czy zmienił coś w swoim życiu? Może zwiększył pobór kofeiny? Może przeżywał z jakiegoś powodu stres? Może wprowadził zmianę do ćwiczeń fizycznych? — dopytywałem.

— Nie. Też podszedł do sprawy bardzo analitycznie. Przystudiowaliśmy składniki wszystkich produktów żywnościowych, które w tym okresie zjadł.

— A inne codzienne nawyki?

— Wydawał mi się bardziej napięty.

— Napięty? To znaczy podminowany z niewyspania?

Erin upiła łyk herbaty.

— Chyba za bardzo koncentrował się na swoich badaniach. Zauważyłem, że na niektóre z moich pytań odpowiada wymijająco.

Andy kończył pracę magisterską na temat zwyczajów dzieci, które pozostają pod wspólną opieką rozwiedzionych lub będących w separacji rodziców. Śledził wpływ rozstania rodziców na dzieci kursujące co tydzień między dwoma domami. Zebrał pokaźną grupę uczniów, z którymi nawiązał korespondencję przez Internet.

— Chcesz powiedzieć, że dorosły człowiek korespondował elektronicznie z dziećmi? Czyżby zdenerwował tym rodziców? Może ktoś zaczął mu grozić?

Erin zaprzeczyła. Zapewniła mnie, że postarał się o zgodę

wszystkich rodzin, z którymi pracował pod patronatem swojej uczelni.

Zresztą, jak można tłumaczyć czymś takim bóle głowy?



Zastanowiłem się nad jej pytaniem. Nie miałem pojęcia, dlaczego Andy cierpiał na bezsenność. Łatwiej mi było zrozumieć jego pobudzenie i bóle głowy. Tak po prostu działa fizjologia. Kiedy ciało nie dostaje wystarczającej porcji odpoczynku, organizm się nie regeneruje. Do funkcjonowania potrzeba mu coraz więcej adrenaliny. Wkracza mechanizm reakcji na stres, czyli nadmiernego wzbudzenia. Organizm traci rytm, a następnie wysiada psychika.

Podniosłem wzrok. Erin postawiła na stole laptop. Odwróciła ekran w moją stronę. Widniało na nim tylko jedno słowo „ping” wstukane tysiące razy.

— Któregoś wieczoru, kiedy źle się czułem, pojechałem do niego, żebyśmy razem obejrzeli film. Przespałem całą noc na kanapie. Rano zastałem Andy'ego na schodach, walił jak szalony w klawiaturę. Przepisywał w kółko jedno słowo „ping”. Powiedział, że pisze tak od wielu godzin dla zabicia czasu.

Zauważyłem, że klawisz odstępu w laptopie jest pęknięty i wygięty.

— Kiedy zapytałam o to Andy'ego, odpowiedział, że widocznie za mocno uderzał.

Zastanowiłem się, czy w dzienniku Andy'ego nie znajdę zapisków, które wyjaśniłyby stan jego psychiki.

— Właśnie próbuję dociec — odparła Erin, raptem ożywiona — Jest plik z dziennikiem, ale nie znam hasła, dlatego nie mogę wejść.

Właśnie tego Erin spodziewała się po mnie. Że pomogę jej zajrzeć do prywatnych zapisków Andy'ego. Zawsze zdumiewała

mnie beztroška ludzi w dziedzinie informatyki. Przesyłamy sobie e-mailami sprosne dowcipy i ujawniamy poglądy polityczne, korzystając ze środka, który uwiecznia wszystkie przekazy. Nawet jeżeli próbujemy skasować swoje wpisy, pozostawiamy ślady i tropy. Albo w miejscach publicznych rozmawiamy przez komórki na najbardziej osobiste tematy. Może nam nie zależy. Albo skrycie pragniemy, żeby nas przyłapano na byciu sobą.

Chwilę podlubałem przy komputerze, usiłując otworzyć plik. Facet nie żył, dlatego nie naruszałem jego prywatności. Okazało się, że nie zdołałbym, nawet gdybym chciał, bo zabrakło mi umiejętności technicznych.

Nie bardzo sobie wyobrażałem, co Andy lub jego laptop mogą mieć wspólnego z wybuchem w kawiarni, ale rozumiałem desperacką ciekawość Erin. Sam zresztą byłem gotów chwycić się brzytwy.

— Pożyczysz mi ten laptop na dzień albo dwa? — zapytałem. — Znam jednego geniusza informatycznego, któremu mógłbym go pokazać.

Opowiedziałem jej o artykule, nad którym pracuję — na temat wpływu promieniowania telefonów komórkowych na mózg człowieka. Moim konsultantem był Mike Thompson z Informatycznego Ośrodka Naukowo-Badawczego Uniwersytetu Stanforda. Znał się na tym, podobnie jak na wielu innych sprawach z zakresu technologii informacyjnej.

— Powiniennem wiedzieć coś jeszcze? — zapytałem.

Wyglądało na to, że Erin jest absolutnie pewna, że coś się stało. A może kierowało nią jeszcze coś innego? Może świadomie coś ukrywała?

Miała nieobecne spojrzenie. Pokręciła głową.

— Mój mąż był alkoholikiem.

— Twój mąż? — upewniłem się, usiłując połączyć te pozornie niezwiązane fakty.

— Eksmąż — dodała. — Kiedy był w ciągu, stawał się innym człowiekiem. Różnił się od codziennego siebie jak dzień od nocy. Podobnie sprawy miały się z Andym.

— Pił?

— Nie. Nie to chciałam powiedzieć. Przez ostatnie półtora miesiąca życia Andy stał się innym człowiekiem. Przecież go znałam. Nawet jeżeli to była choroba, zmieniła go. Twierdzę, że go... porwano.

— Nie chciałbym kwestionować twojej intuicji, Erin, ale wiem z całą pewnością, że guzy wpływają na zmiany nastroju. Podobnie jak zmiany chemii mózgu. Stanowią o istocie depresji.

Poprosiłem ją o nazwisko neurologa Andy'ego. Dała mi wizytówkę doktora nauk medycznych Murraya Barda z wyjaśnieniem, że polecił go Andy'emu Simon Anderson. Andy zaprzyjaźnił się z Simonem w kawiarni i czasem pilnował jego dzieci w West Portal.

— Simon owijał sobie wszystkich wokół palca — ciągnęła Erin. Mówiła teraz z ożywieniem, jak ja, kiedy tłumaczyłem się przed swoim naczelnym.

— Simon miał zaprzyjaźnionego neurologa?

— Simon znał wszystkich.



Zaproponowałem, że pojedę sam taksówką do swojego samochodu, ale Erin uparła się, że odwiezie mnie na cmentarz. Wziąłem laptop Dell i wyszliśmy. Ledwo zrobiłem dwa kroki, omal nie przewróciłem się na twarz. Jakiś mechanik naprawiał światła w korytarzu, a ja byłem tak rozbity i zmęczony, że nie zauważyłem kabli. Aż dziwne, że nie zauważyłem mechanika, bo był grubasem z bujną, kudłatą brodą. Burknął coś z niezadowolaniem pod moim adresem.

— Chodzenie nie jest dla ludzi pokornego serca — skomentowała Erin.

Nagle roześmiała się serdecznie, rozładowując sytuację. Dawno nie słyszałem tak czystego śmiechu.

Chociaż taki śmiech może też być mylący. Kiedy odzyskałem równowagę, postanowiłem, że gdy już podrzucę laptop specjalście, wybiorę się dokądś, żeby spojrzeć na Erin i kawiarnię z korzystniejszej perspektywy.

13.

Erin postanowiła pojechać ze mną do Informatycznego Ośrodka Naukowo-Badawczego Uniwersytetu Stanforda, gdzie miałem podzucić laptop. I tak musiałem tam pojechać, żeby odebrać materiały do artykułu o wpływie telefonów komórkowych na mózg. Termin oddania wisiał mi jak miecz nad głową.

Miałem we krwi wywiązywanie się z terminów, czego człowiek uczy się w Dolinie Krzemowej. Na każdym kroku przypomina się nam o upływie czasu. Niekoniecznie muszą to być zegarki lub zegary, bo również telefony komórkowe, palmtopy, pagery — wszystkie wyświetlają cyfrowo aktualną godzinę co do minuty. Ktoś z moich przyjaciół chwalił się, że nie nosi zegarka, jakby chciał powiedzieć, że dojrzały człowiek nie musi się dać ograniczać czasem. W rzeczywistości miał siedemnaście innych urządzeń, które pilnowały jego sumienności.

Czekała nas czterdziestominutowa jazda na południe do Palo Alto, serca Doliny. Mieszkają tam ludzie z niebezpieczną kombinacją dwóch na pozór rozbieżnych umiejętności — zdolności matematycznych i marketingowych. Udało im się

wprowadzić swoje wynalazki do wszystkich domów, samochodów, kieszeni i firm we wszystkich krajach rozwiniętych.

W porównaniu z ludźmi z Doliny Krzemowej rekiny wielkiej finansjery to frajerzy. Oczywiście, że są potentatami finansowymi. Ale za każdym razem, kiedy tworzą nowy samochód lub trakcję kolejową, wkładają w to pieniądze. Wydają krocie, żeby coś stworzyć.

Na tym polega geniusz Doliny. Najbardziej rentowne spółki mają niemal zerowe koszty produkcji. Bo raz opracowany program komputerowy mogą powielać za jednym naciśnięciem guzika, tak jakby drukowali dolary.

Kiedy wjechaliśmy na autostradę, włączyłem telefon komórkowy. Zadzwoiłem do Leslie Fernandez, koleżanki z medycyny, która po studiach została neurołożką. Pomyślałem, że może skontaktuje mnie z Murrayem Bardem, lekarzem prowadzącym Andy'ego. Najlepiej dotrzeć do jednego lekarza przez drugiego.

Miałem szczęście. Leslie odebrała od razu. Chyba sprzyjającą okolicznością było to, że na studiach spędziliśmy kilka nocy, bawiąc się w doktora.

— Długo się nie odzywałeś, Nat — powiedziała. — Pozwól, że zapytam, czy wszystko u ciebie w porządku? A po drugie, czy dasz się zaprosić na kolację?

Zapomniałem, jaka bywa bezpośrednia.

— Dziękuję, wszystko w porządku. Nadal przystawiasz ludziom elektrody do mózgów, żeby rozruszać im członki?

— Och, Nat. Uwielbiam, jak świntuszysz.

Erin nawet ze swojego oddalenia wyczuwała, że w głosie Leslie brzmi flirt.

Przez chwilę rozmawialiśmy z Leslie, co u nas słychać. Po czym przeszedłem do rzeczy i spytałem, czy zna doktora Barda i czy mogłaby mnie polecić. Powiedziałem jej, że podobno robi

ciekawe badania na temat sygnałów elektrycznych wysyłanych do mózgu. Leslie wiedziała, że zajmuję się dziennikarstwem medycznym. Z mojej prośby wyciągnęła własne wnioski.

— Masz szczęście, bo znam Murraya dość niezłe.

— Jak mam to rozumieć?

— Nie kombinuj. Zadzwońię do niego. Spróbuj go dziś po południu złapać w gabinecie — powiedziała Leslie. — Czyli nie upijemy się razem w ten weekend ani nie przenocujemy w śpiworze w parku Golden Gate.

— Co się odwlecze, to nie uciecze.

Roześmiała się.

— Dobra, muszę pędzić.

Uśmiechnąłem się speszony do Erin.

— Dawna sympatia.

— Długo się spotykaliście?

Uznałem jej pytanie za retoryczne. Ale już następnego nie.

— No to powiedz mi o osobie, którą straciłeś.



Mijaliśmy wjazd do Atherton, supermodnego osiedla, w którym mieszkali rodzice Annie. W odróżnieniu od przyległych osiedli Atherton nie czuł się włączony do miasta, lecz uważał się za osobną miejscowość.

Bardzo często, kiedy tata i macocha Annie wyjeżdżali, zaglądaliśmy do ich willi w Atherton. Zawsze zwalnialiśmy na noc służbę — kucharkę, pokojówkę oraz faceta, którego jedynym zadaniem było pilnowanie samochodów w garażu. Potem sprawdzaliśmy, w ilu pokojach zdołamy się całować co najmniej dziesięć minut, przy czym przed wyjściem z danego pomieszczenia mogliśmy zdjąć tylko po jednej sztuce garderoby. Pewnego wieczoru zjawiłem się dla żartu w sześciu warstwach ubrań narciarskich, na co Annie trwale zmodyfikowała nasze

reguły gry, bo rozebrała mnie już w przedpokoj, w którym następnie spędziliśmy całą noc.

Kiedy indziej, mając do dyspozycji willę na cały tydzień, Annie i ja obiecaliśmy sobie, że postaramy się odświeżyć znajomość, próbując co wieczór innych rozrywek. Zdecydowaliśmy się na kręgle po pijanemu, następnie koncert Lenny'ego Kravitz, ale daliśmy sobie spokój, kiedy w środę, nie mając nic lepszego do roboty, wyładowaliśmy na zebraniu rady miejskiej w Palo Alto. W połowie prezentacji przed komisją do spraw rozwoju chichotaliśmy w ostatnim rządzie, kiedy jakiś radny zapytał, co tam robimy.

— Domagam się święta państwowego na cześć tej kobiety
— oświadczyłem szczerze.

Radny wyprosił nas z sali.

Po wyjściu trafiliśmy do parku miejskiego, w którym przy sztucznym świetle odbywał się nocny turniej miejscowego klubu szachowego. Zawodnicy wyeliminowani z turnieju rozgrywali teraz partie między sobą albo przyjmowali łaskawie wyzwania widzów. Razem z Annie wyzwaliśmy na pojedynek czternastolatka z wystającymi zębami. Rozgromił nas w dziesięć minut, i to dwa razy z rzędu.

— Nie kupujemy naszemu synowi szachów. Zbyt duże zagrożenie — oznajmiła Annie, kiedy stamtąd odchodziliśmy. — Tylko futbol amerykański i narciarstwo ekstremalne.

— Synom. W liczbie mnogiej.

— Jesteś pewien? — spytała.

— Jestem.

— I córkom.

— Będziemy mieli dwóch synów, dwie córki i jedną hybrydę. Pół mężczyznę, pół kobietę, pół żółwia.



— Milczysz?

Pytanie padło z ust Erin.

— Wciąż o niej myślisz.

Już drugi raz omal nie podjąłem rozmowy, ale znów mi przerwano. I znów telefon. Dzwonił sierżant Danny Weller.

— Co słyhać, Nat? — spytał. Nie wiem, czy rzeczywiście interesowała go moja odpowiedź, bo szybko dodał: — Masz dla mnie chwilę?

— Jasne.

— Chciałem cię zawiadomić, że znaleziono czerwonego sababa.

— Gdzie? — prawie zawołałem.

— Wyciągnęli go z odosobnionej zatoczki w pobliżu Half Moon Bay — powiedział. To niewielkie miasteczko na wybrzeżu. — Jakiś rybak złapał zderzak na haczyk.

Oniemiałem. Danny roześmiał się.

— Nigdy z tatą nie złowiłem nic tak wielkiego.

— Danny, czy w samochodzie znaleziono ciało?

— Nie.

Zamilkł. Tym razem ja przerwałem milczenie.

— W porannej gazecie nie znalazłem wzmianki o tym samochodzie.

Wcześniej rzuciłem okiem na „Chronicle”. Niewiele tam znalazłem na temat śledztwa. Sporo domysłów i brak komentarza ze strony policji. Czyli reporterzy albo wiedzieli znacznie mniej ode mnie, albo nie chcieli się tą wiedzą dzielić.

— I nie znajdziesz — powiedział Danny w nawiązaniu do tego, czego nie zobaczą w gazetach. — Cennych informacji nigdy nie przekazujemy prasie.

Dlaczego mi to mówił?

— Zgłaszał się do ciebie ktoś ze śledczych? — spytał.

— Nie.

Zakasłał, odchrząknął.

— A ty? Dowiedziałeś się czegoś? Rozmawiałeś z tą znajomą kelnerką?

Spojrzałem na Erin.

— Chcesz się spotkać? — odpowiedziałem pytaniem. — Spodobał mi się tamten bar. Mroczny, obskurny i kieliszki wydały mi się wyjątkowo brudne.

— Spotkajmy się tam o szóstej — powiedział. — Przyniosę mydło.



W Informatycznym Ośrodku Naukowo-Badawczym Uniwersytetu Stanforda nie zastaliśmy Mike'a, zostawiłem mu więc laptop z liścikiem, żeby zajrzał pod maskę. Żadnych konkretów, żadnego ponagłania.

W drodze powrotnej zaproponowałem, że zajrzemy do domu Simona Andersona. Może nadal będą tam uczestnicy pogrzebu i zdołamy porozmawiać z wdową. Erin nie wykazała zainteresowania, ale nalegałem. Umiała tam dojechać. Prawie w milczeniu dotarliśmy na miejsce.

— Chyba nie lubiłaś Simona — powiedziałem.

— Bo był graczem, a w każdym razie za takiego się uważał. Sądził, że nikt nie może mu się oprzeć.

— Mimo że był żonaty?

Coś mi się przypomniało z pogrzebu. Brat Simona wspominał, że pod koniec życia różnie mu się układało. Spytałam Erin, czy nie wie, co miał na myśli.

Wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Może pogorszyły mu się stosunki z żoną albo chorował, nie wiem. Słuchasz plotek. Wierz mi, nie warto w tym grzebać — zbyła mnie, po czym zmieniła ton, a jednocześnie temat. — Naprawdę pasjonował się czarnoksiężnikami.

— A kto ich nie lubi?
— Pisał książkę z fantastyki dla młodzieży.
— Na wzór Harry'ego Pottera?
— Dostawał szału, kiedy zadawano mu to pytanie. Nawet zrobiliśmy z tego w kawiarni stały dowcip. Wspominaliśmy Harry'ego Pottera tylko po to, żeby obserwować grymas na jego twarzy. Bardzo się zaprzyjaźnili — dodała po chwili.

Nie zrozumiałem powiązania.

— Ale kto?
— Andy z Simonem. Andy pilnował Simonowi dzieci. Brał na siebie dużą odpowiedzialność, bo najmłodszy syn Simona był bardzo chory — wyjaśniła Erin, znów skupiona. — Andersonowie mają okazały dom.

Mieli okazały dom.

Kiedy skręciliśmy za róg, naszym oczom ukazał się dom zabitego ambitnego powieściopisarza. Stał w ogniu.

14.

Pominąwszy przedziwny zbieg okoliczności, że płomienie trawiły kolejny budynek, w pierwszej chwili pożar wydał mi się niewinny, jak gdybym oglądał relację w telewizji CNN. Cokolwiek tu się stało, rozpoczęło się przed chwilą. Z okna od frontu snuła się wstęga ognia. Był to dwupiętrowy dom, z beżową sztukaterią, czarnymi obramowaniami i czerwonymi drzwiami. Sprawiał wrażenie solidnego, dobrze trzymającego się w posadach.

Wtem rozległ się gardłowy ryk. Przez ogród przewaliła się fala gorąca. Ogień wylał się z okien na parterze. Na chodniku stał mężczyzna w sportowym stroju, z torbą tenisową i telefonem komórkowym. Podszedłem. Rozmawiał ze strażą pożarną.

— Chwała Bogu, wszyscy są na nabożeństwie żałobnym — wymamrotał.

Małe cuda, ale tylko małe. Bo gdy już uznaliśmy, że nikogo z rodziny nie ma w domu, mężczyzna wskazał okno na piętrze. Jakaś otyła kobieta otworzyła je i wymachiwała rękami. W oczach miała strach.

— Tylnymi drzwiami! — krzyknął.

— Ja tu zginę!

— Straż już jest w drodze! — zawołał. — Proszę zachować spokój!

— Sam sobie, kurwa, zachowaj spokój!

Zza domu wyprysnęli dwaj chłopcy na rowerach i zawołali:

— Pali się weranda z tyłu!

Spojrzałem znowu na kobietę. Chwytała szybko powietrze, zadziałała hiperwentylacja. Nie spowodował jej pożar, lecz strach.

Podobnie jak w wielu domach w San Francisco garaż znajdował się częściowo pod ziemią. Zatem pierwsze piętro było praktycznie nie więcej niż sześć metrów nad ziemią.

— Proszę otworzyć okno na oścież i usiąść na parapecie. Kiedy zaczniesz się pani zsuwać, złapiemy panią za nogi. Przytrzyma się pani rynny — zakomenderowałem nieoczekiwanie dla siebie. — Przekona się pani, wszystko pójdzie bezpiecznie, łatwo i prosto.

Zaczęła oddychać jeszcze szybciej. Zzerał ją strach, w ogóle mnie nie usłyszała. Atak paniki. Chyba nie tyle bała się spłonąć żywcem, ile zemdleć i zostać bez pomocy. Obserwowałem działanie fizjologii. Zaraz czarna sadza zatka jej drogi oddechowe, ograniczy dopływ tlenu do krwi, serca i mózgu.

Nadal prześladowała mnie decyzja o porzuceniu medycyny. Trochę dlatego, że często przybierałem obronną pozycję atakowany przez ludzi o szablonowym myśleniu. Bardziej jednak dlatego, że nie mogłem sobie poradzić z dopadającym mnie okresowo brzemieniem odpowiedzialności. W obliczu problemu zdrowotnego lub jego objawów brakowało mi wystarczającego doświadczenia, żeby go w pełni opanować albo jakkolwiek pomóc. Okazuje się, że lekarze rzadko ratują bohatercko życie, aleja nie mogłem się nawet łudzić, że kogokolwiek bym uratował.

Co mogłem zrobić? Nie trzeba było neurochirurga, żeby zobaczyć, że należy tę kobietę uspokoić.

— Niech pani wystawi głowę przez okno! — zawołałem. — I teraz wolno, głęboko oddycha.

Nadal stała jak sparaliżowana.

— Halo!

Zero reakcji.

Podszedłem krok bliżej.

— Niech mnie pan podsadzi.

Stojący obok mężczyzna instynktownie chwycił mnie za rękę. Zapewne myślał: nie bądź idiotą.

Bo nie wiedział, że w codziennym życiu bywam nie mniejszym idiotą. Chociażby dwudzieste pierwsze urodziny obchodziłem, wdrapując się na Aconcaguę w Argentynie liczącą siedem tysięcy metrów, przy czym wspinaczkę utrudnia duża wysokość i przenikliwe wiatry.

Obejrzałem rynnę przy oknie biegnącą z boku budynku. Wejście na górę nie wydawało mi się szczególnie ryzykowne. A kobieta wyraźnie opadała z sił. Jeżeli ktoś tam zaraz nie wejdzie i jej nie uspokoi, kobieta się udusi i spali.

Potoczyłem wzrokiem po zgromadzonych sąsiadach. Nikt nie wiedział, co robić. Do drzwi i okien na parterze nie było dostępu.

Podszedłem pod jej okno.

■ ■ a

Złapałem się rynny, oparłem na próbę nogę o stiukową fasadę. Ześlizgnęła się. Spojrzałem na swoje stopy. Miałem na sobie niefortunne na tę okazję śliskie czarne skórzane półbuty, które włożyłem na pogrzeb. Podciągnąłem się jeszcze raz na rynnie. Mężczyzna, do którego przedtem się zwróciłem, stanął pode mną wraz z drugim. Podsadzili mnie. Stojąc na krzeselku, z ich rąk musiałem się podciągnąć już tylko metr o własnych siłach, żeby sięgnąć parapetu.

Kiedy zacząłem tracić równowagę, złapałem się metalowej obręczy, którą rynna była przymocowana do budynku. Próbo-
wałem znaleźć drugą taką obręcz na oparcie nogi, ale poczu-
łem, że tracę uchwyt. Zacząłem zjeżdżać po rynnie. Wylądowa-
łem na nogach, upadłem na tyłek.

Zerwałem się i znów podsadzili mnie tamci dwaj mężczyźni.
Wisiałem metr od parapetu, ale z każdą chwilą coraz mniej
przypominałem Spidermana.

Kogo chciałem nabrać? Pisałem artykuły medyczne po do-
larze od słowa, dwa razy w tygodniu ćwiczyłem rzuty do kosza,
a do swoich bohaterских wyczynów zaliczałem zjedzenie ka-
napki z tuńczykiem i majonezem, którego okres przydatności
do spożycia dobiegał końca. Nigdy nawet w telewizji nie gra-
łem doktora.

Poczułem jednak przyływ adrenaliny, niemal obcy sobie
przymus działania. Może działałem za podszeptem Annie?
Podciągnąłem, się pół metra do parapetu i zrozumiałem, że nie
dam rady wyżej. Słyszałem już syreny nadjeżdżających wozów.
Podniosłem wzrok, zobaczyłem we framudze okiennej głowę
kobiety. Oparła tłusty podbródek na parapecie i z trudem,
gwałtownie chwytła powietrze.

— Halo! — zawołałem do niej. — Widziała pani kiedyś, jak
ktoś spada i łamie sobie kark?

— Co?

— Jak pani na imię?

— Agnes.

— Wszystko będzie dobrze.

Przekręciła głowę na bok i zwymiotowała. Głowa odskoczyła
jej do tyłu. W takiej panice i przy tej tuszy mogła dostać zawa-
łu. Ciśnienie musiało jej niebotycznie podskoczyć. Oczy miała
otwarte.

— Nie chcę umierać.

Raptem wstrząsnął nami wybuch. Ledwo utrzymałem się przy rynnie, bo nogi oderwało mi od ściany budynku, aż majtnęły jak podarta flaga. Przywarłem kurczowo, żeby nie spaść. Przez okno buchnął z rykiem żar, wokół płomienie.

Kobieta znów zaczęła dyszeć. Cała rozdygotana, rozplakała się. Musiałem wciągnąć ją w rozmowę. Przekierować jej uwagę na mnie.

— Agnes, co się stało?

Milczenie.

— Agnes! Musi mi pani powiedzieć, co tu się stało.

Wtedy jakby się ocknęła.

— Jestem tu tylko gospodynią. Dziś nawet nie jest mój regularny dzień pracy — powiedziała. — Sprzątałam. Zrobiło się gorąco. Potem wszystko potoczyło się diabelnie szybko.

— Czują pani gaz? Zdarzyło się coś dziwnego?

Usłyszałem łoskot na parapecie. Tak byłem pogrążony w transie, że nie zauważyłem przyjazdu straży pożarnej.

— Może i czułam. Nie wiem. Kiedy przyszłam, pracował tu elektryk. W domu nie było nikogo, bo wszyscy pojechali na pogrzeb. Elektryk powiedział, że musi okablować suterенę.

Przerwał jej kolejny wybuch, ale strażacy już wchodzili na górę. Jeden chwycił ją pod pachę. Poczułem czyjąś rękę na ramieniu. Ktoś sprowadził mnie po drugiej drabinie.

Kiedy znalazłem się na ziemi, podszedłem do rosnącego tłumu, żeby odszukać Erin. Wciąż siedziała oszołomiona w samochodzie.

— Ojej.

Nie powiedziała nic więcej, jak gdyby w trakcie pożaru jej zdolność wyrażania bardziej złożonych emocji ewakuowała się.

— Mam złą wiadomość, a może jeszcze gorszą — powiedziałem.

— Jaką?

— Cały ten wybuch, Andy, Simon, pożar, wszystko prowadzi do kawiarni Sunshine — stwierdziłem. — Kawiarnia znajduje się w centrum tego dramatu.

To była sensacja, przynajmniej dla mnie. Dotąd nic nie układało mi się w żadną sensowną całość. Przytknęła dłoń do mojej twarzy.

— Co się stało? — wydusiła wreszcie.

Powiedziałem jej, co ta kobieta mówiła. Może ktoś sabotował system elektryczny u Andersonów. System elektryczny. Podskoczyłem.

— Mieszkanie Andy'ego! — wykrzyknąłem.

— Ale o co chodzi? — spytała Erin.

— Przed jego mieszkaniem też ktoś grzebał przy światłach. Robotnik albo elektryk. Może też chcą je spalić.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce.

— Musimy tam jechać, i to natychmiast! — zawołałem.

15.

Erin wykręciła 911 i śmignęła przez Laguna Honda sobie tylko znanym skrótem w stronę Cole Valley do domu Andy'ego.

Zatrzymałem się za minivanem windstar, na co obrząbiła mnie orkiestra klaksonów.

— Chciałabym zgłosić pożar — powiedziała Erin. Słyszałem tylko jej słowa.

— Nie, nie ma ognia ani dymu.

Dyspozytor najwyraźniej kazał jej się uspokoić i zaczął zadawać pytania. Podała adres Andy'ego, a ja wdepnąłem gaz. Ruszyłem z piskiem opon. Licznik obrotów podskoczył na pięćdziesiąt.

— Błagam, oni mogli namierzyć jego mieszkanie.

Erin zamknęła telefon i powiedziała, że kogoś przyślą.

Mknąłem w kierunku Haight-Ashbury, ale musiałem zahamować z piskiem opon. Pół ulicy dalej był korek. Przejazd blokowała demonstracja kilkunastu dwudziestokilkuletnich pacyfistów. Stali na rogu ulic, walili w tamburyny i potrząsali transparentami. Byli za czymś albo przeciwko czemuś. Jak ktoś wystarczająco długo mieszka w San Francisco, przestaje czytać

takie afisze. Wiedziałem tylko, że tarasują nam dojazd do następnej ulicy.

Nacisnąłem klakson. Wielki błąd. Nic tak nie rozjusza grupy nieformalnych demonstrantów. Wyglądali na ludzi, którzy się naćpali, naoglądali wiadomości w telewizji Fox, dostali szału, sporządzili transparenty i ruszyli na słynne skrzyżowanie. Szukali wspólnego wroga i znaleźli mnie.

Dwoje stanęło na przejściu dla pieszych i podeszło do okna mojego samochodu. Kobieta miała na sobie długą białą spódnicę z lat sześćdziesiątych i modną wiatrówkę firmy North Face.

— Zanieczyszczasz ziemię swoją machiną śmierci — powiedziała.

Otworzyłem okno.

— Wiesz, jaki feler mają te wielkie terenówki? — zapytałem. — Że człowiek prawie nie czuje, kiedy przejeżdża komuś po nodze.

Szarpnąłem kierownicę ostro w bok i wjechałem na chodnik, omal nie otarłszy się o tył saturna, ale ominąłem protestujących.

— Co ty wyprawiasz?! — krzyknęła Erin.



Nagle z mojej perspektywy znikły znaki stop i wszelkie ograniczenia prędkości.

— Nat, uważaj!

Z boku wyskoczył wyrostek na modnym skuterze, żeby przejechać, zgodnie z prawem, bez gazu, przejściem dla pieszych. Dałem po hamulcach. Szarpnęło nas do przodu.

— Uważaj, Nat! — zawołała Erin i odchyliła się na oparcie.

Już za rogiem był dom Andy'ego. Nie zauważyłem niczego niepokojącego, co powiedziałem na głos.

— No właśnie — podchwyciła.

Miała rację. Cisza i spokój. Żadnych wozów strażackich, karettek, radiowozów ani dymu. Żadnego bałaganu.



Na chwilę umilkliśmy.

— Erin, co my wyprawiamy?

Nie od razu odpowiedziała. Chyba nie miała gotowej odpowiedzi.

A może istniało zbyt wiele możliwych interpretacji. Właśnie przemknęliśmy przez San Francisco w dwuipółtonowym smoku pożerającym paliwo. Dlaczego? Czyżby mnie poniosło? Czy istniało realne zagrożenie? A co z naszym bezpieczeństwem?

— Trochę jesteś napięty — powiedziała Erin. Czy nie powinniśmy zostawić całej sprawy policji?

Może ostatnie pytanie zrodziło się z podświadomej obserwacji. Bo za nami zatrzymała się policjantka z Komendy Głównej Policji San Francisco.

Nie oczekiwałem serdecznego spotkania z przedstawicielką władzy.

16.

— Proszę okazać prawo jazdy i dowód rejestracyjny pojazdu.

— Pani sierżant, to myśmy zgłaszali ewentualny pożar.

Wyjąłem prawo jazdy. Usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie włożyłem dowód rejestracyjny. Czy policja nie wie, że nikt nie pamięta, gdzie schował dowód?

— Państwo zgłaszali pożar? — spytała policjantka. Z plakietki wyczytałem, że nazywa się Sampson. — Państwo dzwoniли na policję?

— Na dziewięćset jedenaście — potwierdziła Erin.

Podąłem prawo jazdy przez otwarte okno.

Funkcjonariuszka wzięła je do ręki, oszacowała mój wzrost i wagę, a potem obejrzała zdjęcie, jak gdyby mogła z niego wyczytać wszystko, czego jej potrzeba.

— Panie Idle, proszę wysiąść z samochodu — poprosiła.

Usiłowałem sobie przypomnieć, czy zrobiłem coś złego. Odpowiedź zaświtała mi w głowie dopiero, kiedy wypowiedziała ją na głos sierżant Sampson.

— O mały włos nie zabił pan deskorolkarza — powiedziała.

To się nazywa przesada!

— Odebraliśmy dwa telefony w sprawie sportowej terenowej toyoty pędzącej przez Cole Valley — oznajmiła.

Z cierpiętniczą miną wymówiła nazwę „terenowa toyota”, jak gdyby za sam samochód można mnie było ukarać, kiedy dojdziemy do tego punktu programu, w którym będę się usprawiedliwiał.

— Nie widziałam zdarzenia — ciągnęła. — Ale już zza rogu słyszałam pisk opon i hamulców. Pewno było was słychać nawet w Castro.

Miało to zabrzmieć jak żart, chociaż sama się nie uśmiechnęła. Ale wziąłem to za dobrą monetę. Może nie zechce sięgać do mojego konta bankowego za coś, czego nie widziała na własne oczy. Postanowiłem wziąć ją na litość. Zacząłem błagać.

— Przepraszam, pani sierżant. Mam za sobą dwa fatalne dni — wyznałem.

Spojrzała na mnie bez cienia emocji.

— Zobaczmy, co mówi wyrocznia.

Podeszła do radiowozu. Usiadła. Zaczęła wstukiwać dane do pokładowego komputera.



— Majtki — powiedziała Erin.

Nachyliła się do mnie.

— Jedyne raz, kiedy weszłam w konflikt z prawem. Moja jedyna kradzież.

— Majtki?

— Seksowne różowe figi — dodała. — Miałam wtedy czternaście lat. Kilka moich koleżanek przechodziło przez fazę kradzieży. Chciałam się sprawdzić, chociaż miałam duszę na ramieniu.

— Kradnąc dorosłe majtki?

Założyła kosmyk włosów za prawe ucho i przejechała zgrabnym palcem wskazującym po zuchwie, na końcu podparła sobie

podbródek. Zawsze wielkim wyzwaniem podczas wspinaczki skałkowej była dla mnie decyzja, które występy skalne są na tyle solidne i bezpieczne, żebym mógł na nich oprzeć rękę albo nogę. Nadal nie mogłem się zdecydować, czy trzymać sztamę z Erin.

— O nie. Wychodziłam ze znacznie prostszego założenia — ciągnęła. — Postanowiłam ukraść coś, co łatwo da się schować. Miałam zamiar przymierzyć majtki, a potem wyjść z Kmartu niepostrzeżenie. Nie dość, że mnie złapali, to jeszcze kazali się rozebrać przed kierowniczką sklepu. Była nią sympatyczna starsza pani. Ale wszystko jedno... Musiałam się rozebrać do stringów, które na szczęście włożyłam na dwie pary własnych majtek i szorty. Ojciec omal mnie nie wydziedziczył. Zareagował z całą surowością. Prawie przez rok nie puszczał mnie nigdzie z domu, chyba że do kościoła.

Policjantka wysiadła z radiowozu i szła teraz w naszym kierunku.

— Wszystko byle nie rewizja osobista, to wtedy dzień uznaję za udany — powiedziała Erin.



— Panie Idle — zwróciła się do mnie funkcjonariuszka. Oficjalnie. Nie wróżyło to nic dobrego.

— Czy zna pan sformułowanie „brawurowa jazda stwarzająca zagrożenie”? — zapytała. — Dostaliśmy dwa zgłoszenia telefoniczne od naocznych świadków, w tym od matki chłopca, którego pan potrącił, ocierając tył skutera.

— A co z naszym telefonem na dziewięćset jedenaście? — wtrąciła Erin.

Cała Erin. Nie zamierzała odpuścić. Funkcjonariuszka wzięła głęboki oddech. Wyglądała mi na osobę o nieograniczonej cierpliwości. Widocznie ta cecha idzie w parze z mundurem.

— Zgłoszenie odebrano — powiedziała sierżant Sampson.
— I odpowiednio zareagowano.

Wyjaśniła, że patrol znajdował się w pobliżu. Zajrzała do notesu.

— Sierżant Eldridge sprawdził, że nie ma dymu ani ognia.

Spojrzała na nas.

— To jeszcze nie koniec złych wiadomości, panie Idle — zwróciła się do mnie. Zaraz obieca mnie wypuścić za pewną przysługę. — Musi pan zaraz pojechać na komisariat. Porucznik Aravelo chciałby zamienić z panem słowo.

Pożegnałem się z Erin, ruszyliśmy do centrum.



Przedtem tylko raz jechałem radiowozem. Było to w dniu prezentacji różnych zawodów w gimnazjum. Do spółki z kolegą zamęczałem opanowanego gliniarza, żeby nam opowiedział ciekawostki ze swojej pracy, a gość nie kumał. W końcu zawiózł nas na cmentarz i poradził:

— Zróbcie coś ze swoim życiem. Uccie się dobrze, dbajcie o stopnie.

Zaśmiewaliśmy się latami z tego upiornego, tajemniczego przesłania, chociaż nie wiedzieliśmy, co naprawdę oznacza. Czy chciał nam powiedzieć, że życie jest krótkie, czy że nas zabije, jeżeli nie będziemy mieli samych szóstek.

Śmierć Andy'ego, jego życie, a także życie Erin i moje kipiało niepewnością i domagało się interpretacji. Może każde życie i śmierć stanowi nierozwiązaną zagadkę. Dotarło do mnie, że na pewno tak to wyglądało z Annie.

W drodze na stację uciekłem myślami do innej sytuacji, kiedy doznałem zamętu i gniewu w najczystszej postaci. Zaraz potem zawitała śmierć.

17.

— *Cycanik.*

— Świnia! — zawołała Annie.

Próbowałem ją wciągnąć w grę słówek naszego pomysłu. Wymyślaliśmy głupie albo sprośne tytuły zniekształcające znane i popularne filmy.

— *A Forrest Gang?*

Staliśmy przed wejściem do Klubu Jachtowego w Marin. Annie położyła mi głowę na ramieniu. Dzień był przepiękny — malowniczy schyłek jesieni w klubie jachtowym, punkt zwrotny w życiu moim i Annie. Po wielu moich prośbach zgodziła się, żebym poznał jej rodzinę w naturalnym otoczeniu.

Rozejrzała się wokół.

— Bajeranckie auta i jachty, obłaskawieni pismacy, zadowolone z siebie bubki, łatwo się zarazić.

— O chorobie nie ma tu mowy.

— Pamiętaj, żeby porządnie umyć ręce, jak już uściśniesz wszystkim dłonie.



Cały lokal aż chodził. Stanęliśmy w kolejce do baru, gdy ktoś zakrzyknął radośnie na całą salę:

— Witaj, księżniczko!

Tłum wokół nas się rozstąpił. Naszym oczom ukazał się ojciec Annie. Wyglądał młodziej, niż się spodziewałem. Nie był jeszcze siwy. Miał na sobie spodnie khaki i koszulę z krótkimi rękawami, niemal mundur potentata nowych technologii.

— Cześć, tato — przywitała go serdecznie Annie.

Otworzył ramiona.

— Mogę zamienić z tobą słowo na osobności?

— Zaraz wracamy, Żółwiku — szepnęła.

Wpadła w jego objęcia, po czym tłum znów się za nimi zamknął. Stałem przy barze. Chyba nie odstręczał mnie ten ich styl życia. Alkohol i drobne przekąski podawano tu za darmo. Wystarczyłby jeszcze darmowy szwedzki masaż, żebym uznał ten klub za raj.

— No i co, doktorku?

Odwrociłem się do niepokojąco przystojnego mężczyzny. A może zaniepokoiła mnie jego zaczepka? Zaskoczyło mnie to, zważywszy na moją niedawną decyzję zerwania z zawodem lekarza.

— Przyjechałeś z Annie — powiedział.

— Dziś jestem skazany na picie.

— Niezła fucha — pochwalił. — W dodatku, jeśli laska ma tylek ekstra.

Kiedy zobaczył, że się wzdrygnąłem, roześmiał się.

— Dave Elliott — przedstawił się, wyciągając rękę. — Cham i prymityw.

Dodał, że jest starym przyjacielem rodziny Kindle. Sporo podróżował, ostatnio po Azji, ale właśnie zamierza osiąść na stałe. Ma dom w marinie i jest radcą prawnym w San Francisco.

Pracuje u ojca Annie. W poprzedni weekend grali razem w golfa na Pebble Beach.

— Szczęściarz — powiedziałem.

— Dam ci sto dolarów, jeżeli spalisz mojego puttera, a potem jeszcze rozjedziesz popiół samochodem.

Przez chwilę docinaliśmy tak sobie jak dwóch facetów, którzy dogryzają sobie żartem, ale szukają wspólnego gruntu. W końcu znaleźliśmy wspólny język i zaczęliśmy rozmawiać o nartach, bo on też trochę jeździł, chociaż w Szwajcarii.

Pociągnąłem duży łyk toniku.

— Jesteście razem? — spytał.

Wzruszyłem ramionami.

— To ona dyktuje warunki, co? — zasugerował, jakby to była rzecz powszechnie znana. — Ostatniemu facetowi dobierała ciuchy. Nie pozwalała mu nosić ubrań w kratę.

Zobaczyłem Annie przeciskającą się przez tłum.

— Pozwolisz, że wyjdziemy wcześniej? — zapytała spokojnie.

Miała tak poważną minę, że nie ośmieliłem się o nic pytać. Dave przyjął inną taktykę.

— Wyluzuj, Annie. Napij się — zaproponował i spojrzał na mnie. — Solidarność, brachu.

— Nie masz jakiejś zołzy, która by ci utarła nosa? — zasnęła mu w odpowiedzi.



Na dworze zobaczyłem, że stanęła w pąsach. Nie patrzyła na mnie, tylko rozgadała się o kłopotach z nowo powstałą nowojorską spółką, w którą zainwestowała jej rodzina. Kłopotów przysparzała im ocena sprzedaży i planowanych dochodów w nowej firmie internetowej. Nie rezygnując z tradycyjnych metod, usiłowała szybko wypromować firmę, żeby podbiła rynek.

Ojciec powierzył jej kierownicze stanowisko, ale nie pozwalał wypełniać należących do niej obowiązków. Mówiła to z chłodną miną.

— Nie może mnie tak traktować. Ma obsesję na punkcie kontroli.

W ogóle nie wiedziałem, że czymkolwiek zarządza ani że jej ojciec wpada w humory. Prawdę powiedziawszy, miałem większe zmartwienie.

— Co to za historia z Davem Elliottem? Chodziłaś z nim?

Annie odwróciła się do mnie, roześmiała. Jakbym powiedział coś najzabawniejszego, a zarazem najgłupszego w świecie.

— O Boże, nie! — zawołała. Pokręciła głową. — Chociaż on by chciał.

Wsiedliśmy do mojego samochodu. Annie z siedzenia pasażera przekręciła kluczyk w stacyjce, jak gdyby chciała jak najprędzej odjechać.

— Kiedyś przyjaźniłam się z Davem. Miał dobre serce i umiał słuchać. Ale on przez cały czas wiele sobie po mnie obiecywał. Wierzyłam mu i traktowałam go jak powiernika. A on ubzdurał sobie, że zmierzamy w stronę romansu. Chociaż ja nigdy nie dopuszczałam takiej ewentualności. W końcu wyznał mi miłość. I nigdy potem mi nie wybaczył.



Dwa dni później stałem przed delikatesami Sama, kilka ulic od swojego domu. Właśnie ugryzłem kanapkę z indykiem kupioną na wynos, kiedy podjechało czarne bmw. Poznałem w nim samochód, który zabrał Annie po naszej pierwszej randce. Drzwi się otworzyły.

— Annie?

— Wskakuj, Nathanielu — odezwał się męski głos. — Podrzuć cię do domu.

Przyznam, że wcale się nie zdenerwowałem. Nie wyobrażałem sobie, że ktoś mógłby mnie porwać. Zwłaszcza że po pierwsze stałem w biały dzień na rogu ulic w środku San Francisco, po drugie ani ja, ani moja rodzina nie mieliśmy nic, na co ktokolwiek by się połakomił. Zajrzałem do samochodu.

— Glenn Kindle — powiedział mężczyzna. — Tata Annie.

Siedział z tyłu oddzielony ciemną szybą od kierowcy. Na kolanach trzymał katalog SkyMall.

— Tu znajdują się klucze do szczęścia. — Machnął katalogiem. — Uważasz, że to kompletne bzdury? Wibrujące pole golfowe, którego częstotliwość ma rzekomo własności uzdrowicielskie. Kto by w to wierzył? Ale przyjrzyj się tu, na powiększeniu. SkyMall to najnowszy krzyk techniki, kapitalistyczny sen. Ludzie z lubością polują na rzeczy niecodzienne. Sprzedawcy tych wynalazków nie oszukują nikogo, lecz dają nam nadzieję. Klienci pragną żywić się iluzjami. Transakcja to ich obopólny sukces emocjonalny.

— Zjawileś się, żeby przekazać mi swoją filozofię życia czy pomóc w zakupach świątecznych? — spytałem z uśmiechem.

— Miałem nadzieję poznać cię w zeszły weekend na przyjęciu. — Odłożył czasopismo. — Byłem w pobliżu, dlatego postanowiłem zrekompensować sobie tamtą sytuację.

Zrekompensować? W jakim sensie? I skąd, do diabła, wiedział, gdzie ja mieszkam?

Uznałem, że istnieje tylko jeden legalny sposób, żeby się dowiedzieć. Spojrzałem na napoczętą kanapkę Reubena, która zaczęła przesiąkać przez serwetkę.

— Nie wystarczy dla wszystkich — przeprosiłem.

Roześmiał się i nacisnął guzik w swoich drzwiach.

— Jedziemy — rzucił kierowcy.
— Przykro mi, że nie mogliśmy się lepiej poznać. Te imprezy zapowiadają się ciekawiej, a okazują nudne.
— Zapraszam na górę. Mam w lodówce sześciopak zimnego anchor steam. Chociaż chyba zostało mi już tylko pięć — powiedziałem.

Nie sililem się na dowcip. W każdym razie nie do końca.

— Zapytam jasno. Powiedz mi, czy mam powody do obaw?
Rozważyłem jego pytanie, kiedy samochód się zatrzymał. Wyrząłem przez zaciemnione okno. Byliśmy już pod moim domem.

— Po prostu zastanawiam się, co ty i Annie kombinujecie.

— Nie mam pojęcia, o co pan pyta — odparłem. — Nic nie kombinujemy. Żadnego voodoo rodem z *Archiwum X*. Jeżeli staniemy się rodziną, będziemy ze śmiechem wspominali obecną rozmowę.

Uśmiechnął się z trudem.

— Wybacz. Rzeczywiście nauczyłem się dmuchać na zimne, może też jestem nadopiekuńczy.

— Nie masz za co przepraszać.

— Zaciągnęłaś spory kredyt na studia medyczne, na uczelni miałaś zatarg z dziekanem. Teraz zrezygnowałaś z wykształcenia i ledwo wążesz koniec z końcem jako dziennikarz. To wszystko się kupy nie trzyma.

— Nie wszyscy musimy mieć tyle, żeby nas było stać na samochód w cenie produktu krajowego brutto małego afrykańskiego kraju — odparowałem jego cios.

Zachichotał.

— Annie mówiła prawdę. Masz poczucie humoru. Wybacz. Puśćmy to w niepamięć. Następnym razem rozpoczniemy od nowa.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły. Przytrzymał je

kierowca. Ostatnia uwaga Glenna wcale nie zabrzmiała jak szczerze przeprosiny. Nie od razu wysiadłem.

— Wierz mi, dobrze wiem, że Annie jest niesamowita — dodałem.

Pokiwał z roztargnieniem głową i odjechał.

Natychmiast zadzwoniłem do Annie i opowiedziałem jej, co się stało. Dodałem, że wybieram się do Palo Alto, żeby dokończyć naszą rozmowę.

— Błagam cię, nie spotykaj się z nim — poprosiła. — Pogorszysz tylko sprawę.

— Lepiej od razu mi wyjaśnij, o co tu chodzi? Za kogo twój ojciec się uważa? I za kogo mnie uważa?

Powiedziała, że jej ojciec jest nadopiekuńczym egocentrykiem, który czuje się zagrożony przez nasz związek. Poza tym się zamartwia, że hossa internetowa dobiega końca. I że musimy szybko działać.

Zamiast spotkania z ojcem Annie zaproponowała, żebym towarzyszył jej w najbliższej podróży służbowej do Nowego Jorku. Obiecała, że pokaże mi z bliska swój świat, opowie o rodzinie, przedstawi Partnerom Inwestycyjnym Kindle'a.

Miałem nadzieję, że najbliższe tygodnie rozjaśnią mi w głowie.

Jak bardzo się myliłem!

18.

— Pocałuj mnie.

Kiedy stałem z Annie na tarasie widokowym Empire State Building, przypomniała mi się opowieść ojca o ptaku, który zaatakował go w dzieciństwie. Napadł ojca, gdy ten szedł mostem przęsłowym, co tłumaczyło zarówno jego strach przed ptakami, jak i lęk wysokości. Jeszcze w dzieciństwie tata przekazał mi swoją akrofobię, kiedy ścisnął kurczowo mojego brata i mnie na wyciągu krzeselkowym, gdy jeździliśmy na narty.

Stojąc na tarasie widokowym z Annie, nie czułem strachu. Chyba dlatego, że obejmowałem ją i wyobrażałem sobie, że odpowiadam za jej ochronę przed wszystkimi ewentualnymi nieszczęściami. Bycie z nią przysparzało mi tyle adrenaliny, że wypierało inne emocje.

Spędziliśmy dwie trzecie dnia, jakiego życzyłbym wszystkim. Obudziliśmy się w hotelu w śródmieściu, zjedliśmy kontynentalne śniadanie w łóżku, karmiąc się nawzajem, a potem cały ranek spacerowaliśmy po ogrodzie zoologicznym na Bronksie. Annie na widok małp, słoniątka i tygrysów przeżywała tak niepohamowaną radość, że ja od samego patrzenia na nią czułem to samo.

Moja nauka zaczęła się już w samolocie, w kabinie pierwszej klasy. Podczas lotu Annie pokazała mi plik dokumentów związanych z jej pracą inwestora, która wydała mi się równie elektryzująca jak chemia organiczna.

— Skąd ty, do licha, się na tym znasz? — spytałem.

— Sądziłam, że się domyślisz — odpowiedziała.

Wyjaśniła, że w jej stosunkach z ojcem nastąpiło odprężenie. Ojciec wymagał, żeby pracowała tak, jak on sobie tego życzył. Ona albo go słuchała, albo robiła po swojemu, narażając się na wymówki z jego strony. Często jednak podnosiła sobie poprzeczkę wyżej od jego oczekiwań. Starła się zasłużyć na szacunek we własnych oczach.

Mieliśmy odwiedzić firmę pod nazwą Vestige Technologies. Tworzyła oprogramowanie do zarządzania łańcuchem dostaw, za czym według Annie kryło się „zautomatyzowane wyszukiwanie danych”.

Podawała mi wysokość jej sprzedaży i od razu zrozumiałem, dlaczego zwykli zjadacze chleba lokowali swoje fundusze emerytalne w spółkach internetowych i dlaczego wiele z nich popełniało ogromny błąd. Wyjaśniła mi, że firmy, których funkcjonowanie rozumie większość inwestorów albo które podejrzewa o wprowadzenie przełomu, to te, które wychodzą naprzeciw potrzebom klientów, czyli umożliwiają ludziom kupno w sieci książek lub artykułów spożywczych. Jedne odnoszą sukces, większość ponosi klęskę.

Prawdziwe pieniądze i siła rynkowa znajdują się jej zdaniem w infrastrukturze i w obsłudze klientów korporacyjnych. Żeby prosperować, takie spółki muszą działać jak najtaniej. Oznacza to cięcie kosztów, z których największym jest zwykle praca. Następnym wielkim krokiem naprzód kapitalizmu była automatyzacja komputerowa. Badania ekonomiczne wykazywały, że nie tylko podniosła ona skuteczność firm, lecz również

wpłynęła na zwiększenie wydajności pracowników. Jednocześnie zachwiała od dawna ustalonymi zasadami ekonomii. Bardzo się podniósł zysk na głowę jednego pracownika.

Jednym z największych czynników przesądających o redukcji kosztów było oprogramowanie do zarządzania łańcuchem dostaw. Korporacje zaczęły go używać, żeby zautomatyzować produkcję części, łączność wytwórców z odbiorcami oraz kierowanie podwładnymi wewnątrz firmy.

Technika rejestracji śladów — może nie brzmiało to atrakcyjnie, ale mogło przynieść miliardy. Prawdziwymi zwycięzcami finansowymi mieli zostać najwcześniejsi inwestorzy — kapitaliści stawiający na inwestycje obciążone wysokim ryzykiem, tacy jak Partnerzy Inwestycyjni Kindle'a i jego wspólnicy z ograniczoną odpowiedzialnością. Właśnie oni wynieśli najwięcej z tego spektakularnego rozkwitu.

Podobno ojciec Annie nie tylko był wybitnym specjalistą od inwestycji w najwcześniejszej fazie, ale wręcz jednym z najlepszych.

— Chce, żebyś poszła w jego ślady — powiedziałem.

— Może bym i poszła — odparła wesoło — dopóki nie poznałam ciebie.

Nazajutrz, po obiedzie w Central Parku, pojechaliśmy takśówką do trzeciego pod względem wysokości wieżowca w Nowym Jorku. Staliśmy na szczycie Empire State Building i wszystko wskazywało na to, że zaraz się pocałujemy.

— Dlaczego to robisz? — zapytałem.

Pocałowała mnie.

— Bo smakujesz pizzą i gumą do żucia.

— Mnie chodzi o pracę — sprostowałem. — Zawsze wydaje mi się, że cię unieszczęśliwia. Kiedy widzę, jak stroisz miny w zoo, to sobie myślę, dlaczego nie wybierzesz bardziej spokojnego życia, cokolwiek by to znaczyło.

Dmuchnął silniej wiatr, dlatego nastawiłem jej kołnierz, żeby otulić uszy.

— Nat, zrób tak, jak robi małpa — poprosiła z rozbawieniem.

Zaskrzeczałem.

— Podziwiam twoją decyzję, że rzuciłeś medycynę, że zszedłeś z utartego szlaku i że regularnie odbywasz drzemki. Bardzo mi się to w tobie podoba — powiedziała, raptem poważnie. — Ale ja też idę dobrą drogą, nawet jeśli tobie nie wydaje się spokojna. Bo odnoszę sukcesy w tym środowisku, buduję wielkie firmy, tworzę ludziom mnóstwo miejsc pracy i zbijam majątek. A potem wracam do domu i mam dużo czasu na zabawy w zoo w kąciku młodych zwierząt.



Nie dotarliśmy na kolację. Wziąłem prysznic i ubrałem się. Annie guzdrała się w łazience. W końcu zapukałem.

— Proszę.

Siedziała na sedesie, w pełnym rynsztunku. Miała na sobie kusą minispódniczkę i czarne pończochy. Wyglądała olśniewająco, pominąwszy smugę czerwonej szminki rozmazanej w prawym kąciku ust. Wyglądała przez to jak klaun, jakby świadomie chciała się oszpecić.

— Zaskrzecz jeszcze raz — poprosiła, siląc się na wesoły ton.

— Co ci jest?

— Bo ty mnie nie kochasz — powiedziała.

— Co?

— Nie kochasz mnie naprawdę.

Wziąłem do ręki chusteczkę.

— Wszystkiemu winna ta rozmazana szminka. — Starłem jej szminkę z brody i ust. — Kocham cię bezgranicznie. Nigdy do nikogo nic podobnego nie czułem.

Zamknęła oczy, zatopiona w myślach, otworzyła i zaczęła opowiadać. Kiedy miała szesnaście lat, ojciec załatwił jej wakacyjną pracę w sztabie wyborczym miejscowego republikańskiego kandydata do Kongresu. Ona jednak zgłosiła się do pracy w biurze kandydata demokratów. Ojciec wparadował do siedziby sztabu wyborczego demokratów i zaczął na nią wrzeszczeć, czym bardzo ją upokorzył. Później pokazał jej wycinek z gazety, w którym pisano, że owego demokratę przyłapano przed laty na romansie z nielegalną imigrantką, nianią jego dzieci. Annie podejrzewała, że ojciec zadenuncjował tego polityka do prasy.

— To wariat — powiedziałem.

Odczekała chwilę.

— Kiedy byłam małą, setki rzeczy robiliśmy razem. Chodziliśmy do zoo, podróżowaliśmy. Ale najbardziej lubiłam jeździć z tatą na narty. Nie tyle zjeżdżać w dół, ile wjeżdżać razem na wyciągu krzeselkowym. Sunęliśmy zawieszeni w powietrzu, a tata zasypywał mnie pytaniami, co sądzę na ten lub inny temat. Cierpiałam przy końcu trasy i zjeżdżałam jak najszybciej, żebyśmy znów mogli wjechać razem. Ale kiedy podrosłam, stałam się niezależna.

Starła cały makijaż z brody.

— Jemu się wydaje, że cię traci?

— Może. Mój ojciec jest pragmatykiem. Ceni sobie związki, ale uważa je za rzecz przelotną, podobnie jak artykuły konsumpcyjne, które zdobywa się, odfajkowuje i odrzuca, jeśli staną się zbyt chwiejne. Ma własną definicję miłości. Więzi emocjonalne stawia na równi ze sferą materialną, rozrywką i zabawą, lecz tylko do pewnego stopnia, bo kiedy wymkną się spod kontroli, zaczynają mu zawadzać.

Uleciało z niej całe ciepło.

Powiedziałem jej, jak mi przedstawił katalog SkyMall.

Uśmiechnęła się tylko słabo. Dowiedziałem się, że całą suterrenę ma zawaloną ekstrawaganckimi gadżetami z katalogu, takimi jak miska, w której zawsze jest świeża, napowietrzona woda dla kotów, walizki z ergonomicznymi rączkami i zdalnie sterowany rekin. Jej ojciec fascynował się kapitalistycznymi pokusami.

Roześmiałem się.

— Kiedy trafi na kanał telezakupów, to koniec.

— Dlatego mama od niego odeszła. Ojciec traktuje miłość tak samo jak chłodzący kapelusz na safari, który wykorzystuje energię słoneczną. To złudzenie, obiekt pożądania, dla którego warto się poświęcać do momentu, kiedy zaczyna nam sprawiać zbyt wiele kłopotu.

Odwróciła się ode mnie, spojrzała w lustro, zobaczyła tam moje odbicie. Czekałem, co powie dalej, ale zamilkła, przestała odpowiadać na moje kolejne, wcale nienatrzętne pytania.

Uznałem, że woli zostać sama, dlatego odszedłem, usiadłem na łóżku i czekałem. W końcu drzwi łazienki otworzyły się. Annie zrzuciła ubranie. Rozpętał się namiętny seks, a gdy się już bardzo rozkręcił, Annie zaczęła po raz pierwszy używać wulgarnego słownictwa, wydawać wyraźne polecenia. Napaliłem się, lecz wtem nastrój prysnął, Annie zachichotała i po chwili oboje pokładaliśmy się ze śmiechu.



Nazajutrz czekało ją ważne spotkanie. Miała za zadanie przekonać bankierów inwestycyjnych, żeby wprowadzili spółkę na giełdę, co przyniosłoby ogromny zwrot zysków dla Partnerów Inwestycyjnych Kindle'a. Zebranie odbywało się w sali konferencyjnej hotelu, w którym się zatrzymaliśmy. Ledwo Annie wybiegła za drzwi, zorientowałem się, że zostawiła szarą kopertę z prezentacją. Łatwo znalazłem salę konferencyjną z

oszkłonymi drzwiami. Widziałem Annie przemawiającą do zebranych. Naprzeciwko siedziało pięciu zasluchanych mężczyzn w garniturach, wśród nich Dave Elliott, adwokat ojca Annie.

Zastukałem w szybę, Annie gestem zaprosiła mnie do środka. Podałem jej kopertę.

— Przedstawiam panom Nathaniela Idle — powiedziała, na co wszyscy kiwnęli ze znużeniem głowami. Wzięła kopertę, zajrzała do środka. Profesjonalistka w każdym calu. — Dziękuję — powiedziała. — Wygląda na to, że wszystko jest w porządku.

Usiłowałem spotkać się z nią spojrzeniem, ale przeniosła znów wzrok na zebranych, dlatego bez dalszych ceregieli wyszedłem.



Dwa miesiące później miałem okazję zobaczyć z bliska stosunki Annie z ojcem.

Znajdowaliśmy się w domu w Atherton. Jej ojciec wraz z trzecią żoną, trzydziestokilkuletnią kobietą, mądrzejszą i sympatyczniejszą, niż głoszą stereotypy o dzianych facetach i blondynkach u ich boku — jakoby wyjechali. Siedziałem z Annie w kuchni i smażyliśmy rybę. Nagle usłyszeliśmy, że otwiera się brama garażu.

Glenn Kindle kipiał werwą. Natychmiast zabrał nas do garażu. Nie wyjechał na weekend, bo zmienił zdanie, wybrał się do salonu i kupił mercedesa kabriolet. Wręczył Annie kluczyki.

— W przyszłym miesiącu NotesMail wchodzi na giełdę, co w niemałym stopniu zawdzięcza naszej nowej młodej wspólnicze — powiedział z chytrym uśmiechem.

Kluczyki leżały na otwartej dłoni Annie. Nie odezwała się

słowem. Widziałem, że w pierwszej chwili osłupiała. Ojciec puścił do mnie oko i pogłaskał piękną maszynę w metalicznym niebieskim kolorze. Po czym ruszył do drzwi prowadzących do domu.

— To szantaż! — zawołałem.

Zobaczyłem, że Annie podążyła za ojcem. Odwrócił się i uśmiechnął do niej, po czym jakby po namyśle dodał:

— Ted nigdy się nie dowie, na czym się potknął.

— Co zrobiłeś? — spytała.

— Odsunąłem go — wyjaśnił od niechcienia. — Zasłużył sobie. To myśmy odwalili całą robotę. A on jeszcze, ogłędnie mówiąc, grymasił. Nazwał mnie niehumanoidalną cipką. Nikt mnie tak nigdy nie nazwał.

Widziałem, że Annie powściąga uśmiech.

— Nie do wiary, że tak chłodno o tym mówisz.

— Duże rybki zjadają małe — powiedział.

Podniósł szklankę z napojem chłodzącym, jakby wznosił toast, po czym wyszedł.

Annie odwróciła się do mnie. Rzuciła kluczyki dużym łukiem w moją stronę. Wykonałem skok w lewo, żeby je chwycić, zanim upadną na chodnik.

— On oszalał — powiedziałem, kiedy doszedłem do siebie.

— To premia.

— Za twoje milczenie w sprawie Teda?

— Młodszy wspólnik to eufemizm. Powinien powiedzieć „lokaj”. — Zaczęła jej drgać warga. — To ja przygotowałam kontrakt. Zarobiłam miliony, przekonując NotesMail, żeby wziął nas na głównego inwestora.

— A Ted?

— Ojciec nie docenia mojego wkładu w firmę. — Podszedłem. Ciągnęła swoje: — Wiele spółek rywalizuje o znalezienie prężnych firm i doprowadzenie ich do dokonania rzetelnej

wyceny. Inne wielkie spółki gotowe byłyby zabić za pozycję, jaką ja osiągnęłam dla naszej. To ja nakreśliłam wizję i odsprzedalam je założycielom, dlatego nie powinien mnie traktować jak człowieka drugiej kategorii.

Złapałem Annie za ramiona, jakbym chciał nią potrząsnąć i szepnąłem:

— Przestań!

Spojrzała na mnie, cofnęła się.

— Annie Leigh Kindle, kocham cię. Któregoś dnia się z tobą ożenię. Będziemy mieli razem dzieci, psy i rybki. I to ja będę utrzymywał rodzinę. A ty możesz zostać weterynarzem rodzinnym. Zresztą nieważne kim, byle byśmy byli razem.

Najpierw się uśmiechnęła, chociaż słabo. Lecz zaraz potem, po raz pierwszy od długiego czasu, rozplakała się. Z jednej łzy zrobiła się kałuża. W końcu znów przemówiła.

— Muszę z tym skończyć — powiedziała szeptem.

— Popieram. Zwolnisz się. Wyjedziemy daleko, do Włoch albo do Brazylii. Zamieszkamy w zamku.

Otarła oczy, odsunęła się ode mnie, odwróciła wzrok.

— Skończyć z nami.

Byłem pewien, że się przesłyszałem.

— Co ty wygadujesz?

— Skończyć nasz związek — powtórzyła z nieobecną miną.

— Co ci przyszło do głowy?

Odwróciła się do mnie, spojrzała mi prosto w oczy. Uszczypnęła się w nos. Zastygła w tej pozycji. W końcu przytknęła rękę do czoła, roześmiała się.

— Annie.

Zanosiła się śmiechem.

— Wygłupiam się. Ale kogo próbuję nabrać? — zapytała. Wzięła moją dłoń. — Co ja wygaduję?

Pokręciła głową, jak gdyby rozwiął się jakiś czar.

— Annie, czyś ty przed chwilą chciała mnie rzucić?

— Opowiedz mi o tym zamku — poprosiła.

— Dlaczego to powiedziałaś? Co cię podkusiło?

Wyjęła mi kluczyki z ręki. Pocałowała mnie w policzek.

— Wiem, co do mnie czujesz. Nie wyobrażasz sobie, co ja przez to czuję. Twoje uczucie daje mi niesłychaną siłę — wyjaśniła z uśmiechem. — Jestem kobietą. Miewam humory. Mogłabym chociaż raz użyć takiego usprawiedliwienia?

Wcale nie było mi do śmiechu. Nawet się nie uśmiechnąłem.

— Przyrzekam — powiedziała.

— Ale co?

— Że do końca życia z tobą nie zerwę.

19.

Annie była doświadczoną żeglarką, zresztą nie ona jedna. Wybraliśmy się w pięć osób na żagle. Jej przyjaciół, w tym Sarah, polubiłem od tamtego wieczoru, w którym zakochałem się w niej od pierwszego usłyszenia.

Wcale tak bardzo nie padało. Dzień był nawet ciepły, ale pokład zamienił się w ślizgawkę. Płynęliśmy jachtem Kindle'ów niecałe dwa kilometry od brzegu Santa Cruz.

Annie poszła na rufę. Wiązała linę, kiedy uderzyła w nas fala. Nie patrzyłem w jej stronę, kiedy usłyszałem, że wykrzykuje moje imię. Odwróciłem się w jej stronę i wtedy rąbnęła w nas kolejna fala. Annie zdążyła na mnie spojrzeć i poleciała za burzę. Nie od razu pojąłem grozę sytuacji. Fale nie były aż tak wzburzone. Już nas ogarnął niepokój, ale nie wpadliśmy jeszcze w panikę. Złapałem koło ratunkowe, podbiegłem do burty i wychyliłem się, lecz nie zobaczyłem już Annie. Zawołałem. Nic nie widziałem, nic nie słyszałem. Skoczyłem do wody.

Fale, chociaż groźne, wydawały się do pokonania. Gdzie ona mogła zniknąć? Czyżby uderzyła się w głowę i poszła na dno? Oplywałem jacht tak głęboko, jak mogłem zejść pod wodę.

Trzymałem kurczowo linę, którą ktoś mi rzucił, żebym sam się nie utopił.

Omali nie straciłem życia. Pływałem do utraty tchu. Musieli mnie wyciągnąć z wody, zrozpaczonego i niepocieszonego.

Rzuciliśmy kotwicę, następnie spuściliśmy ponton i w asyście straży przybrzeżnej wiele godzin szukaliśmy Annie. Jej ojciec wynajął dosłownie armię ludzi. Jeszcze wiele dni przeczesywali wodę.

Nic nie znaleźli.

20.

Wciąż tkwiłem pogrążony we wspomnieniach, kiedy sierżant Sampson przywiozła mnie na komendę policji San Francisco, wypełniła jakieś formularze i posadziła na ławce, żebym zaczekał na porucznika Aravela. Staralem się unikać kontaktu wzrokowego z przechodzącymi policjantami, zdjęty strachem, że wiedzą, jak potraktowałem brata Aravela, przez co mogliby uraczyć mnie obrzydliwą uwagą lub patrzeć na mnie wilkiem.

Na co w tej sytuacji mogłem liczyć? Aravelo na pewno zechce mnie przemaglować. A sam świadomie mi nic nie podsunie. Czy zdołam go przekonać, żeby puścił farbę?

Czekając, sprawdziłem pocztę głosową. Nagrały mi się dwie osoby. Dzwonił mój naczelny, Kevin.

— Jestem ciekaw, jak ci idzie artykuł — powiedział. — Zadzwoń, jak będziesz miał chwilę.

I rozłączył się, nawet bez do widzenia. Cały Kevin! Drugą wiadomość zostawiła Samantha, która chciała mi przypomnieć, żebym wpadł do niej nazajutrz na akupunkturę.

— Czuję, że trzeba bardzo popracować nad twoim meridianem woreczka żółciowego.

Pragnąc się oderwać, przejrzałem książkę telefoniczną w

swojej komórce. Znalazłem numer, pod który nie dzwoniłem od lat. Ciekawe, czy jest jeszcze aktualny. Louise Elpers, dyplomowana terapeutka małżeńska i rodzinna. W książce telefonicznej zapisałem ją pod nazwą „psychiatra”. Odbylem z nią kilka sesji po śmierci Annie i trochę pomogła mi radzić sobie z żalobą. Przypomniałem sobie jej słowa, że gloryfikuję Annie, i że to jest zupełnie normalne, chociaż jej zdaniem to wcale nie pomaga.

Kilka dni po śmierci Annie zdobyłem się na jedno zderzenie z rzeczywistością. Pojechałem do Costco, kupiłem ogromny kawał suszonej wołowiny, dwukilogramową torbę orzeszków i karton napoju Dr Pepper. Żeby nie zatrzymywać się po drodze. Jechałem dziewięć godzin na wschód, byle jak najdalej od oceanu. Znalazłem się w Litham w stanie Nevada, osiemset czteremset mieszkańców. Obok baru restauracyjnego znajdowała się stacja benzynowa. Stacja połączona z barem miała jednego właściciela, na co wskazywał szyld „benzyna i befsztyki”.

W środku flirtowała para nastolatków. Podczas niewinnego przekomarzania się chłopak sięgnął za pas, wyciągnął jaskrawozielony pistolet na wodę, wycelował, strzelił. Dziewczyna zakryła oczy i zapiszczała z uciechy. Rzuciła się na chłopaka i złapała w objęcia. Zaczęła całować go po twarzy. Rozszlochalem się i nie mogłem przestać, nawet kiedy pracownik stacji poprosił, żebym przestawił samochód spod dystrybutora.



Podszedł do mnie policjant.

— Porucznik Aravelo czeka na pana.

Jako dziennikarz podczas wywiadów zawsze znajdowałem się w uprzywilejowanej pozycji, bo to ja zadawałem pytania. Nawet jeżeli nie dorównywałem pod względem zamożności lub władzy osobie, z którą prowadziłem wywiad, groźba, że mogę

to opisać w gazecie, od razu dawała mi poniekąd fory. Jednakże nie u porucznika Aravelo.

Był w mundurze i świeżej białej koszuli wpuszczonej elegancko w spodnie. Poprosił, żebym spoczął, aż tu nagle na jego biurku zadzwonił głośno budzik. Wyłączył go, otworzył szufladę biurka, wyjął torebkę migdałów i banana.

— Małe, regularne posiłki — wyjaśnił.

Położył na stole zdjęcie. Było ziarniste, ale kolorowe, jak gdyby zrobione przez kamerę w sklepie spożywczym.

— Kto to jest? — spytał Aravelo.

Zobaczyłem blondynkę, o kanciastych kościach policzkowych, w bluzce ze stójką. Poczulem przypływ adrenaliny, choć nie bardzo wiedziałem dlaczego.

Porucznik Aravelo natychmiast wychwycił moje wahanie.

— Co mi pan o niej powie, Dodo? — zapytał. — Proszę mi powiedzieć wszystko, co pan o niej wie.

Nawet jeśli widziałem tę kobietę, trudno byłoby ją poznać na zdjęciu tak słabej jakości. Oczy miała nieobecne, zamglone.

— Niech się pan na mnie nie wyżywa i da spokój z tym idiotycznym przewiskiemi.

— Proszę mi powiedzieć, co pan wie, panie Idle.

— Nie umiem panu pomóc. Nie mam pojęcia, kto to taki.

Widocznie moje oświadczenie zabrzmiało przekonująco, bo Aravelo zamilkł. Ugryzł banana i żuł go komicznie wolno, jakby tego wymagała procedura.

— A ta kobieta?

Porucznik podsunął mi kolejne zdjęcie.

Tym razem przypływ adrenaliny był uzasadniony. Zapano-
wałem jednak nad sobą. Postawił na stole zdjęcie, które — są-
dząc z dość gładkiej skóry wokół oczu kobiety — liczyło około
dziesięciu lat.

— To Erin Coultran — wyjaśnił Aravelo. — Kelnerka z kawiarni Sunshine.

Wstrzymałem oddech.

— Poznają.

Usiadł delikatnie na brzegu stołu i czekał. Milczałem, usiłując sprawić wrażenie, że się zastanawiam.

— Przeczytałem w gazecie, że ocalała, bo wyszła do toalety.

Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że porucznik przygląda mi się badawczo. Nawet jeżeli wiedział, że znam Erin, nie dał tego po sobie poznać. Czyżby Weller mu nie powiedział?

— Widział pan, jak wychodzi do toalety?

Pokręciłem głową.

— Zamawiał pan u niej kawę?

— Piłem wodę.

Moja odpowiedź go nie rozbawiła.

— Pamięta ją pan z kawiarni?

— Czy ona jest podejrzana, panie poruczniku? — zapytałem, starając się zachować należytą powagę.

Aravelo zlekceważył moje pytanie.

— Proszę mi opowiedzieć o saabie.

Przypomniałem sobie, co sierżant Weller powiedział mi wcześniej. Policja znalazła czerwonego saaba w wodzie nieopodal Half Moon Bay. Może dlatego porucznik Aravelo zaprosił mnie na komisariat. Znaleziono saaba i policja szukała dalszych szczegółów. Bo przecież to ja pierwszy udzieliłem im tej informacji. Czy przypominam sobie coś jeszcze?

— Czy ta kobieta ze zdjęcia siedziała za kierownicą czerwonego saaba? — zapytałem.

— Pamięta pan jakieś szczegóły? — spytał porucznik, zrywając moje pytanie. — Wnętrze. Czy tapicerka była skórzana? Może rejestrację? A może ramkę tablicy rejestracyjnej?

Jeszcze nie wiedzą? A może sprawdzają, czy to ten sam samochód.

Co mi szkodzi odpowiedzieć na pytania o saaba? Na większość i tak odpowiedziałem w dniu wybuchu w kawiarni. Potworzyłem wszystko, co mu powiedziałem wcześniej.

— Nie przyglądałem się temu wozowi — powiedziałem.

Zrobił minę, jakby rozważył i przyjął moją odpowiedź.

— Dlaczego tak mnie pan wypytuje o tego saaba? — zapytałem.

Cisza. Podniosłem poprzeczkę.

— Znaleźliście go?

Porucznik Aravelo uśmiechnął się powściągliwie. Taki uśmiech mógł oznaczać wszystko. Ja wyczytałem w nim następujący komentarz: jest pan lepszym taktykiem, niż sądziłem.

— Skąd pan wie? — zapytał.

Pytanie było celne. Ja zaś nie byłem przygotowany, żeby na nie odpowiedzieć. Musiałbym wsypać sierżanta Wellera i przyznać się do moich z nim powiązań. Może Weller i Aravelo grają w tej samej drużynie, a może nie.

Zanim pożegnałem się z Erin, zapewniła mnie, że będę wiedział, co powiedzieć, kiedy znajdę się w sali przesłuchań. Ta świadomość ogarnęła mnie powoli jak fala nudności.

— Wybuch to tylko czubek góry lodowej — powiedziałem.

— Obaj wiemy, że w tej kawiarni działo się coś dziwnego na długo przed eksplozją. Proszę mnie więc nie traktować jak durnia.

Przygotowałem się na następny cios, lecz i tak mnie zaskoczył.

— Odtąd będę pana nazywał Na wierzchu. Nie Nathaniel, lecz Na wierzchu.

Zmrużyłem oczy.

— Wie pan, dlaczego kobiety nie znoszą, kiedy ich mężczyźni chodzą do klubów striptizowych? — Nadal gadał od rzeczy. — Nie chodzi o cycki, pupy ani o tańczące facetom na kolanach tancerki, od których co słabsi spuszczają się w spodnie. Chodzi o to, że faceci się zakochują. Przez chwilę wydaje nam się, że łączy nas coś ważnego. Że coś nas łączy. Najlepsze striptizerki otwierają się przed nami, a my, wiedząc, że przeżycie jest przelotne, otwieramy się przed nimi. Kiedy zadziała magia, rzecz przestaje ograniczać się do seksu. Wkracza miłość.

Zdjął pokrywkę z przezroczystego plastikowego kubka i pociągnął łyk gęstego owocowego płynu w kolorze truskawkowym.

— Dobry policjant musi umieć odczytywać emocje i szczerze wyjawiać pobudki własne oraz innych. Widzę, co się teraz w panu dzieje, bo ma pan emocje na wierzchu. Pana niepokój ma swój zapach, i to silniejszy niż zapaszek unoszący się w przegrzanym pokoju. Widzę jego kontury i jego bliskość przy pańskim ciele.

Złożył ręce.

— Co pan miał wspólnego z wybuchem? — zapytał.

— Niechże mi pan da spokój.

Aravelo wyjął notes z tylnej kieszeni spodni, otworzył. Zajrzał do środka, nie przerywając rozmowy.

— Wyszedł pan z kawiarni tuż przed wybuchem — powiedział.

Następnie wymienił wszystkie poszlaki. Wiedziałem o czerwonym saabie. Wiedziałem, że go znaleziono jeszcze przed upublicznieniem tej informacji.

— A teraz pan twierdzi, że był jakiś problem w kawiarni. Czy byłby pan łaskaw wyjaśnić?

Zapytał takim tonem, że nie mogłem się połapać, czy wie coś o Andym lub o Simonie Andersonie.

— Muszę się porozumieć ze swoim adwokatem.

Kiedy to powiedziałem, od razu mnie tknęło — dlaczego, do jasnej ciasnej, nie przyszedł mi ten pomysł do głowy wcześniej? Chyba po prostu nie sądziłem, że mogę być podejrzany.

— Nie pan jeden usiłuje dociec, co tu się dzieje — powiedziałem, wstając. — Z tą różnicą, że być może ja, do cholery, wykonuję swoją robotę z lepszym skutkiem.

Zagotowało się we mnie. Frustracja, mętlik, adrenalina i tęsknota. Aravelo rąbnął pięścią w stół.

— Niech się pan nie wpieprza w moje śledztwo!



Wzburzony wyszedłem z budynku. Wyobraziłem sobie, że ulegając brawurowej młodzieńczej fantazji, rozjeżdżam Aravela swoją terenówką.

Ostatnie dwie noce źle spałem. Kark miałem napięty od stresu — najwyraźniej mięśnie domagały się od mózgu, żeby odpuścił, bo w przeciwnym razie przejmą władzę albo pękną i wymuszą na mnie obłożną chorobę. Walilem głową w ścianę budynku, a pragnąc się uspokoić, zacząłem sobie przypominać prawdopodobne przyczyny medyczne nawarstwiającego się stresu. O wszystkim decydowała biochemia. Miałem zespół ostrego stresu, typowy dla sytuacji bardzo traumatycznych, takich jak zagrożenie śmiercią lub jej perspektywa. Objawy były potencjalnie poważne — niepokój, wycofanie, a nawet amnezja dysocjacyjna. Czy na pewno dobrze pamiętałem wypadki w kawiarni?

Zamknąłem oczy, oddychałem głęboko, i wtedy zadzwonił telefon.

— Musimy stąd uciec — powiedziała Erin.

21.

Erin podjechała po mnie dwie ulice dalej. Poczulem nosem zapach. Całe tylne siedzenie było załadowane zakupami spożywczymi z Safewaya.

— Porucznik Aravelo to bardzo niebezpieczny człowiek — powiedziałem.

— Też mi się tak zdawało.

— Używa mózgu tak jak jego brat latarki.

— To znaczy?

— Jak tępego przedmiotu.

— Może mi jednak wyjaśnisz. — Erin traciła cierpliwość. — Czego się dowiedziałeś?

W głowie mi pulsowało. Roztarłem sobie skronie.

— Wypytywał o ciebie.

— Jak to? — zapytała wyraźnie przestraszona.

— Pokazał mi twoje zdjęcie. Pytał, czy widziałem cię w kawiarni.

Zdjęła rękę z kierownicy i przyłożyła do ust. Ugryzła się w kciuk.

— Ciekawe dlaczego.

— Nie wiem.

— I nie mówił, o co mu chodzi?

— Nie sądzę, żebyś miała powody do obaw — odparłem. —
Twierdził, że interesują go wszyscy, którzy ocalili z wybuchu.

W chwili kiedy mówiłem te słowa, wiedziałem, że nie uspoko-
i to Erin, tak jak nie uspokoilo mnie. Ocalała garść osób.
Dlaczego policja wypytywała mnie tylko o jedną z nich?

Na medycynie nauczyłem się, że przeprowadzając operację,
należy oddzielić kotarą głowę pacjenta od reszty ciała. Teore-
tycznie ma to zapewnić pacjentowi odosobnienie i uchronić,
żeby nie zobaczył nic przykrego. W praktyce kotara chroni
chirurga — żeby nie puściły mu nerwy, kiedy sobie uświadomi,
że nie kroi kukielki, lecz żywego człowieka. Zapewnia lekarzowi
warunki do profesjonalnego działania. Nagle zapragnąłem
przyjrzeć się Erin bardziej profesjonalnie, niewidoczny dzięki
takiej zasłonie, żeby ocenić wszystko na chłodno. Ja, porucznik
Aravela, Danny'ego, całą tę ekipę.

— Powiedziałam im wszystko, co wiedziałam — zapewniła
Erin. — Nic nie widziałam.

— Wyszłaś do toalety.

— Nienawidzę gliniarzy! — zawołała.

Jej słowa zawisły w powietrzu.

— Które moje zdjęcie mają? — spytała już spokojniejszym
tonem.

— Tylko głowy. Wyglądasz na nim... trochę młodziej. Po-
wiedzmy o dziesięć lat. Chyba jesteś w swetrze.



Erin uknuła w głowie plan. Zapytała, czy chcę z nią poje-
chać wieczorem do Santa Rosa. Powiedziała, że koleżanka ma
tam dom na uboczu, a ona koniecznie musi się stąd wyrwać.
Obiecała, że zajmie się kuchnią, a ja będę mógł się wyspać. To
mi właśnie zalecił lekarz. Po drodze wpadliśmy do mnie, żebym

nakarmił kota, wziął ubrania na zmianę, laptop i materiały do pracy. Łudziłem się, że zdołam popracować nad artykułem, który niebawem powinienem złożyć u naczelnego.

Erin opowiedziała mi, jak spędziła ostatnie godziny. Sprawdziła mieszkanie Andy'ego, które nadal pozostało nie-
tknięte, potem zadzwoniła do gospodarza, który zapewnił ją, że nie zlecał żadnych robót elektrykowi. Podobno jednak firma okablowująca prowadziła ostatnio jakieś prace w budynku.

Kiedy jechaliśmy mostem Golden Gate, przypomniałem sobie, że za kilka godzin mam spotkanie z sierżantem Wellerem. Sam zresztą chciałem się z nim spotkać. Był moim kanałem zwrotnym informacji, chciałem więc teraz zażądać od niego odpowiedzi. Zacząłem wybierać numer.

— Wiesz co? — powiedziała Erin. — Może wyłączyłbyś komórkę na godzinę.



Nie mogę powiedzieć, że zasnąłem, ale zapadłem w odrętwienie. Spróbowałem sztuczki relaksacyjnej, jakiej nauczyła mnie Samantha, która wymagała rozluźnienia szczęki, odprężenia oczu i całkowitego skupienia na tym, co mam przed sobą. Może zakrawało to na hokus-pokus, ale nic lepszego nie umiałem wymyślić bez tequili Jose Cuervo z limoną. Patrzyłem na tablice rejestracyjne samochodów przede mną. Odczytywałem cyfry, aż odpuściło napięcie w szczęce. Powieka nadal jednak drgała mi bezwiednie — kurcz powiek. Mój mózg zanalizował sygnał elektryczny. Mrugałem zawzięcie, ale nie mogłem go wyzerować, nie umiałem pozbyć się obrazu Annie.

W ciągu poprzedniej doby dowiedziałem się więcej o Andym, Andersonach oraz pewnej blondynce w żółtej bluzce na ziarnistej fotografii i zostałem przemaglowany w komisariacie.

Za tym wszystkim kryła się Annie i jej obraz, który wtapiał się w scenerię. Za oknem migwały miasteczka, za którymi w oddali na północ ciągnęły się wzgórza. Jedna zieleń przechodziła w drugą.

Niech się schowają wszystkie Alpy Szwajcarskie, włoskie plaże, Aspen. Nie umywają się do północnej Kalifornii. Wystarczy pojechać sto kilometrów w dowolną stronę od San Francisco, a człowiek trafia do raju. Santa Cruz. Lake Tahoe. Dolina Napa. Góry sięgają nieba. Z grani roztacza się widok na bosko ukształtowane wybrzeże.

— Sarah.

Ocknąłem się z odrętwienia.

Zjechaliśmy na prawy pas. Szykowaliśmy się do zjazdu z autostrady.

— Wyłumacz mi, co to znaczy — poprosiła Erin. — Ale najpierw podaj mi mapę.

Przetrasnąłem schowek w poszukiwaniu przewodnika Thomasa. Po czym zacząłem opowiadać.

— Porucznik Aravelo pokazał mi zdjęcie kobiety.

— Jeszcze jedno? — spytała zdziwiona Erin.

Nie poznałem kobiety ze zdjęcia, ale przyszło mi do głowy, że mogłaby ją poznać stara przyjaciółka Annie. Może Sarah umiałaby wyjaśnić, dlaczego właśnie mnie wręczono list napisany ręką Annie.

Chociaż czułem się przy Sarah nieswojo, miałem do niej słabość, zwłaszcza po jej mowie pogrzebowej wygłoszonej na cześć Annie na cmentarzu. Najpierw przytoczyła historyjkę z okresu, kiedy Annie miała jedenaście lat. Pewnego upalnego sierpniowego dnia odbywał się bieg wokół jeziora na dziesięć kilometrów. Ojciec wręczył Annie turystyczną lodówkę z lodami truskawkowymi opatrzoną napisem: „Lody w rożkach 1\$”.

Wcale nie chciała ich sprzedawać, ale się uparł, że to będzie dla niej dobra lekcja. Kiedy wróciła pod wieczór, wszystkie lody znikły, a Annie miała tylko jednego dolara utargu. Zapytana, co się stało, odpowiedziała:

— Założyłam fundację.

Zebrany tłum ludzi w kościele, wbrew smutkowi, gruchnął śmiechem. Sytuacja przyniosła jeszcze jedną puentę. Jakiś dobroduszny przechodzień zauważył, że mała dziewczynka rozdaje lody truskawkowe w rożkach. Odplacił jej tą samą monetą. Sprzedawał tam z dużego wiklinowego kosza szczeniaki złotych labradorów. Jednego pieska dał Annie.

— Pozwól mi ponownie skorzystać z komórki — zwróciłem się do Erin.

Uśmiechnęła się, ale pokiwała głową. Dopatrzyłem się w tym wymownego, matczynego gestu.

— Masz problem z tym wynalazkiem.

Wybrałem numer Sarah i zostawiłem jej chaotyczną wiadomość zakończoną słowami, że mam pytanie dotyczące naszej nieżyjącej, wspólnej przyjaciółki.

Erin z uśmiechem położyła mi rękę na kolanie.

— Odlóż ten telefon, zanim wyrządzisz komuś krzywdę.



— Zdejmij buty — poprosiła Erin.

Wniosła torbę z zakupami spożywczymi do kuchni. Jako dżentelmen powinienem był zaoferować pomoc. Tymczasem dżentelmen patrzył na kanapę tak jak mój kot Hipokrates patrzy na... no właśnie, na kanapę.

Osunąłem się. Jeszcze tylko jedno. Dzwoniąc do Sarah, zauważyłem, że na komórce czekają dwie wiadomości głosowe. Jedna od mojego adwokata Erica Ruggera. Porządny facet, bystry jak cholera, wielki miłośnik koktajlu Krwawa Mary.

Z tego co mi wiadomo, nigdy nie pił, kiedy prowadził sprawę. Poza tym tylko na niego było mnie stać.

— Dostałem twój e-mail i nagrane wiadomości — powiedział. — Nie słyszałem, że wznowiono znów sprawę Aravela. Sprawdzę. Moja główna rada: bez paniki. Takie rzeczy się zdarzają. Zadzwoń do mnie, jeżeli masz pytania albo oddzwonię sam, kiedy będę znał szczegóły.

Druga wiadomość pochodziła od Mike'a Thompsona. Klawiszowa info od magika komputerowego.

— Tu Mike. Sprawdziłem twój laptop. Oddzwonił.

Trzask.

Oddzwoniłem, a kiedy się z nim połączyłem, rzucił jakiś wysmakowany informatyczny żart, którego nie złapałem, zatem moje milczenie kazało mu przejść do rzeczy.

— Otworzyłem dziennik, tak jak prosiłeś. Bułka z masłem. Nie byłem pewien, o co ci jeszcze chodziło. Przejrzałem cały komputer. Sprawdziłem system operacyjny i aplikacje. Wszystko działa bez zarzutu.

Położyłem nogi na drewnianym stole.

— Dzięki, Mike.

— Nie chciałbym sugerować, że nie ma tam nic, co by się nie mieściło w granicach normy.

Usiadłem.

— A teraz powtórz, tylko bez podwójnej negacji.

Odpowiedź padła natychmiast.

— Chodzi mi o system szyfrowania.

— Zrozumiałem, że dziennik otworzyłeś bez problemu.

— Bo otworzyłem. Wiesz, co to jest GNet?

Nie wiedziałem.

— Nigdy wcześniej nie widziałem tej aplikacji. Jest podłączona do systemu operacyjnego.

— I co ona robi?

- Nie wiem — odparł Mike. — Jest nieaktywna.
- Mimo to przykuła twoją uwagę.
- Niespecjalnie.
- Przecież właśnie powiedziałeś...

Mike przerwał.

– Nie zainteresował mnie sam program. Tylko fakt, że strzeże go najbardziej wyszukany system szyfrowania, jaki widziałem.

22.

— Mów w znanym mi języku — poprosiłem.
— Jak to? — spytał Mike.
— Wyjaśnij w zrozumiałym dla mnie języku, co się stało z komputerem. Powoli, jakbyś tłumaczył wiejskiemu przyglupowi.

Siedziałem prosto na kanapie, jak gdybym posturą chciał pokazać swoją ciekawość. Erin zauważyła zmianę mojego humoru i usiadła obok.

— Masz w komputerze taki program...
— Nawiasem mówiąc, to nie mój komputer.
— Czykolwiek jest, ma program, którego jeszcze nie widziałem — przerwał mi Mike. — Siedzi w systemie operacyjnym. Nazywa się GNet.

— G jak Gabriel i dalej Net?
— Aha — potwierdził. — Może to żadna sensacja. Naprawdę jeszcze nie wiem.

Erin przyłożyła ucho do mojego. Telefon nie miał trybu głośnomówiącego, dlatego musiała wyciągnąć słuch.

— Skoro to żadna sensacja, po co w ogóle mi o tym wspominasz? — zapytałem.

Znów mi przerwał. Nie ma ludzi bardziej asertywnych od magików komputerowych, którzy czują swoją przewagę techniczną.

— Nie program przykuł moją uwagę, lecz schemat szyfrowania. Jest dość wyrafinowany. Ma wiele warstw i klucze szyfrujące. Wydaje się na pozór zbędny. Jak gdyby ktoś zamknął swój dziennik za opancerzonymi drzwiami sejfów strzeżonego przez uzbrojonych strażników.

Wysłuchałem, spróbowałem to przetrwać, po czym odwołałem się do klasycznej techniki dziennikarskiej. Powtórzyłem wszystko swoimi słowami. Osiągnąłem dwie rzeczy — po pierwsze, sam lepiej zrozumiałem, po wtóre, trochę zwolnił tempo.

— Twierdzisz, że w tym komputerze jest jakiś zapewne nietypowy program.

— Zgadza się.

— I że chroni go na pewno nietypowy, imponujący, inny program, do którego złamania musielibyśmy mieć superkomputer.

— Kumasz bazę — potwierdził Mike.

— Co mi jeszcze powiesz?

Mike wpadł na lepszy pomysł.

— Może najlepiej ci pokażę? — zaproponował.

■ ■ ■

Powiedziałem Mike'owi, że nazajutrz wpadnę do Palo Alto na kawę.

Chyba nawet podnieciła go perspektywa dalszego zajęcia się sprawą, ale nie dopytywał, dlaczego mnie to ciekawi ani w ogóle o nic w związku z tym komputerem. Trochę mnie to zdziwiło. Mike różnił się od wielu geniuszów informatycznych. Nie ograniczał się jedynie do bajtów i bitów, bo przejmował się

również kontekstem. Znajdował wspólny język z laikami. Tyle że nie miał pojęcia, jaką potencjalną wagę ma ten komputer. Potencjalną wagę? Równie dobrze mógł nie mieć żadnej.

— Czyli w kompie Andy'ego jest jakiś nietypowy program?
— zapytała Erin.

— Na to wygląda.

— Ale co to dokładnie znaczy?

Może program był całkiem niewinny. Kto wie, może to była tylko gra wideo, którą Andy ochronił hasłem? Przybrałem miłą świadczącą o całkowitej niewiedzy. Ściślej mówiąc, patrzyłem tępo przed siebie. Dopiekły mi już do żywego te atakujące mnie ze wszystkich stron niejasności. Erin roześmiała się.

Kiedy odeszła, spojrzałem za nią ukradkiem. Miała na sobie dżinsy z czerwonym kwiatem wyhaftowanym na prawej tylnej kieszeni. Chciałem jej zaufać. Czuję, że wzbiera we mnie ufność, chociaż prawie nic o niej nie wiedziałem. Nie znałem życiorysu Erin Coultran ani miejsca zamieszkania, ani nawet wykształcenia. Zaszliśmy się razem z dala od świata na cały dzień. Ale poznałem ją tylko z jednej strony, mianowicie, że potrafi się opanować w trudnych chwilach, a poza tym nie wiedziałem o niej nic.

Wpisałem ją na listę spraw, o których chciałem się czegoś dowiedzieć.

Zwinąłem się, już chciałem podkulić nogi. I zrobiłem to, co w obecnych czasach robi się przed pójściem spać, czyli wyłączyłem komórkę. Ale po chwili znów ją włączyłem. Wzywała mnie niezłałatwiona sprawa.



Wybrałem numer i usiłowałem się skupić. Czy sierżant Weller to dobry policjant? Tak samo jak wtedy, tak i teraz od razu mnie rozbroił.

— Szukam słowa na dziesięć liter. Hasło brzmi: bojaźliwy potomek.

— Nie marnujesz aby pieniędzy podatników?

— Dlatego muszę szybko poznać odpowiedź. Żeby jak najprędzej wrócić do legalnego jedzenia pączków. Poczekaj chwilę — poprosił. — Przejdę tam, gdzie może nie będą mnie słyszeli zwierchnicy.

Potrwało dłużej niż chwilę.

— Maminsynek — powiedziałem. Policzyłem na palcach. Dziesięć liter.

— Czuję, że się zaprzyjaźnimy.

Zapytał, czy spotkamy się zgodnie z planem o szóstej, na co odparłem, że muszę przełożyć spotkanie. Umówiliśmy się na rano. Powiedziałem, gdzie jestem i z kim.

— Z tą kelnerką? — zapytał Danny ze zdziwieniem.

Powiedziałem mu, że chcieliśmy uciec w spokojne miejsce. Nie skomentował. Zrozumiałem, że z jego punktu widzenia mój romans z Erin może się wcale nie wydawać dziwny, lecz wręcz podejrzany. Bo oboje ocaleliśmy z wybuchu, poznaliśmy się i uciekliśmy razem hen daleko. Żeby uśmierzyć niepokój Danny'ego, powiedziałem, że mam mu dużo do przekazania, począwszy od reprimendy udzielonej mi przez Aravela. I znów szczerze się zdziwił. Mnie natomiast mniej zaskoczył jego komentarz.

— To nie jest człowiek godny zaufania — powiedział.

Dodał, że od dawna z nim konkuruje. Aravelo dwa razy blokował Danny'emu awans. Potem Danny został członkiem grupy cieni rozpracowującej zabójstwa i rywalizacja między dwoma mężczyznanami się nasiliła.

— Ten facet stoi na czele zorganizowanej grupy. To twarde, którzy ustalają własne reguły gry. Nie kierują się bynajmniej intelektem — dodał.

Szczerze mówiąc, ich konflikt nie bardzo mnie interesował. Zapytałem Danny'ego, czego się dowiedział o kawiarni. Powiedział, że woli mi wszystko opowiedzieć przy spotkaniu w cztery oczy i zapytał, czy ja z kolei mam się czym pochwalić. Opowiedziałem mu o laptopie i chorobie Andy'ego przed wybuchem. Również się zdziwił. Długo nad tym myślał.

— W takim razie do jutra — pożegnał mnie. — Spotkajmy się rano, na śniadanie.

Pora odpowiadała nam obu.

— Nathanielu, proponuję, żebyś do tego czasu nie ufał nikomu.

23.

- Wiesz, czego ci brakuje? – spytała Erin.
- Drugiego człowieka?
- Raczej miałam na myśli herbatę.

Usiadła obok. Zaczęła masować mi bionę między kciukiem a palcem wskazującym.

- Odręzą ci się czakry – powiedziała.

Miała zgrabne ręce. Niedługie, zadbane paznokcie. Zobaczyłem, jaka potrafi być kobieca. Wręcz subtelna?

To była moja ostatnia myśl przed zaśnięciem. Potem już odpłynąłem na lodowej krze.

Siedziałem po turecku na zimnym kawałku lodu. Dryfowałem po mętnej niebieskiej wodzie. Sądziłbym, że jestem na Arktyce, gdyby nie czarne pantery, które siedziały wokół na krze. Jedne lypały na mnie ślepiami, inne zajmowały się sobą, lizały łapy albo siedziały na zadach. Czekały, aż popełnię błąd. Dygotałem zziębnięty. Ręce miałem jak dwa sople błękitnego lodu.

Jedna pantera ryknęła, po czym skoczyła naprzód. Stała nu na piersi i zażądała:

— Żółwiku, przynieś mi czekoladowy koktajl mleczny. Czekam.



Krzyknąłem na głos? Leżałem w ciemnościach na kanapie w drewnianej chacie. Przespałem dwie godziny, ale nie wyspałem się. Mimo dwudziestu minut pod prysznicem nadal się trząsłem. Dał o sobie znać stres z dwóch poprzednich dni. Organizm może wytrzymać więcej, niż przypuszczamy. Weźmy na przykład trzydziestogodzinne dyżury, które lekarze często dostają podczas pierwszych dwóch lat rezydentury. Lekarz jednak wie, kiedy będzie mógł zejść z dyżuru. A przedłużający się stres bez nadziei na pomyślny finał dodatkowo wzmacnia dawkę czynników neurochemicznych pobudzających do „walki lub ucieczki”. Dawka staje się niebezpieczna.

Erin przygotowała ucztę — pieczeń, tłuczone kartofle, fasolkę szparagową. Twierdziła, że to danie jej młodości spędzonej na Środkowym Zachodzie, które zawsze wprawia ją w dobry humor.

— Jeszcze lepiej działa na osoby noszące spodnie — powiedziała.

Usiedliśmy i po raz pierwszy mieliśmy okazję dłużej porozmawiać. Erin wychowała się w East Lansing w Michigan, była córką nauczycielki liceum i diakona. Miała kochającego, lecz patriarchalnego i srogiego ojca. Pozornie odnosił się miło do wszystkich, ale ona wiedziała, co myśli o ludziach mieszkających w czarnym getcie. Do rodziców musiała zwracać się oficjalnie, w trzeciej osobie. Matka była mołem książkowym, ale nie rozmawiała z mężem na temat przeczytanych lektur. W dzieciństwie Erin kilka razy podejrziała, że jej mama wkłada obwołutę romansu na wywrotową, właśnie czytaną książkę. W tym okresie Erin ciągnęło do pewności bijącej od ojca. Z czasem

doświadczenie życiowe kazało jej kwestionować surowość taty.

Żeby nie zboczyć z dobrej drogi, po roku zrezygnowała ze studiów na Uniwersytecie Michigan i wyszła za swojego ukochanego z liceum. Mąż był jota w jotę podobny do jej ojca.

— Wraz z gronem moich przyjaciół nazywałam go bibliobijem.

— Bo taki był wierzący, że katował się Biblią?

— Bo mnie bił Biblią — wyjaśniła.

Aż uśmiechnęła się na to wspomnienie, jakby nie mogła uwierzyć, że coś takiego miało miejsce.

Najpierw winiła siebie, potem oskarżała wszystkich dookoła, aż wreszcie oprzytomniała. Ku wielkiemu zasmuceniu mamy wyjechała na Zachód. Próbowwała się zorientować, czy nie tłumi w sobie jakiegoś impulsu albo emocji. Nie ona jedna. I chociaż dzielnica Haight-Ashbury zamieniła się właściwie w pchli targ, ludzie nadal ścigali do San Francisco, żeby się odnaleźć. Zjechało tam znacznie więcej czarnych owiec z południa i ze środkowego zachodu, niż zmieściłoby się w mikrobusie volkswagena. Należeli do pokolenia ludzi w pogoni za coraz to nowymi bodźcami, od wspinaczki skałkowej przez gorącą jogę po nocną grę w golfa. Czasem jednego dnia. Niekiedy sprawiali wrażenie, jak gdyby nie potrafili się nacieszyć jednym, bo po prostu musieli to wszystko zaliczać.

Erin eksperymentowała z wieloma trendami lewicującego Zachodniego Wybrzeża. Zakosztowała polityki, bo chodziła na różne zebrania, zwłaszcza wiece kobiet walczących o swoje prawa. Ostatnio zapisała się do zespołu tanecznego uświadomionych społecznie kobiet w Mission, gdzie najpierw próbowałam ją odszukać.

— Czy uświadomiony społecznie taniec mogą wykonywać tylko weganki? — zapytałem.

Roześmiała się.

— Wymaga swobodnych w formie, nieagresywnych ruchów. Chociaż przez miesiąc ćwiczyłyśmy w jednym rytmie atak na domowego agresora. Wytrenowałam cios karate wymierzony w wymaginanowanego zabójcę. — Urwała, zamyśliła się. — Nienawidzę obłudy. Przedtem sądziłam, że wybór przebiega na linii: Kongres albo Kościół. Od dawna tak nie uważam. Mam wśród znajomych lewicujących fanatyków religijnych. Nienawidzą wszelkich poglądów odbiegających od ich sposobu myślenia. Tyle że sami nie myślą. Ciekawe, czy nie zboczyłam już za daleko.

— Z drogi do Boga?

— Może. A może chodzi mi o coś szerszego. Tylu mamy teraz fałszywych bogów. Wydaje nam się, że osiągniemy szczęście, jeżeli znajdziemy słuszną sprawę, cel albo hobby. Może sytuacja jest bardziej skomplikowana. Od religii domagałam się, tak jak wszyscy, odpowiedzi. Potem zamieniłam odpowiedzi na pytania. Jeden eksperyment gonił drugi. Jeden wąż drugiego. Czy nie tworzą dwóch stron jednego medalu?

Wyznała mi, że usiłowała stworzyć bardziej uchwytłą filozofię osobistą. Obecnie własną odwagę mierzyła pójściem do kina na horror. Raz się skusiła, ale duch grany przez Nicole Kidman tak jej napędził strachu, że część filmu przesiedziała w holu. Potem zrozumiała, że wybranie się samej na romantyczną komedię nie ma nic wspólnego z miłością.

Miała kilka romansów, w tym krótki, lecz intensywny z Andym, który zakończył się prawdziwą przyjaźnią. Żartowała, że w sprawach męsko-damskich stosuje miary zaczerpnięte z przemysłu telefonów komórkowych. Zaczęła oceniać potencjał

związku, wzorując się na dwóch wskaźnikach diody w telefonie — pokazujących siłę połączenia i żywotność baterii. Na dobry początek oba powinny przekraczać osiemdziesiąt procent.

Potem zaczęła mnie wypytywać o Annie. Opowiedziałem jej o naszym związku. Kiedy opisałem wypadek na jachcie, Erin na chwilę położyła rękę na mojej. Gest nie był ani macierzyński, ani romantyczny. Może po prostu chciała się przytrzymać. Zapytała, czy już się otrząsnąłem z tamtego związku.

To było moje osobiste przełomowe pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów w *Milionerach*. Czy tkwię w przeszłości? Terapeutka na okres żałoby po śmierci Annie przedstawiła mi kontekst naszego związku, który na przemian przyjmowałem lub odrzucałem, zależnie od nastroju i liczby wypitych piw. Louise twierdziła, że ponieważ z Annie przeżyłem swój pierwszy raz, była dla mnie jak matka kwoka, a ja dla niej jak pi-skłátko. Odcisnęła na mnie piętno. Zdaniem Louise mitologizowałem Annie, bo nie widziałem wszystkich jej wad. Zwykle po dwóch piwach całą jej teorię sprowadzałem do psychobelkotu.

Opowiedziałem Erin o swoich próbach randkowania po stracie Annie. Miałem kilka przygód, z których najdłuższa trwała pół roku z kobietą poznaną na koktajl party wydanym przez Partię Demokratyczną. Była piękną prawniczką, tyle że pozbawioną poczucia humoru.

— Wygłaszała takie uwagi: „Sądziłam, że to wino będzie bardziej pełnokrwiste”.

— Chyba sama nie była pełnokrwista, skoro tak gadała — ucięła Erin.

— Tak, poradziłem sobie ze śmiercią Annie — powiedziałem nagle, z całkowitą pewnością. Nie dodałem natomiast, że nie poradziłem sobie z samotnością. Muszę wierzyć, że znajdę

kogoś, przy kim poczuję takie samo podniecenie i zaangażowanie.

Wydawało mi się, że Erin nie ma skłonności do dzielenia włosa na czworo, ale chyba nie uwierzyła w te moje ostatnie słowa. Szybko pomyślałem sobie: a może przesadzam. Może wciąż nie wierzę, że mógłbym się zakochać w kimś innym.

— Zastanawiam się, dlaczego wszedłeś akurat tamtego dnia do kawiarni? — spytała Erin.

Pomyślałem chwilę, uśmiechnąłem się.

— Nie uwierzysz. Z powodu zasłon.

Rok przedtem odwiedzili mnie rodzice. Powściągając agresję, naskoczyli na mnie za stan, w jakim znajduje się moje kawalerskie mieszkanie. Pouczyli mnie, że dorosłość wymaga bodaj podstawowych wygód, takich jak porządny serwis obiadowy i czegoś więcej niż zielony kawałek flaneli wiszący w oknie dla ochrony przed porannym słońcem. Dali mi w prezencie talon do sklepu projektanckiego Pottery Barn. W dniu wybuchu najpierw grałem w koszykówkę, potem wybrałem się do Pottery Barn w pobliżu kawiarni, bo uznałem, że nadeszła pora, żebym uzbroił się w zasłony.

— Cokolwiek, do diabła, symbolizują — dopowiedziała Erin.

Chociaż silła się na żart, poczułem dotkliwy smutek. Kiedy tamta kobieta w kawiarni położyła karteczkę na moim stoliku, przemknęło mi przez głowę, że może oto w końcu zjawia się moja przyszłość.

Erin i ja dopiliśmy butelkę czerwonego wina. Odchyliła głowę na oparcie kanapy, zamknęła oczy. Już po chwili spała. Głowa zsunęła jej się na bok, opadła mi na ramię. Włosy pachniały jej fioletowym kwiatem, którego nazwy nie pamiętałem. Mimo wspomnień o Annie nie mogłem odmówić uroku Erin.

Niezaprzeczalna uroda, podkreślona niewymuszoną rozmową. Również zamknąłem oczy w nadziei na to, że zasnę po niej. Ale poczułem znajomą wibrację w spodniach. Dzwonił mój telefon. Delikatnie wysunąłem ramię spod głowy Erin. Wyjąłem moją elektroniczną smycz, sprawdziłem numer. Poczułem zastrzyk adrenaliny. Ciekawe, czy kiedykolwiek jeszcze zasnę.

24.

Przeczytałem, kto dzwoni. Gabinet Battata i Barda. Neurolog prowadzący niegdyś Andy'ego, z którym poznała mnie Leslie, a który miał oddzwonić do mnie o dziewiątej wieczorem, kiedy lekarze kończą pracę. Zwolniłem go wcześniej z posterunku i wyłączyłem telefon. Marzyłem o tym, żeby się przespać. Ale telefon zrobił swoje.

Nagle opadło mnie z nieoczekiwaną siłą kłębowisko pytań. Pomijając śmierć Annie, prowadziłem wygodne, dość spokojne i leniwe życie, jak na Amerykanina przystało. Zawód dziennikarza upodabniał mnie do komórki macierzystej. Byłem nie do końca ukształtowanym, zalążkowym bytem, który czeka, aż jakiś temat, artykuł lub dwustronna debata go określi. Jaki przyświecał mi cel?

Czasem myślałem o cytacie z Johna Adamsa, ojca założyciela. Nie pamiętałem dokładnie, ale brzmiał mniej więcej tak: Bądźcie żołnierzami i politykami. Żeby wasze dzieci mogły być prawnikami, lekarzami i biznesmenami. Żeby ich dzieci mogły być poetami, muzykami i malarzami.

Pierwsze pokolenia budują infrastrukturę, następne, już z pełnymi brzuchami, piszą rock and rolla i szukają prawdy.

Spadkobiercy stabilizacji zapuszczają się tam, dokąd nie dotarli ich ojcowie. Piszą *Schody do nieba* lub artykuły z zakresu dziennikarstwa medycznego. Nie wstrząsają światem i mają mnóstwo czasu na drzemki, które pozwalają im zgłębiać własne dusze. Erin się poruszyła. Zamruczała przez sen, pocałowała mnie w policzek i powiedziała dobranoc. Przypomniały mi się moje młodzieńcze lęki, rozczarowanie, kiedy docierało do mnie, że dziewczyna wysiadzie z auta i nawet się ze mną nie pocałuje. Z odrętwienia wyrwał mnie nowy przypływ adrenaliny. Pod wpływem wybuchu w kawiarni ożyły wspomnienia. Roztrzęsiony wyjąłem laptop i zacząłem surfować po śladach dawnych czasów, począwszy od promenady w Santa Cruz. A w każdym razie jego strony internetowej.



Pewnego kwietniowego dnia z Annie dostaliśmy gęziej skórki, kiedy chiromantka przy plaży, wróżąc Annie z dłoni, przepowiedziała jej, że dorobi się fortuny. Ale czego można się spodziewać za trzy i pół dolara?

Zamknąłem stronę promenady i znalazłem stronę opery w San Francisco. Przez pierwszy akt Annie i ja zaśmiewaliśmy się tak głośno, że musieliśmy wyjść.

Targany nostalgią zacząłem się zapadać w cyberprzestrzeń. Jedno wspomnienie pociągało drugie, minuty przechodziły w godziny, a nasz związek rozwijał się z każdym bajtem i bitem. Kurort na każdą okazję — Gospoda Lake Tahoe, w której spędziliśmy sobotni wieczór przy kominku, grając w scrabble, Berkeley Bowl, gdzie słuchaliśmy Jimmy'ego Buffetta i jedliśmy ciasteczka z haszem, Squid Row, targ rybny, na którym kupiliśmy rybę miecz i nauczyliśmy się ją piec na ruszcie, co wbiło nas w taką dumę, że przyrzadzaliśmy ją potem raz na miesiąc.

Squid Row. Jedno z nielicznych złych wspomnień. Kupiliśmy na nim rybę tego wieczoru, którego Annie zagroziła, że mnie rzuci, kiedy ojciec powiedział jej o kontrakcie z NotesMail.

Zajrzałem na stronę internetową Partnerów Inwestycyjnych Kindle'a. W linku, który trzeba było umieć znaleźć, nadal wisiał nekrolog z „Palo Alto Daily”. Przeczytałem go po raz nie wiadomo który. Utajone żądło Glenna Kindle'a czuć było nawet na stronie internetowej firmy, która była wielkim hołdem złożonym niezwyklej dokonaniami tego człowieka na arenie publicznej.



Znajdowały się tam linki do niedawnych notatek prasowych na temat jego sukcesów i wspieranych przez niego przedsiębiorstw. Po śmierci Annie szczęście poniekąd się od niego odwróciło. Nie rozbijał już miliardowych pul na fali hossy internetowej ani nie przyciągał tyle uwagi jak dawniej. Nadal finansował nowe firmy z zakresu nowych technologii i przygotowywał debiuty giełdowe, ale stracił pozycję bohatera, którego zdjęcie ukazuje się na okładce tygodnika „Business Week”. Nie całkiem zapomniany, przeżył jednak drastyczną marginalizację.

Ostatnia notatka zamieszczona na stronie mówiła o jego powiązaniach z Edem Gaversonem — niegdyś jednym z najbogatszych Amerykanów, któremu ostatnio powinęła się noga. Prowadzona przez Gaversona firma Ditsoft źle oszacowała popyt na swoje oprogramowanie i jej akcje w ostatnich latach spadły o dziewięćdziesiąt procent. Przesadzony artykuł w „U.S. News & World Report” przedstawiał stworzone przez Kindle'a z Gaversonem konsorcjum zaawansowanych technologii i sieci telekomunikacyjnych — w tym wyszukiwarek oraz dostawców telewizji kablowej i telefonii — które miało zaowocować

przylągnięciem stu procent klientów do Internetu. Promowali przedsięwzięcie, które sami skromnie nazywali wielkim krokiem w świetlaną przyszłość.

Glenn Kindle i Ed Gaverson zarobili setki milionów dolarów, tworząc komputery i niezbędne do nich oprogramowanie. Dlaczego teraz chcą rozdawać swoje osiągnięcia techniczne za darmo?

Kindle, inwestor w spółki wysokiego ryzyka, który przeżywał wzloty i upadki wraz z rośnięciem bańki internetowej, oraz Gaverson, nieprzewidywalny założyciel Ditsoftu, połączeni zaczęli przyjaźnią, choć czasem też rywalizacją w interesach, wystąpili z nowatorskim pomysłem. Ich zdaniem w niedalekiej przyszłości komputery, telefony komórkowe, laptopy i podobne gadżety będą za darmo, tak samo jak dostęp do łączącego je Internetu.

Utrzymują, że rządowy lub subsydiowany przez reklamy rozwój infrastruktury Internetu napędzi rozwój produkcji amerykańskiej — który osiągnie postępek wskutek automatyzacji i niedrogich urządzeń we wszystkich dziedzinach życia. Wraz ze swoimi potężnymi sprzymierzeńcami korporacyjnymi wzbudzili zainteresowanie Waszyngtonu twierdzeniem, że pod względem przesyłu sygnału Internetu wysokiej szybkości Ameryka zajmuje obecnie ósme miejsce na świecie, co zagraża jej konkurencyjności.

Kindle i jego koledzy również myślą o zyskach. Uważają, że przyszłość przyniesie zwrot zysków, kiedy ludzie zaczną korzystać z tych urządzeń do zamawiania zakupów i usług w Internecie, do ściągania gier wideo i muzyki albo do oglądania reklam podczas surfowania po sieci.

Ich kampanię można by zwięźle podsumować hasłem: Kto połączeń nie ustanowi, ten się nie obłowi.

Kindle woli bardziej górnolotne uzasadnienie. „Jeżeli nauczymy ludzi łowić ryby, będą mieli co jeść. Jeżeli zapewnimy im połączenia, stworzą skuteczniejsze, niewyobrażalne dotąd metody wykorzystania oceanów i... nieba” — oznajmił w tym roku na wykładzie w Wyższej Szkole Zarządzania w Stanfordzie.

Wśród firm pomagających wdrożyć ten pomysł znajdują się główne wyszukiwarki internetowe. Jedna z nich, America-Search, rozważa, czy nie udostępnić darmowego bezprzewodowego dostępu w głównych punktach śródmieścia w zamian za reklamy celowe wysyłane użytkownikom w zależności od ich miejsca pobytu. Operatorzy telefonii komórkowej również zastanawiają się, czy poprzestać na reklamach SMS-owych, czy rozszerzyć je na pocztę głosową.

Nasuwa się jednak nadrzędne pytanie, ile w tym pomysle jest zaplecza naukowego, a ile fikcji — chwytów marketingowych New Age zrodzonych z chęci odzyskania wiodącej pozycji na rynku informatycznym.

Zamknąłem link.

Musiałem, żeby oczy nie wyskoczyły mi z orbit. Nie żywiłem nienawiści do Glenna Kindle'a, a jedynie do tej jego cząstki, która przemawiała przez Annie. Ręce same zacisnęły mi się w pięści i wróciła dawna fantazja — że trzymam ojca Annie za nogi nad mostem Golden Gate. Walilem rytmicznie pięścią w biurko.

Podskoczyłem jak oparzony. Nie ze złości jednak, lecz z zaskoczenia, kiedy poczułem na ramieniu czyjąś rękę.

— Jest trzecia rano.

Erin.

— Ja tylko...

— Wpadłeś w obsesję. — Spojrzała na monitor. — Czy to jakaś ważna strona?

Spojrzałem na ekran. Widniał na nim artykuł na temat ostatniej nagrody, jaką Partnerzy Inwestycyjni Kindle'a otrzymali od Amerykańskiego Stowarzyszenia Informatyków w zakresie Oprogramowania. W ogóle nie była ważna. Była rozrywką. Idiotyzmem. Erin zgasila komputer, wzięła mnie za rękę, pociągnęła do sypialni.

— Nigdy tam nie byłem.

Spojrzała na mnie pytająco.

— Nigdy nie wróciłem na miejsce wypadku Annie.

Położyła się do łóżka obok mnie. Wzięła mnie za rękę.

— Możesz pojechać teraz...

Dokończyłem za nią.

— Ale tak naprawdę nie ma odwrotu.

Może. A jeżeli przeszłość sama do mnie wróci?

— Jutro będzie wielki dzień — powiedziała.

25.

Padał deszcz. Co się obudziłem, to znów zasypiałem. Czyżby nawiedził mnie kolejny łzawy sen?

Jeżeli tak, to moje sny z surrealistycznych zmieniły się w bardzo realne. Bo po obudzeniu miałem mokrą twarz. Otworzyłem oczy, usiadłem na łóżku. Obok stała już ubrana Erin, ze szklanką pełną kostek lodu w ręku. Jedną celowała w moją stronę.

Gest, z zamierzenia żartobliwy, tylko mnie spał. Usiłowałem zapanować nad emocjami. Naprawdę tak mnie zdenerwowała? Widocznie zmęczenie jeszcze nie minęło. Potrząsnąłem głową, jak pies, który po wyjściu z oceanu otrząsa się, żeby odzyskać orientację.

Miałem za sobą pięć godzin snu. Erin twierdziła, że rzucałem się, wierciłem i gadałem przez sen. Obudziłem się tak, jak poszedłem do łóżka, całkiem ubrany.

Całą drogę do San Francisco milczeliśmy. Podrzuciłem Erin do jej samochodu, żeby mogła załatwić sprawy, kiedy ja spotkam się na śniadaniu z Dannym. Kiedy czekałem na niego w barku Mela, przejrzałem nagłówki gazet na stojakach z prasą osłonięte plastikowymi koszulkami. *Wybuch w kawiarni zabił*

policii ćwieka („Chronicle”); Przerwana herbatka. Policja: To nie terroryści („Examiner”); FBI wspomaga dochodzenie w sprawie kawiarni („Oakland Tribune”); Sami to na siebie ściągaliśmy? („Weekly”).

Już miałem wrzucić monetę do pudełka, żeby wyjąć „Chronicle”, kiedy zauważyłem, że pod bar podejżdza sierżant Danny Weller. Gazeta wydała mi się zbędna, bo zaraz poznam informacje z pierwszej ręki. Danny wysiadł z brązowego sedana z czerwoną wisienką na dachu. Zaparkował w strefie zarezerwowanej dla zaopatrzenia.

— Poproszę jajka na szynce — powiedział zamiast powitania. — Wielkości naleśników.

— Ty to masz rozmach.



— Opowiedz mi o swojej rozmowie z Aravelem.

Rozmowa z policją przypomina rozmowy z rodzicami. I z nauczycielami. I jeszcze z obieralnymi urzędnikami. Tyle że żadna z wymienionych osób nie nosi pistoletów Beretta kalibru .40. Policja reprezentuje najwyższą władzę. Człowiek ją lubi, chce policjantów zadowolić, a zarazem ich nienawidzi. Za to, że żyją.

Przyjaźniłem się z niejednym funkcjonariuszem. Kiedyś jeden był moim sąsiadem. Palił trawę i bardzo chętnie dawał macha innym. Zachowywałem się przy nim dość swobodnie, ale znałem hierarchię dziobania. Podobnie z Dannym. Spoufalił się ze mną, ale z drobnej zmiany jego tonu od razu wyczułem, kto tu rządzi. Co on chciałby usłyszeć ode mnie? Co ja chciałem mu powiedzieć? Kiedy droga się rozwidliła, poszedłem na wprost.

— To nie tyle była rozmowa, ile monolog.

— Monolog?

W głowie znów mi pulsowało, w dodatku zaczęła mi podrygiwać noga. Przedtem nigdy mi tak nie podrygiwała. Przeprosiłem, wyszedłem do toalety, spryskałem sobie twarz zimną wodą. Po powrocie opowiedziałem Danny'emu, że Aravelo pokazał mi zdjęcie kobiety i spytał, czy ją widziałem.

— A widziałeś?

Wróciła mi werwa. Pokręciłem energicznie głową.

— I wtedy Aravelo zabronił ci się wtrącać do swojego śledztwa?

Nie do naszego śledztwa. Nie do śledztwa. Ale do jego śledztwa.

— Oskarżył mnie o spowodowanie wybuchu — powiedziałem. — Danny, nie jestem pewien, gdzie to jest...

— Kurwa żeż mać, nie do uwierzenia. Jak on śmiał...

Danny chwycił w lot.

— Wspomniałeś o laptopie. Powiedz coś więcej.

Wyjaśniłem Danny'emu, że należał do kogoś z kawiarni.

Danny zapytał, czy moim zdaniem miał związek z wybuchem. Pytanie wydało mi się dziwne, zwłaszcza w ustach glińiarza. Nawet coś mnie tknęło — czy on aby na pewno jest glińiarzem?

Wbiłem wzrok w pustą filiżankę po kawie. Mimo dwóch kaw jeszcze się nie docucilem.

— Bardzo chciałbym zobaczyć ten laptop — powiedział. — Zresztą, co ja wygaduję. Nie tyle chcę go zobaczyć, ile zlecić obejrzenie geniuszowi informatycznemu.

— Co tu się, do diabła, dzieje, panie sierżancie?

Próbowałem zgrywać twardziela.

Danny roześmiał się.

— Czas na gawędę — powiedział.

Napił się wody.

- Chciałbym poznać twoją historię — oznajmiłem.
- Danny wyciągnął przed siebie ręce.
- No to posłuchaj. Pamiętasz Valerie Westin? Valerie Westin.
- Bieliźniana złodziejka — przypomniałem.
- Zgadza się. To ja ją złapałem. Lecz zasługę przypisano Aravelowi.

Bieliźniana złodziejka wchodziła do banków, rozchyłała płaszcz, odsłaniała wyzywające ciało, ubrane w czarne pończochy i koronkowy stanik. Pokazywała personelowi kaburę, a w niej seksownego małego glocka kalibru .45. Mniej była skłonna obnażać twarz, którą kryła skromnie pod maską narciarską. Ale biedni rozproszeni kasjerzy patrzyli na jej armaty, na jej pistolet i podsuwali jej kasę. Przygotowałem dochodzenie. Wykryłem jej wcześniejsze przestępstwa w Omaha. Przez byłego męża znalazłem adres. I zostałem z niczym.

— Kapitalna historia — powiedziałem. — Tyle że nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Chciałeś, żebym odkrył karty. Aravelo jest potężnym macherem w naszym wydziale. Może nawet najpotężniejszym. Dlatego dostał to zlecenie. Dlatego trzyma łapę na rozdziale zleceń. A kto potem zgarnia zaszczyty? I awanse? Za tym idzie wielka władza i duże pieniądze.

Ciekawe jak duże?

— Niczego nie mogę udowodnić. Ale Aravelo mieszka w mieszkaniu za siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów w Fillmore, podobno niemal do końca spleconym. Jest bardziej łeb-ski od swojego brata punka.

Co chciał przez to powiedzieć? Że Aravelo ma lepkie ręce? Że on sam też chętnie brałby łapówki? Zmienił ton.

— Jak chcesz mnie wystawić do wiatru — powiedział,

grzebiąc widelcem w kupie tłuszczu i sera — to się, do cholery, nie krępuj.

Przesłuchanie. Gesty pojednawcze. Pogrożki. Czy Danny był dobrym gliną, czy tylko usiłował sprowadzić sprawę na właściwe tory?

— A co z twoim ojcem? — zapytałem.

Odłożył widelec.

— Ale o co pytasz? Zostaw mojego ojca w spokoju.

Warto było zaryzykować.

— Mówiłeś, że potrzebny jest mu przeszczep, dlatego tobie potrzebne są pieniądze.

Zamilkł na dłużej.

— Środki taty wyparowały, kiedy pękła bańka internetowa. Netscape, kolesie od przeglądarek. Kiedy giełda runęła w dół, tata jej nie dogonił. Jego filozofia brzmiała, że racja w życiu jest mniej ważna od decyzji. Warto się angażować. Nieważne kto — Franklin D. Roosevelt, John F. Kennedy, senator McCarthy, prezydent Reagan... szanował każdego, byle żył zgodnie ze swoimi przekonaniem. Postawił na akcje internetowe i wypadł z gry. — Urwał, odchrząknął. — Już dawno przydałby mi się należny awans. Chociaż i tak nie wystarczy mi pieniędzy, żeby pomóc tacie. I to dalece nie wystarczy. Ale każdy cent się liczy. I tu trzymam się zasady, że człowiek powinien mieć prawo zadbać o rodzinę. Rozwiążę zagadkę wybuchu w kawiarni, jeżeli mi pomożesz.

— Ale o co dokładnie mnie prosisz? I dlaczego mnie?

Wyraźnie się uspokoił.

— O podpowiedzi. O coś, co Aravelo mógł przeoczyć, a co ja mógłbym powiązać z informacjami zdobytymi w trakcie śledztwa — wytłumaczył. — A dlaczego ciebie? Bo możesz je znać, nawet jeśli o tym nie wiesz. Poza tym sprawa dotyczy cię osobiście.

Wzdrygnąłem się.

— Jak to? — spytałem. Czyżby dowiedział się o Annie? List. Opowiedziałem mu o liście. Do niego teraz pije?

— Chryste, Nat. Omal nie wyleciałeś w powietrze. Jesteś dziennikarzem. I to dobrym dziennikarzem śledczym. Widziałem, jak potraktowałeś tego kretyńskiego punka, brata Aravela. A po wybuchu poszedłeś do kawiarni i znalazłeś kelnerkę. Chyba nie zaprzeczysz?

A, tamtą kelnerkę.

— Nat, gromadzę ludzi, którzy mają oczy i uszy otwarte. Na tym polega moja praca. Potem wystarczy tylko zebrać wszystko, co zobaczę i usłyszę, w spójną całość — powiedział. — Podejrzewam, że chciałbyś się dowiedzieć, o co tu naprawdę chodzi.

Zostańmy współnikami.

Używał banałów, ale brzmiał szczerze.

— Jak na targu — powiedziałem.

— Nie rozumiem.

Odchylił się na oparciu.

— Nie mam zamiaru udzielać ci informacji za friko. Oczekuję czegoś w zamian. Zależy mi przynajmniej... — Obaj czekaliśmy, aż dokończę zdanie. — Na zaufaniu — dokończyłem.

Danny wyciągnął portfel. Wyjął z niego dwudziestkę, położył na rachunku.

— Właścicielem kawiarni jest Korporacja Idelwilda. Jest to ramię inwestycyjne wielu najpotężniejszych korporacji.

Żadna rewelacja. Przeczytałem o tym w gazecie.

— Ejże, sierzancie. Sprawdzasz, czy słucham uważnie?

Danny przetarł oczy. Wyciągnął głowę do tyłu.

— No dobrze — powiedział.

Czyli co?

— Powiem ci o tej kelnerce — zaproponował.

O kelnerce. Ale co takiego?

– Powiedziała ci o Michigan?

– Tak. Powiedziała, że się tam wychowała.

– I omal nie została tam do końca życia... w więzieniu.

– Erin? Za co?

– Za wysadzenie czegoś w powietrze.

26.

— Studio Igraszek.
— To jakiś żart.
— Biura spółki produkującej filmy dla dorosłych spłonęły doszczętnie. Erin z początku wykręciła się sianem. Ale potem stanęła przed sądem.

Pokazał mi wydruk z Sądu Najwyższego East Lansing. Na dokumencie widniało nazwisko Erin Iris Coultran, data sprzed sześciu lat i długi numer, jak się domyśliłem, numer sprawy. W osłupieniu wysłuchałem tłumaczenia Danny'ego. O ile zdołał odtworzyć przebieg zdarzeń, firma pornograficzna, która zaczęła kręcić filmy w East Lansing, starała się werbować studentki z Uniwersytetu Stanu Michigan. Biura zniszczono niedługo po tym, jak miejscowy alternatywny tygodnik przedstawił profil firmy. Erin należała do małej grupy oskarżonej o atak na podłożu religijnym lub politycznym. Nie została skazana, ale do dziś spłaca ogromne koszty sądowe po przegranej w procesie cywilnym.

— Chcesz powiedzieć, że Erin wysadziła kawiarnię? — spytałem.

— Nie mam dowodów, że ta kelnerka spowodowała cokolwiek.

Dodał, że jego kolega z FBI sprawdził nazwiska wszystkich osób w kawiarni i że Erin Coultran widnieje w bazie danych.

Erin wysadziła kawiarnię. Nie mogło to do mnie dotrzeć. Czy to możliwe? Coś mi doskwierało, jakaś nierozstrzygnięta sprawa z Erin. Za dużo zbiegów okoliczności. W każdym razie absolutnie nie była ze mną szczerą.

— Porucznik Aravelo mnie o nią wypytywał.

Danny wybałuszył oczy.

— Wkrótce powinienem dostać szczegóły ze sprawy w Michigan. Przekażę ci te, które nie naruszają jej prawa do prywatności.

Spojrzałem na dokument, pokręciłem głową.

— Rozumiem, że twoim zdaniem Erin nie byłaby zdolna do takiego aktu przemocy.

Zaczynał coraz bardziej mówić jak sierżant.

— Nie. Nie wyobrażam sobie.

Wyjął gumę do żucia. Podsunął mi paczkę.

— Krzyżówki rozwiązują ołówkiem.

Spytałem dlaczego. Co dokładnie ma na myśli.

— Wpisuję do krzyżówek wiele niepasujących słów. Nie trzeba się tego bać. To samo tobie zalecam w sprawie Erin. Zastanów się bez pośpiechu, co ci tu pasuje.

— Może poprosić ją, żeby sama wyjaśniła sprawę?

— Odradzam. Tylko ją wystraszysz. Nic ci nie powie, a może uciec.

Powiedział, żebym nadal spędzał czas z Erin, jeżeli mam ochotę.

— Słuchaj uważnie. Postaraj się patrzeć na nią z różnych stron. Wybierz najbardziej odpowiednią. Zobaczysz, że puści farbę. To nieuchronne.



Po odjeździe Danny'ego po głowie chodziło mi zasadnicze pytanie — czy Erin mogła wysadzić kawiarnię? Nie widziałem w niej skłonności do przemocy, chociaż musiała ją wykazać,

skoro ściągnęła na siebie uwagę FBI. Wszystkie pociągnięcia Erin wydawały się niewiarygodne.

Chyba że...

W domu Simona Andersona wybuchł pożar. Niewykluczono, że podpalaczką była kobieta elektryk. Podpalenie. Wybuch. Pożar.

Jeżeli jednak była niewinna, zgodnie z tym, co podpowiadała mi intuicja, jak to świadczyło o Wellerze? Dlaczego chce ją zrobić?

Może istniała trzecia możliwość — że Erin i Weller oboje są uczciwi. Weller sprawdzał tylko możliwości i uczulał mnie na powiązane ze sprawą dowody. Erin jest po mojej stronie, a jedynie nie dopowiedziała mi czegoś o sobie. Może to przypadek. Wydawało mi się to całkiem prawdopodobne w świetle mojej całej dotychczasowej wiedzy na ich temat. I wtedy zadzwoniła Erin. Nie odebrałem. Nagrała się na pocztę głosową.



Popędziłem do najbliższej kafejki internetowej w nowoczesnej bibliotece publicznej. Sprawdziłem Erin Coultran, również pod takimi hasłami jak Michigan, East Lansing, podpalenia, sprawy sądowe. Na próżno. Większość gazet nie udostępnia swoich archiwów w sieci, a w ogóle tworzy elektroniczne zasoby od niedawna. Znalazłem krótką wzmiankę na temat likwidacji Studia Igraszek. Na stronie pisma poświęconego filmom dla dorosłych widniała wzmianka o pożarze w studiu ilustrującym walkę z pornografią pod koniec lat dziewięćdziesiątych.

Następnie zacząłem szukać Danny'ego Wellera. Znalazłem kilka artykułów na temat jego pracy w policji przy zwalczaniu przestępstw, w tym sprawy bieliznianej złodziejki. Był graczem, aktorem. W „Examinerze” w krótkiej wzmiance na jedną kolumnę pisano, że Weller i jego młodszy współpracownik,

sierżant Velarde, zostali przydzieleni do rotacyjnej obsady zespołu cieni zajmującego się zabójstwami. Wycofał się z tej pracy.

Sprawdziłem swoją pocztę elektroniczną. Kevin, mój naczelny, przysłał mi trzy e-maile. W ostatnim widniał jedynie temat: „Co jest grane?”.

Kiedy byłem w drugiej klasie liceum, pies zjadł mi pracę domową, wypracowanie na sześć stron o *Szkarlatnym godle odwagi*. Położyłem wypracowanie pod dobrze nasłonecznionym oknem, a na nim kanapkę z masłem orzechowym i miodem. Słońce roztopiło wszystko, a następnie przyszedł pies i zrobił z tym porządek. Nauczycielka mi nie uwierzyła. To mnie nauczyło szukać lepszych wymówek.

Tego dnia mijał termin złożenia mojego artykułu o wpływie telefonów na mózg. Musiałem znaleźć lepsze usprawiedliwienie niż zgodne z prawdą — że wybuch w kawiarni zjadł mi pracę domową. W temacie wpisałem: „Szlifuję ostateczną wersję”.

Wkrótce będę musiał wymyślić coś lepszego, ale na razie miałem większe zmartwienia. Chociażby narastający ból w krzyżu, zupełnie jakby futboliści tańczyli mi *Jeziro łabędzie* na kręgosłupie. Spojrzałem na zegar w moim telefonie. Obliczyłem, że siedzę już półtorej godziny w kawiarni. Jeżeli chcę zdążyć do Informatycznego Ośrodka Naukowo-Badawczego Uniwersytetu Stanforda, muszę się pośpieszyć.



Kiedy jechałem do Palo Alto, Erin dzwoniła dwa razy, ale pozwoliłem jej się nagrać. Jechałem na spotkanie z magikiem komputerowym w sprawie laptopa. Co się kryło w tym laptopie, na czym jej tak cholernie zależało?

27.

Gabinet Mike'a stanowił studium zaburzeń kompulsywno-obsesyjnych. Wszystko tu było równiutko ułożone, uporządkowane, odkurzone. Na biurku leżało rzędem pięć ołówków, o szpicach identycznej długości. Nie pasowało to jakoś do Mike'a, który grał w drużynie futbolowej Uniwersytetu Stanforda jako wspomagający. Miał nieznaczne, ale chroniczne skrzywienie łokcia na tle artretycznym, zmiany wywołane ciosami kasku w staw, zauważalne dla wszystkich, którzy znali się choć trochę na anatomii. Kiedy pisał na klawiaturze komputera, ból w lewej ręce powodował, że dziobał palcem wskazującym po jednej literze.

Na ścianie wisiały dwa plakaty. Jeden przedstawiał Douglasa Engelbarta, mężczyznę, któremu przypisywano wynalezienie myszki komputerowej, co ułatwiło obsługę komputerów zwykłym ludziom. Engelbart był ikoną dla tych, którzy próbowali uczłowieczyć bity i bajty. Na drugim widniał Eldridge Cleaver, bojownik o prawa murzyńskie, człowiek, który chciał uczłowieczyć ludzi. Nawet się nie zastanawiałem, że jego obecność ma cokolwiek wspólnego z afroamerykańskim pochodzeniem

Mike'a. Trzeba przyznać, że w Dolinie Krzemowej nikt nie zwracał uwagi na względy rasowe. Każdy człowiek ze smykałką do interesów wchodził do gry.

Mike miał tylko jedną wadę, mianowicie cierpiał na nadmierne ciągoty towarzyskie. Chciał spróbować wszystkiego, wyjść dokądkolwiek, zbratać się z jakąkolwiek ekipą, przyjmując każde zaproszenie i zjawić się wszędzie, gdzie go wpuszczą. Był odpowiedzialny, inteligentny i miał niezłe poczucie humoru, tyle że nieco przygłuchy, dlatego nie rozumiał, że nie wszyscy przez cały czas tryskają radością, chcą się bawić albo przejawiają całkowitą szczerą w sprawach towarzyskich. Trzeba go było trzymać na wyciągnięcie ręki, bo potrafił zamęczyć człowieka swoją serdecznością.

— Ziom, czy twój koleś jest hakerem? — spytał. Uwielbiał zwracać się do ludzi per ziom.

Jak na informatyka będącego geniuszem komputerowym był stosunkowo towarzyski. Nie chcieliśmy się rozpraszać na uprzejmości. Nie zapytał, dlaczego interesuje mnie ten laptop. Od razu przeszliśmy do rzeczy.

— Ten program szyfrowania jest niesamowity.



Hakerzy cieszą się złą sławą. Określenie to obejmuje również palantów, którzy włamują się do komputerów i niszczą strony internetowe. Ale nie wszyscy hakerzy mają złe zamiary. Niektórzy rozmontowują systemy, żeby je ulepszyć, pracują poza kanałami korporacyjnymi, znajdują nowe rozwiązania problemów. To określenie wypowiedziane odpowiednim tonem stanowi hołd złożony geniuszowi informatycznemu, który dużo może.

— Mogłem go nawet przeoczyć. Ale dysk wydał mi się zbyt

przeładowany, zważywszy na liczbę aplikacji. Coś jeszcze musiało być zainstalowane.

Żeby nadażyć za jego tokiem rozumowania, musiałem odnaleźć w sobie dwie niezbędne cechy – skupienie i cierpliwość. Podobno kiedy za pierwszym razem spojrział na komputer, zauważył, że ma przepelnioną pamięć. Na pozór jednak nie było tam programów, które zajmowałyby aż tyle miejsca.

– Zacząłem trochę grzebać – powiedział – i znalazłem to.

Wszedł do katalogu, około piętnastu submenu poniżej poziomu, na który ośmieliłby się zajrzeć użytkownik bez doktoratu. Wskoczyła ikona aplikacji komputerowej pod nazwą GNet. Mike wspomniał o niej przez telefon.

– Program ma pół gigabajta. To kolos, zważywszy na to, że nie pokazuje się w żadnym z głównych katalogów.

Duży i najwyraźniej ukryty.

– I co on robi?

– Jeszcze nie wiem, ziom.

Trzymał palec na guziku komputera, który odpowiadał za prompt na monitorze. Kliknął na ikonę GNet. Nic.

– Przejdź do sedna sprawy – odpowiedziałem.

Zupełnie nie w moim stylu. Mike spojrział na mnie ze zniecierpliwieniem, jak gdyby badał zawirusowany komputer, i wybiegł myślą naprzód. Powiedział, że najpierw sądził, że program jest zepsuty, ale niedawno ktoś go uruchamiał.

– Uruchamiał?

– Rejestry pokazują, kiedy program działa. Tak jak w edytorze tekstu możesz określić, kiedy ostatnio wchodziłeś do danego dokumentu.

Pokazał mi rejestr komputera. Widniała na nim data sprzed trzech tygodni.

— Próbowałem otworzyć tę aplikację na pięćset różnych sposobów. Nawet załadowałem uniwersalny program, za pomocą którego miałem nadzieję się włamać, żeby podejrzeć, po co ona jest. — Zamilkł na chwilę. — Powinienem być wcześniej pójść po rozum do głowy. Najczęściej kiedy program jest zaszyfrowany, prosi o hasło. Albo informuje, że nie masz dostępu. W ten sposób dowiadujemy się o jego zaszyfrowaniu.

— Ale nie poprosił o hasło?

— Nie.

Mike oparł się głębiej na krześle. Rozpoczął skrócony kurs dla laików. Wyjaśnił mi, że w rejestrach komputerowych widział każde wejście do GNetu, bo włączał się wówczas inny program, AXcs*82.

— Tak się nazywa ten program szyfrowania — powiedziałem.

— Właśnie. Czysta sprawa. Program jest bardzo wyrafinowany. Działa w utajonym trybie, blokując próby wejścia do GNetu. Ale przy każdorazowym uruchomieniu programu otwiera się również szyfr.

Nachyliłem się do niego.

— Chcesz powiedzieć, że do programu też nie wszedłeś?

— Ziom, miałbyś odrobinę więcej zaufania do starego wyjadacza — powiedział i dodał z uśmiechem: — Ale tylko odrobinę.

Czekałem na puentę.

— Nie zламаłem szyfru. Ale znalazłem podpis jego autora.

— Tożsamość autora?

— Sygnaturę, która zwykle podcina się do programu. Może coś powiedzieć na temat autora lub firmy.

Pokiwałem głową.

— Wydrukowałem ją — powiedział. — To przeważnie żargon albo zakamuflowana identyfikacja, dlatego najczęściej zwykłym śmiertelnikom niewiele mówi. I tak jest w tym przypadku.

Rozłożył kartkę papieru. Spojrzałem. Poczulem, że oderwała się od rzeczywistości ostatnia cząstka, którą byłem z nią związany.

Czterdzieści osiem godzin wcześniej, tuż przed wielkim wybuchem, nieznajoma kobieta wręczyła mi list, który uratował mi życie. Napisany odręcznie, jak mi się zdawało, przez moją ukochaną. Nie umiałem złożyć tego w sensowną całość.

Może poniosła mnie wyobraźnia, może to nie było jej pismo. A może wkroczył duch, widmo w czerwonym saabie.

Aż do tej chwili nie miałem powodu wybrać żadnego z tych wyjaśnień.

— Od dawna pracuję w Dolinie — powiedział Mike, stukając palcem w słowa na kartce papieru. — I nigdy o niczym takim nie słyszałem.

Ale ja słyszałem. Doskonale wiedziałem, co znaczą. Rozpoznałem nazwę firmy, osoby lub wspomnienia po niej, które wpisały schemat szyfrowania w komputerze Andy'ego.

Laboratoria Truskawkowe.

Truskawka. Tak wabił się labrador retriever, pies Annie z dzieciństwa.

Przeszłość wróciła.

29.

Po śmierci Annie przez krótki czas zajmowałem się Truskawką Drugą, ale laboratorium Annie nazwała na cześć swojego pierwszego psa. Moje mieszkanie okazało się jednak za małe, a pies często wymiotował. Mimo wewnętrznych oporów musiałem oddać Truskawkę Drugą do adopcji. Usiłowałem obrócić to w symboliczny gest otrząśnięcia się po śmierci Annie, lecz wcale nie poszło mi to gładko.

Śmierć Annie podsunęła mi pomysł kolejnego artykułu z zakresu dziennikarstwa medycznego. Napisałem tekst na temat neurologii rozpaczy. Naukowcy zaczęli używać rezonansu magnetycznego, próbując oznaczyć obszary mózgu wykorzystywane przez człowieka, kiedy przechodzi różne stany emocjonalne, w tym rozpacz. Sporządzili mapę reakcji na myśli, odczucia i wspomnienia przeżywane w rzeczywistym czasie. Nauka usiłowała sprecyzować, czy rozpacz wydziela się z kory limbicznej, w której naszym zdaniem powstają emocje, czy z hipokampu, w którym powstają wspomnienia. Było to wstępne studium neurobiologii przywiązania. Czy jeżeli poznamy jego początki, uda się nam uśmierzyć cierpienie spowodowane utratą?

Wszędzie dostrzegałem ślady odejścia Annie, nie wszystkie do przewidzenia. Któregoś dnia do moich drzwi zapukali dwaj panowie w garniturach. Przedstawili się jako kontrolerzy skarbowi i powiedzieli, że przyszli w rutynowej sprawie. Zapytali o moje zatrudnienie. Szczególnie interesowało ich, czy pracowałem kiedykolwiek w firmie Partnerzy Inwestycyjni Kindle'a.

— Nie, jestem byłym.

— Byłem pracownikiem?

— Byłem chłopakiem.

Powiedziałem im, że spotykałem się z Annie niewiele ponad rok. Chciałem przedstawić im w skrócie okoliczności jej śmierci.

— Proszę przyjąć wyrazy współczucia — powiedział wyższy.
— I nigdy nie pracował pan u niej?

Wyjaśniłem, że skończyłem medycynę i że zajmuję się teraz dziennikarstwem, jestem wolnym strzelcem. Wysoki przerwał.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy był pan kiedyś w Nowym Jorku z panią Kindle?

Targnął mną ból. Empire State Building. Pocałunek. Skinąłem głową.

— I nie pracował pan ani w Kindle, ani w Vestige. Czy ma pan coś wspólnego z ich księgowością?

Vestige. Tę firmę odwiedziliśmy w Nowym Jorku. To była jedna z początkujących firm należących do Partnerów Inwestycyjnych Kindle'a. Zapewniłem ich, że nigdy nie pracowałem w żadnej z nich.

— Czy podczas pobytu w Nowym Jorku uczestniczył pan w zebraniu dotyczącym Vestige na temat publicznej oferty tej spółki? — spytał wysoki.

Przypomniałem sobie tamto zebranie. Zajrzałem tylko na chwilę, żeby oddać Annie dokumenty, które zostawiła w pokoju.

Powiedziałem im, że przerwałem na chwilę spotkanie, żeby się przywitać. Wyraźnie ich to zadowoliło.

— Wyrazy współczucia — powtórzył wysoki.

— Czy mogę zapytać...

— Jak panu wiadomo, państwo Kindle mieli okazały majątek — wyjaśnił. — Państwo pragnie jedynie dopilnować, żeby wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

— To rutynowa sprawa — dodał jego kolega.



Rano zadzwoniłem do Partnerów Inwestycyjnych Kindle'a. Glenn Kindle kochał swoją córkę tak samo jak ja. Nie lubiliśmy się nawzajem, ale ze względu na jej pamięć zależało mi na poprawnym pożegnaniu z nim. Tyle mogłem zrobić dla swojego niedoszłego teścia.

Nic z tego. Nie podszedł nawet do telefonu, przynajmniej przez następne półtora miesiąca. Recepcjonistka w jego firmie zbyła mnie swoim wysoce profesjonalnym tonem. Kiedy się przedstawiłem, wyraźnie złagodniała.

— Witaj, Nat. Bardzo mi przykro. Annie była wspaniałą kobietą.

Diane, recepcjonistka Kindle'a, była na pogrzebie, ale nie mieliśmy okazji porozmawiać. Wyjaśniła, że pan Kindle wyjechał do Europy, żeby zaszyć się tam na czas żałoby. Podziękowałem jej.

— Diane, mam tylko jedno krótkie pytanie. A jeżeli chciałbym zapytać o coś, co dotyczy spraw Annie? Czy mógłbym się z nim skontaktować?

Nie, zaprzeczyła Diane, też nie. Wówczas pozostawała mi tylko jedna możliwość.

— Spróbuj zadzwonić do Dave'a Elliotta.



Gabinet Dave'a znajdował się w wieżowcu z widokiem na Bay Bridge. Ten most łączy San Francisco z Oakland, „skazanych na sukces ze skazanymi na dojazd do pracy”. Na regałach za biurkiem Dave'a z rzadka stały książki prawnicze z nietkniętymi grzbietami, jakby nikt do nich nigdy nie zaglądał. O biurko stał oparty kij golfowy, putter.

— U mnie kwadrans po drugiej — powiedział.

Spojrzałem na zegar z prawej strony biurka. Wskazywał drugą.

— U mnie pięć po drugiej.

— Czym mogę służyć?

Opowiedziałem mu o kontroli skarbowej. Wysłuchał.

— Dzięki za cynk, kolego. Sprawdzę. Niech Tim z recepcji postawi ci pieczątkę na kwicie parkingowym.

Mimo serdecznego na pozór tonu wyczułem kipiący pod spodem gniew. Zapytałem, czego skarbowka mogła chcieć. Czy coś się stało z firmą Vestige? Powiedział, że to prawie na pewno rutynowa sprawa, ale żaden z nas nie dał się zwieść pozorem. Byłem wściekły z powodu śmierci Annie.

— Za porady prawne liczę po dwieście dolarów za godzinę — odparł z uśmiechem. — Za psychoterapię dwa razy tyle.

Spojrzał na zegar. Przedstawił mi dość uproszczone wyjaśnienie Partnerów Inwestycyjnych Kindle'a, inwestycji o wysokim stopniu ryzyka — ryzyka Annie. Przyznam, że zaskoczyła mnie jej reputacja wschodzącej gwiazdy w tym środowisku.

— W kręgach inwestorów mówiono, że wyniosła na szczyty Partnerów Inwestycyjnych Kindle'a. Miała niesłychanego nosa w sprawach marketingu, technologii, informatyki, wszystkiego. Chciały z nią pracować wszystkie nowe spółki. Konkurencja jej się bała.

— Annie?

— Potrafiła zamordować z uśmiechem.

Wychwycilem fałszywą nutę.

— Tacy ludzie przyciągają uwagę. Nawet kiedy znikną.

— Też się w niej kochałeś?

Parsknął śmiechem.

— Kolego, wrzuc na luz. Za wysokie progi.

— Czyli co?

Poczułem niesmak w ustach.

— Nie jestem ślepy. Was łączyło coś wyjątkowego. Traktowała cię inaczej niż wszystkich. Dałeś jej coś prawdziwego, uczucie. Powinna cię rozpierać duma.

Zastanawiałem się, czy nie wbić facetowi tego kija golfowego w okrężnicę, bo już zaczynałem tracić do niego cierpliwość.

— Na pewno jeszcze trafisz na coś niesłychanego. Bo widzę, że masz we krwi szukanie prawdziwych powiązań. Gdybyś miał ochotę jeszcze pogadać, dzwoń bez wahania. Albo odezwij się, gdybyś chciał skoczyć na partyjkę golfa do Olympic Club.

Reprezentował ten świat Annie, od której wolałem uciec, ale gdy znów dogonił mnie po kilku tygodniach, to była absolutnie moja wina.

30.

Miesiąc później zadzwoniłem do Sarah Tenner, przyjaciółki Annie.

— Cześć, Nat — przywitała mnie, jak gdyby pierwszy raz w życiu słyszała moje imię.

Spotkaliśmy się w barze. Przyznaję, że napięcie mnie nie opuszczało. Nie mogłem się wyrwać ze stanu przygnębienia. Wciąż żyłem tylko myślami o Annie. Pochwaliłem Sarah, że bardzo podobała mi się jej mowa na pogrzebie. Wzruszyła się, wzniesiliśmy toast za naszą utraconą miłość.

— Dobrze wiesz, że Annie nie była chodzącym ideałem — przypomniała Sarah.

— Przyznaję, że nie była bez wad — potwierdziłem.

— Najlepiej skup się teraz na jej złych stronach. Pomoże ci się to otrząsnąć. Bywała rywalizacyjna, manipulacyjna, czasem wredna, niekiedy szurnięta.

Pokręciłem głową.

— Jesteś patologicznie naiwny.

Upijaliśmy się i oddawaliśmy wspomnieniom. Sarah radziła, żebym jak najszybciej rozpoczął nowe życie. Jej zdaniem,

tego chciałaby Annie. Przypomniała, że spotykaliśmy się zaledwie rok.

— A ja znałam ją od dziecka. Kochałam ją tak, jak się kocha przyjaciółkę. Ale dokładałam starań, żeby jej teraz nie gloryfikować. Bo na to nie zasłużyła.

Istnieje różnica między przyjaźnią a prawdziwą miłością. Sarah i inne przyjaciółki Annie nie widziały tego co ja ani nie odczuwały nic podobnego. Żarliwość dwojga zakochanych można jedynie podziwiać z zewnątrz, bo nikt nie potrafi jej uszczknąć ani nawet w pełni docenić. Czuję się jak idiota, ale zwierzyłem się Sarah, czego mi teraz brakuje po stracie Annie. To była cała litania błahych chwil i wielkich uczuć, która przetrwała się w ekliwy, łzawy poemat.

Sarah spojrzała mi w oczy.

— Wiem, że ci ciężko. Tak już w życiu jest. Ale wiedz, że Annie była mniej romantyczna, niż myślisz. Na pewno chciała by, żebyś zaczął nowe życie. Sama mi to zresztą powiedziała. Przy tobie czuła coś, czego nie doświadczyła nigdy przedtem. Była tobą zafascynowana. Powiedziała, że cokolwiek się zdarzy, chce, żebyś był szczęśliwy.

— Twoim zdaniem spodziewała się, że może się zdarzyć coś złego?

— Tak tego nie odbierałam. Raczej gdybyście mieli zerwać albo coś podobnego. Uważała cię za kogoś wyjątkowego. Niektóre uczucia mogą przetrwać nawet tragedię, która dotknie związek. Uważam, że powinieneś kogoś poznać — dodała.



Dopiero miesiąc później przypomniałem Sarah, że obiecała podsunąć mi koleżankę.

Miała na imię Julie. Należała do tych nielicznych szczęśliwców,

których podwójna helisa jest skrojona w sam raz na naszą epokę na Ziemi.

Przy szczupłej budowie i wzroście metr siedemdziesiąt siedem miała biust, który ją wyprzedzał, domagając się uwagi, lecz nie umniejszał przy tym jej wiarygodności. Miała blond włosy do ramion w odcieniu, który kojarzy się z kobietami rozrywkowymi i zwykle niedocenianymi. Wyglądała jak modelka, którą Hugh Hefner umieściłby na okładce numeru poświęconego kobietom potrafiącym skusić mężczyzn do masowej emigracji do Ameryki.

Julie była — niekoniecznie w tej kolejności — w Korpusie Pokoju, w śpiewającym kwartecie, który zjechał całą Europę Wschodnią przed zburzeniem muru berlińskiego, w teleturnieju, w którym jej rodzina wygrała pięć tysięcy dwieście dolarów i najbardziej przereklamowaną wycieczkę w dziejach teleturniejowych nagród.

— Niech zgadnę — zaproponowałem. — Zakwaterowali cię w Motelu numer pięć?

— W Motelu numer pięć?

— Przypomina Motel sześć. Tyle że do piątki trzeba przywieźć własne karaluchy.

Należała do kobiet, na których twarzy chcemy wywołać uśmiech, które się uśmiechają nawet wtedy, gdy na to nie zasługujemy. Uśmiechnęła się.

Rozmowa toczyła się swobodnie. We wszystkim się ze mną zgadzała. Kiedy powiedziałem jej, że lubię grać w nocnego golfa (świeącymi w ciemnościach piłkami), powiedziała:

— Też bym chętnie spróbowała. Wybierzmy się kiedyś razem.

— Dobrze znałaś Annie?

— Nie miałam przyjemności — odparła Julie. — Straszna tragedia. A ty dobrze ją znałeś?

Miałem nadzieję, że nie zauważyła targającego mną cierpienia.



Dwa miesiące później wybrałem się do baru ostrygowego z Rochelle, która po godzinach uczyła gry na fortepianie, a w ciągu dnia pracowała jako osoba kreująca wizerunek miejscowej firmy telewizji kablowej. Miała trzydzieści dwa lata, ale ważniejsza od wieku była jej zawartość alkoholu we krwi... no i moja. Przy rozmowie wlewała w nas oboje alkohol. Od słowa do słowa, aż w końcu znaleźliśmy się w jej mieszkaniu.

Nawet nie pomyślałem o tym, żeby przynieść prezerwatywę. Z poczuciem nieuchronności przyjąłem leżącą w szufladzie jej nocnego stolika. Potem Rochelle poszła do łazienki, żeby się odświeżyć, a ja otarłem łzę. Ledwo minęły trzy miesiące po śmierci Annie, ja już jestem w czyścicu, łykam łzy, a kocur nieznamojej kobiety obwąchuje mi nogi w skarpetkach.



Tak to wyglądało. Wykazałem większą naiwność, niż powinienem. Nie sądziłem, że mnie na coś podobnego stać. Czuję większy gniew.

W końcu znalazłem pociechę w ramionach, by tak rzec, kobiety, której atutem nie były jednak kwiaty, lecz igła. Broń mojej dobrej wróżki, Samantha.

Po raz pierwszy doświadczyłem jej możliwości pół roku po śmierci Annie. Zrobiła mi masaż Shiatsu. Sam kładła ręce na punktach wpływu mojego udręczonego ciała — pod kolanami, na kostkach nóg, w pasie, na kościach żuchwy. Po czym dodawała mi energii. Następnie awansowałem do akupunktury z wykorzystaniem igły.

Wiedziała, że podchodzę sceptycznie do dyscyplin New Age. Wiedziała, że dla mnie masaż musi się odbywać na twardym plastikowym stole w klubie sportowym. Ale mnie nawróciła. Jej masaż okazał się nie mniej realny w skutkach niż wszystko, czego nauczyłem się w akademii medycznej Zachodu. Mój świat zwolnił tempo. Pomogła mi znaleźć coś, czego nigdy nie szukałem ani nie rozważałem. Ciszę.

Kiedy w niedzielę wieczorem kończyła ze mną sesję i wyszłała mnie w świat, cieszyłem się, że wokół panuje spokój. Nie przeszkadzała mi nieobecność Annie, godziłem się na to, że nie wraca. Widziałem ją wyraźniej, widziałem jej niedoskonałości, które zatarł jej nagły, tragiczny koniec.

Następnie wstąpiłem na drogę medytacji, oddechów z rozluźnioną zuchwą i akupunktury. Nie przeszedłem jednak na dietę złożoną z samych orzechów i jagód. Pozostałem oceniającym bliźnich Amerykaninem z krwi i kości, który uważa, że najlepszy lek na wszystko to dwa kieliszki tequili i kompakt ze składanką największych przebojów U2.



Sam i Bycze Oko nie byli moimi jedynymi przyjaciółmi. Nawet nie z nimi spędzałem najwięcej czasu. Najwięcej spędzałem z kolegami z klubu YMCA. Z wariatami, którzy w poniedziałki, środy i piątki grali między pół do piątej a szóstą wieczór w kosza. Z fanatykami sali gimnastycznej. Z facetami, którzy przeżyli rozczarowanie wielkim sportem, a także życiem społecznym. Rozgrywali w wyobraźni mecze jeden na jednego, a po głowie chodziły im supermodelki. Tyle że mieli perwersyjne poczucie lojalności wobec innych przedstawicieli tego samego gatunku.

Przyjaźniłem się też z sąsiadem, Sanjivem Bubarem, kierownikiem sklepu płytowego Ant Hill Records. Zapewne ten

mały sklepik handlujący używanymi (winyłowymi) płytami rhythmandbluesowymi wcale nie potrzebował kierownika, ale tak nazywała się jego funkcja. Muzyka wcale zresztą nie była jego największą pasją. Najbardziej uwielbiał wykonywać modele samolotów.

Kiedy reklamy zagościły na dobre w eterze, pukał do moich drzwi. Stał w progu, śmierdział klejem, a w rękę trzymał replikę eksperymentalnego samolotu marynarki wojennej, który polecał jedynie na dwie akcje nad Pragą podczas II wojny światowej.

Sanjiv miał coś wspólnego z pozostałymi — z Samanthą, Byczym Okiem i fanatykami sali gimnastycznej. Wszyscy osiągnęli pewien etap stabilizacji w życiu. Nikt z nich nie szarpał się ani nie walczył. Ustatkowali się, mniej lub bardziej zadowoleni z życia, nikogo nie oceniali... w tym i mnie. A jeżeli oceniali, to na osobności.

Różnili się od moich kolegów z medycyny. Nadal utrzymywałem z nimi kontakt, chociaż przestałem im już dotrzymywać kroku. Nie miałem w sobie tyle energii, żeby dotrzymywać im kroku albo tak dobrze udawać.

Pewnego wieczoru wróciłem późno z baru Past Time i w progu mojego mieszkania zastałem Sanjiva z ponurą miną. Ktoś się włamał i mnie okradł. Policjanci twierdzili, że to nowe zjawisko w okolicy. Objaw nowego zbiorowego uzależnienia od krystalicznej metedryny.

Zginęło mi kilka drogich urządzeń — konsola PlayStation 2, mikrofalówka, wieża stereo, komputer, monitor i drukarka. Wszystkie do odkupienia, poza pracą, której nie zabezpieczyłem. Mieszkanie było zdewastowane. Policjanci twierdzili, że włamywacze chyba szukali marihuany i leków na receptę.

Kiedy się rozglądałem, Sanjiv stał przy lodówce. Widziałem, że bierze do ręki zdjęcie Annie ze mną na chodniku w Santa

Cruz leżące w bałaganie na podłodze. Obejrzał. Nie podejrzewał, że na niego patrzę, ale chyba w roztargnieniu nie odstawił na lodówkę, tylko schował do szuflady w kuchni. Do szuflady, w której trzymam taśmę samoprzylepną, klej, pinezki, tik-taki i... zdjęcia niezwiązanych byłych dziewczyn.

Pewno uznał, że czas, żebym przestał tworzyć w głowie repliki Annie. Widocznie coś na mnie zadziało. Może subtelność Sanjiva. Dość że nie wyjąłem już tego zdjęcia z szuflady.



Czas zaczął płynąć normalnie, już nie odmierzany żałobą, może nawet prędzej niż przedtem. Po dwóch latach mgła spowijająca Annie wreszcie zaczęła ustępować.

Wróciłem do pisania, sporo tego namachałem, w tym jeden artykuł, który naprawdę mnie napawał dumą.

W Szpitalu Miejskim San Francisco zgłosił się na ostry dyżur starszy (choć nie zniedołężniały) mężczyzna w czarnej czapce baseballowej z czerwonym emblematem sieci sklepów Safeway. Uskarżał się na ból głowy. Lekarz, mój kolega z medycyny, zdjął mu czapkę. I zobaczył larwy pełzające po obnażonym mózgu pacjenta. Robaki ratowały temu człowiekowi życie.

Kilka miesięcy wcześniej ten człowiek padł ofiarą wypadku samochodowego, w którym pękła mu czaszka. Czy to z powodu wieku, czy wczesnej demencji lub niewiedzy nie zgłosił się do szpitala, chociaż miał obnażony mały kawałek płatu czołowego, część mózgu odpowiadającą za emocje i ocenę sytuacji. Wyniki lobotomii dowodzą, że można żyć zupełnie normalnie bez tego płata. Niewykluczone, że właśnie ów brakujący płat tak utrudniał temu człowiekowi trzeźwą ocenę sytuacji, że nie pofatygował się do szpitala.

Tymczasem wdało się zakażenie, które powinno go zabić, ale larwy pierwsze dotarły na miejsce i zaczęły żywić się bakteriami. Zatrzymały rozwój infekcji. Lekarze ze szpitala w San Francisco stanęli przed fascynującym wyzwaniem. Musieli oczyścić ranę, nie dopuszczając tam bakterii. Ponieważ im się udało, mieli potem o czym opowiadać na przyjęciach.

Ten sam lekarz opowiedział mi coś nie mniej interesującego. Żona tego człowieka znajdowała się we wczesnej fazie demencji. Po jego wypadku samochodowym zadzwoniła do towarzystwa ubezpieczeniowego, które miało obowiązek wysłać pracownika socjalnego na kontrolną wizytę domową. Nie wysłało, chociaż kobieta wydzwaniała do nich jeszcze kilka razy (potem sama zapomniała, wskutek własnej demencji).

Owa para nie była odosobniona w swoich perypetiach. Tysiące starszych Kalifornijczyków nie otrzymują wizyt domowych, do których mają prawo zagwarantowane polisami ubezpieczeniowymi. Biorąc pod uwagę pozwy sądowe, w ciągu ostatnich dwóch lat wskutek tego umarły co najmniej cztery osoby.

Po dwóch latach śledztwa napisałem o tym artykuł do „California Medical Journal”. Jak się dowiedziałem, mój tekst podszeptał stanowej prokuraturze, żeby dobrać się ubezpieczycielom do skóry.

Pisałem artykuł za artykułem. Praca i życie nabrały rytmu i solidarności. Coraz rzadziej zdarzały mi się wzloty i upadki. I nie przypominały dotychczasowych wielkich radości ani drastycznych załamań. Czyżbym dojrzewał?

A może po prostu coś w sobie uśpiłem.

31.

- Gdzie się znajduje Laboratorium Truskawkowe?
- A wiesz, Nat, że chyba wiem? — powiedział Mike. — Ale nie pytasz z powodu artykułu, który piszesz?
- Muszę wiedzieć, gdzie się znajduje.
- Sam byłem ciekaw. Nie znalazłem o nim żadnej wzmianki w sieci. — Wpisał kilka zdań albo poleceń na klawiaturze. — Poszukałem wśród adresów IP.

Dodał, że autor programu szyfrowania nie zostawił żadnych innych informacji w swoim podpisie. Podpis nie mówił, kim, czym ani gdzie jest autor. Program zawierał jednak pośredni dowód wskazujący na miejsce jego pobytu.

- Pośredni dowód? Co ty wygadujesz, Mike.
- Za każdym razem, kiedy ktoś wchodził do GNetu, musiał się przebić przez program szyfrowania. W tym celu musiał przejść przez odległy serwer.
- Komputer znajdujący się w Laboratorium Truskawkowym — powiedziałem.
- Nie podam ci adresu tego laboratorium w realu, ale znam ich adres internetowy. I mogę ci podać z grubsza adres protokołu sieciowego, z którego korzysta ta firma.

Urwał.

— Dać ci ibuprofen?

Zorientowałem się, że rozcieram sobie szyję.

— Nic mi nie jest — zapewniłem go.

Wzruszył ramionami.

— Kiedy ludzie łączą się z Internetem, ich miejsce jest oznaczone wyjątkową konfiguracją cyfr. Ta konfiguracja na ogół jest przypisana konkretnemu operatorowi Internetu.

— Jak America Online.

— Jak Felton Community Net.

— Felton — powiedziałem. — Na południe od San José.

Pokiwał głową.

Felton.

Dojechałbym tam nawet bez stawiania po drodze, żeby za-tankować.

Poprosiłem Mike'a, żeby nie mówił nikomu o swoich odkryciach, bąknąłem, że w tej sprawie prowadzone jest śledztwo. Złapałem laptop i wyszedłem z Informatycznego Ośrodka Naukowo-Badawczego Stanforda. Na masce siedziała Erin. Kiedy się zbliżyłem, powiedziała:

— Myślałam, że tworzymy w tej sprawie wspólny front.

— Ja też — mruknąłem.



Co miałem powiedzieć? I co mogłem?

W najlepszym wypadku Erin pominęła jeden szczegół, że jest oskarżona o podpalenie. Szczegół niebagatelny, zważywszy na to, jak ważną rolę pożar odegrał w naszym życiu. W najgorszym naprawdę dopuściła się podpalenia, i to kilka razy.

— Wysiadł mi telefon — wyjaśniłem. — Wysłałem e-maila, ale wrócił; rozładowała mi się komórka; o dziwo, wcale nie było twojego nagrania na pocztę głosową!

W powodzi korzyści czerpanych z rozwoju telekomunikacji w XXI wieku dochodzi jeszcze i taka, że podsuwa nam on mnóstwo nowych wymówek.

Równie dobrze mogłem powiedzieć Erin, że pies zjadł moją pracę domową wysmarowaną masłem orzechowym z miodem.

— Kiedy dzwoniłam, za każdym razem czekałam pięć, sześć dzwonek — powiedziała, a po chwili nieznanym mi u niej tonem dodała: — Daj już spokój!

— Nie chciałem się spóźnić na spotkanie z Mikiem.

— Chryste, martwiłam się o ciebie.

Przyjrzałem jej się bacznie. Zmartwienie, strach. Co jeszcze?

— Domyśliłam się, że tu przyjedziesz — wyznała. — Nie wiedziałam, gdzie indziej cię szukać.

— Domyśliłaś się?

— O co ci chodzi?

— O co mi chodzi? O to, że chciałbym się, do cholery, dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Zacisnęła pięści. W jej oczach zapłonął ogień.

— Na pewno jesteśmy po jednej stronie?

Spojrzała na moją rękę, którą ścisnąłem laptop Andy'ego.

— Też chcę się dowiedzieć, co jest w tym komputerze. Otworzył dziennik? Pokażesz mi?

Dziennik. No jasne. Powinienem był przed spotkaniem z Erin zajrzeć do niego w pokoju Mike'a, żeby sprawdzić, czy nie ma tam czegoś ciekawego. Schowałem laptop do bagażnika.

— Obejrzymy na miejscu.



Istnieją różne rodzaje milczenia. Czterdziestominutowa jazda do Felton rozpoczęła się dość niewinnie, ale z czasem

nabrzmiwała coraz chłodniejszą ciszą. Zimna, przenikliwa, lodowata aura. Z mojej strony nie było niechęci, lecz ostrożność i strategia. Czekałem, aż otworzy się jakaś szczelina, chciałem wyczuć sytuację bez nalegania. Po przestrodze Danny'ego powinienem był rozmawiać z Erin normalnie, ale umiałem się zdobyć jedynie na słabo zamaskowane naburmuszenie.

— Powiedz mi, co się stało — poprosiła w końcu.

— Czuję się, jakby w głowie walił mi bęben z koncertu Boba Marleya.

Odezwwał się w trybie wibracyjnym telefon. Battat i Bard. Gabinet doktora Murraya Barda. Neurologa Andy'ego.

— Witam, panie doktorze.

Doktor Bard zaczął od uprzejmości, pytając, czy jestem kolegą z roku doktor Fernandez i czy nadal mieszkam w tym mieście. Na oba pytania odpowiedziałem twierdząco i formalnie nie skłamałem, chociaż kiedy Bard pytał mnie o miasto, na pewno nie chodziło mu o miejsce zamieszkania, lecz o miejsce pracy w zawodzie.

— Mam oczko między pacjentami — powiedział Bard. — Czym mogę służyć?

— Dzwonię w sprawie Andy'ego...

Spojrzałem na Erin.

— Goldsteina — podpowiedziała mi prawie bezgłośnie.

— Andy'ego Goldsteina.

Po czym przerwaliśmy na język medyczny.

— Cierpiał na bóle głowy, bezsenność, gwałtowne zmiany nastrojów, zgłosił się na EEG.

Bard milczał, najwyraźniej szukał w pamięci. Przyjmował setki pacjentów. Bez historii choroby nie istnieli dla niego.

— Jakies trzy tygodnie temu skoczył z mostu Golden Gate.

Odpowiedział po chwili.

— Teraz sobie przypominam. Szczupły mężczyzna. Nadpobudliwy. Typowe dla człowieka uzależnionego od metedryny.

Erin nie wspominała, że Andy zażywał narkotyki.

— Czyli zwierzył się panu — powiedziałem, zawieszając głos.

— Doktorze Idle? Nie pamiętam, na co pan leczył pana Goldsteina? — spytał Bard.

— Nie byłem jego lekarzem, a kolegą.

— Jeżeli ma pan ochotę do mnie zajrzeć, wyjmę jego kartę. Proszę się porozumieć z recepcjonistką, żeby ustalić dogodną porę.

— Chwileczkę, przydałaby mi się pańska opinia.

— Proszę pozdrowić ode mnie doktor Fernandez.

Odłożył słuchawkę.



Erin przyglądała mi się z niepokojem.

— Co się stało Andy'emu? Co oni mu zrobili?

Oni.

— Nie powiedziałaś mi, że Andy brał narkotyki.

— Co?

— Erin, czy Andy był narkomanem? Dlaczego nie mówisz mi prawdy?

— Andy miałby brać narkotyki? Oszalałeś? Niby jakie?

— Metedrynę. Stymulanty. Takie, które pozwalają człowiekowi przetrwać noc bez spania, a potem każą skoczyć z mostu.

Milczenie.

— Erin, co jest?

— Nat, Andy był moim... serdecznym przyjacielem. Wiedziałaś o nim wszystko. Był absolutnie czysty — powiedziała podniesionym głosem. — Na pewno to nie narkotyki...

— Dokończ.

— Go załatwiły. Ten człowiek nie miał wad, kumasz? Był dobrym, kochanym, wielkodusznym facetem.

Osunęła się głębiej w siedzenie i odwróciła do okna.



Po półgodzinie milczenia przyjechaliśmy do Felton, które bardziej przypominało scenografię z filmu niż prawdziwe miasto. Poczulem się jak w hali B w studiach Disneya, gdzie kręci się sceny z ciekawego miasteczka, w którym sklepikarze podczas przerwy na kawę grabią liście.

Na stacji benzynowej zapytałem obsługującego w średnim wieku o dojazd do siedziby jedyne go, jak sądziłem, operatora Internetu w okolicy, Felton Community Net. To tylko kilka ulic stąd, odpowiedział grubas.

Zebrałem się na odwagę i powiedziałem Erin:

— Z góry przepraszam cię za swoją prośbę.

32.

Poprosiłem Erin, żeby poszła do siedziby operatora Internetu i zdobyła tam adres Laboratorium Truskawkowego. Położyła mi rękę na kolanie i powiedziała przymilnie:

- A ja bardzo chciałabym zajrzeć do dziennika Andy'ego.
- Nie wszystko naraz. Teraz się śpieszymy.

Wzięła butelkę wody z tylnego siedzenia, a z mojego pliku dokumentów wyjęła szarą kopertę. Napisała na niej: „Laboratorium Truskawkowe”. Wysiadła i poszła do operatora Internetu. W recepcji siedział chłopak, z wyglądu siedemnastolatek. Podchodząc do drzwi, potknęła się i oblała sobie wodą koszulkę. Świetnie grała.

Czekając, myślałem o Heather Asternak, którą poznałem pół roku wcześniej. Właśnie skończyłem pisać artykuł na temat Timothy'ego Aravelo i szukałem sprawy, która na pewno nie skończy się w sądzie. Tu wkracza Heather, pani dermatolog.

Pisałem artykuł na temat mody wśród studentów medycyny. Wszyscy na wyścigi porzucają takie lukratywne specjalności jak medycyna rodzinna na rzecz takich specjalizacji jak dermatologia, które oferują lepsze godziny pracy i znacznie większe pieniądze.

Na początku zdumiał mnie u Heather mocny makijaż, całkiem zbyteczny, zważywszy na jej młody wiek i naturalną atrakcyjność. Kiedy przy frytkach z lemoniadą wyrecytowała mi powody, dla których wybrała dermatologię, zabrzmiało to jak fragment przeczytany z podręcznika.

Zadałem dużo pytań, żeby rozkręcić rozmowę, po czym zamilkłem i tylko słuchałem. Powiedziała mi, gdzie się wychowała, co ją skłoniło do pójścia na medycynę, kiedy się pierwszy raz zakochała — przy gotowaniu. Zamówiliśmy drugą lemoniadę. Zwierzyła mi się, jaką przeżyła frustrację, kiedy opadł jej suflet. Pokiwałem głową, jak gdybym chciał potwierdzić, że trudno o doskonałość.

— Lubisz gotować, prawda? — zapytałem.

Wypiła łyk lemoniady. Spojrzała w róg sali. Albo, ściślej mówiąc, odwróciła wzrok ode mnie.

— Oszukałam na egzaminach — wyznała.

Prosto z mostu. Staralem się nie siorbać przez słomkę.

— Nikomu nie powiedziałam.

Czyli faktycznie nie była lekarką, w każdym razie dla stanowej komisji weryfikacyjnej specjalizacji lekarskich. Powiedziała mi, że wybrała dermatologię, bo nie wierzyła w swoje możliwości. Uznała, że w ten sposób wyrządzi najmniej krzywdy.

Nigdy nie sprawdzałem, co się potem z nią stało. Nikomu też nie pisałem ani słowa. Zachowałem tę informację dla siebie jako cenną naukę, jak zapracować sobie na sensacyjne wyznanie: po pierwsze — wykazać troskę, po drugie — czekać w milczeniu, aż dana osoba wypełni je swoim zwierzeniem.

Taki miałem plan wobec Erin, która zagrała po mistrzowsku Przed siedemnastolatkiem. Powiedziała mu, że przyjechała z San José, żeby dostarczyć dokumenty do Laboratorium Truskawkowego, ale dopiero na miejscu zorientowała się, że

wysłano ją, nie podając tego kretyńskiego adresu na kopercie. W San José w biurze nikt już nie odbiera, a ona nie może znaleźć Laboratorium Truskawkowego w książce telefonicznej. Może on zna okolicę? Nie, nie zna. Rozejrzała się bezradnie. I nie może jej nijak pomóc? — zapytała. Trafiło na jej naprawdę ciężki dzień. Poczekaj, powiedział. Co za zbieg okoliczności. Laboratorium Truskawkowe jest ich klientem.

— Pięć kilometrów w głąb kanionu — powiedziała mi chłodno Erin.



Zatrzymałem się w jedynej kawiarni w miasteczku i zamówiłem największy, najmocniejszy drink spośród wypisanych na tablicy. Następnie poprosiłem młodą kobietę za ladą, żeby dołała dwie kawy espresso. Pewno się zastanawiała, gdzie jest słoń, którego ten klient chce wskrzesić.

Jechaliśmy krętą drogą przez wąwóz. Z obu stron gęstniał zielony las. Najpierw zobaczyliśmy boczne, polne drogi, a po chwili po prawej drogowskaz do szukanego laboratorium. Jeszcze pół kilometra przez gęstwinę i dotarliśmy do bramy. Za ogrodzeniem stały trzy budynki. Środkowy wydał mi się najbardziej nowoczesny. Przypominał wiejską chatę, tyle że pięknie wykończoną, taką, jakie widuje się na łamach pism architektonicznych.

Budynki z obu jej stron wydawały się podobnie opustoszałe. W każdym razie nie zauważyłem żadnego dźwięku ani ruchu, który wskazywałby na czyjąś obecność w tej głuszy. Budynek z lewej strony był prostokątną sosnową chatą, która wrzynała się piętnaście metrów w głąb lasu. Wyglądał mi na magazyn. Budynek po prawej był parterowym domem mieszkalnym, pomalowanym na ciemny kolor, z zaciągniętymi czerwonymi

zasłonami. Prezentował się nieskazitelnie. Gdyby to była kwatery wojskowa, tu mieściłby się lazaret. W przybudówce obok znajdował się parterowy garaż.

— Mroczniejszego hotelu nie widziałem — przyznałem.

— Celujemy w budynek pośrodku — odparła Erin.



Po podejściu do drzwi wejściowych poczułem przypływ otuchy i odwagi. Nie dlatego, żebym coś zrozumiał lub przestał rozumieć, ile dlatego, że zobaczyłem szyld.

„Laboratorium Truskawkowe”. Odręczny napis małymi czarnymi literami na drewnianej tabliczce zawieszanej na drucie przy drzwiach.

To tylko firma oprogramowania w Dolinie Krzemowej, pomyślałem. Być może filia jakiegoś szemranego przedsięwzięcia, a może nie. To tylko informatycy. Informatycy zasadniczo nie budzą podejrzeń. Tak sobie powiedziałem w duchu, stukając do drzwi laboratorium nazwanego na cześć nieżyjącego psa mojej nieżyjącej dziewczyny.

Cisza. Zastukałem ponownie. Cisza. Erin pchnęła drzwi. Weszliśmy do zabałaganionego pokoju, w którym na środku stał okrągły dębowy stół zavalony stosami papierów. Zupełnie jakby ktoś wszedł, trafił na bezładną stertę papierzysk i dmuchnął w nią odkurzaczem do liści.

W środku były dwie pary schodów, jedne, prowadzące do góry, z prawej od drzwi frontowych, drugie w dół, przypuszczalnie do garażu.

— Halo! — zawołałem, wchodząc na pierwszy stopień schodów do góry. — Jest tu ktoś?

Cisza. Obejrzałem się na Erin. Patrzyła na dół, w głąb drugich schodów. Odwróciłem się do pierwszych schodów, ruszyłem na górę. Na piętrze zobaczyłem trzy pary drzwi. Wszystkie

zamknięte. Intuicja, a może dziwny zapaszek kazały mi zacząć od najbliższych z lewej.

Otworzyły się bez trudu. Mój wzrok najpierw padł na rząd komputerów. Zaraz przerzuciłem uwagę na klatki z pleksiglasu. Kilkanaście, może nawet dwadzieścia klatek stojących po cztery na sobie. W każdej siedział co najmniej jeden szczur, w niektórych po pięć albo i więcej.

Dopiero po chwili zobaczyłem, że nie żyją. Wyglądały, jakby nagle zastygły ich życie. Jakby zdechły całkiem, a potem nagle przyszedł wypychacz zwierząt, wyjął wnętrzności i zaszył.

Mogło tu zadziałać tylko jedno — bardzo silna trucizna. Rzut oka na stół z prawej potwierdził mój domysł. Stało tam kilka otwartych fiolek strychniny i jedna przewrócona. Podszedłem do jednej klatki. Wybrałem klatkę w środku stosu, blisko podłogi, znajdowało się w niej pięć szarych szczurów. Widniała na niej etykieta podpisana ręcznie: „A6-A10”.

Opanowałem mdłości. Naciągnąłem sobie koszulkę na usta. Gdyby tu była jakaś choroba zakaźna, lepiej zbyt głęboko nie oddychać, chociaż już pewnie i tak za późno.

Coś mówiło mi, że to nie choroba — a mianowicie dwa łyse placki wygolone z tyłu czaszki na łebkach obu szczurów. Podobnie potraktowano ich towarzyszy. Wszystkie zdechłe szczury we wszystkich klatkach miały po dwa wygolone placki łysiny obnażające czaszkę. Wszystkie poza jednym. Coś mi mignęło w klatce B4, w prawym górnym rogu. Leżał sam w klatce, miał czarną sierść, a na głowie cienką, metalową, ciasno przyśrubowaną obrączkę. Z tyłu podłączone dwa cienkie czarne przewody elektryczne prowadzące poza klatkę. Zanim zdążyłem stwierdzić, dokąd prowadzą, usłyszałem chrobot.

Obejrzałem się. Dlaczego wcześniej nie spojrzałem w kąt pokoju?

Stała tam jeszcze jedna klatka z kolejnym szczurem. Podszedłem do pleksiglasowego domku. A11 jeszcze oddychał.

— Nic ci nie będzie, maluchu — pocieszyłem go.

Czy również został otruty i przeżył, czy napastnik go najzwyczajniej przeoczył? Nie odbyłem kursu pierwszej pomocy dla szczurów. Zresztą ratowanie Ali miało się z celem. Co się tu stało? Tortury? Eksperyment? Jedno i drugie?

Wróciłem do B4, czarnego gryzonia z metalową obrączką.

Na medycynie widziałem laboratoria doświadczalne. To pomieszczenie wyglądało mi na takie laboratorium. Spiętrzenie klatek ze szczurami zawierających dużo informacji. Tylko jakich? I po co?

— O Boże.

Krzyk wyrwał się z ust Erin. Obejrzałem się. Zakryła rękami buzię. Spojrzeliśmy na siebie, w jej oczach malował się strach, po chwili jakby się ocknęła.

— Nathaniel! — zawołała. — Uciekajmy!

Spojrzałem na nią, nie widziałem powodu do pośpiechu.

Odwróciłem się do szczurów i otworzyłem drzwi klatki.

— Nat, prędzej! — zawyła. — Pali się!

33.

— Zginiemy tu.

Nie widziałem ani nie czułem swądu, dlatego nie udzieliła mi się panika Erin. Wtedy jednak usłyszałem głuchy huk, a po nim wstrząs. Coś wybuchło w czeluściach drewnianej chałupy. Dom natychmiast zamienił się w łóżko wodne. Bujnęło nas. Upadłem na lewy bok, wypuściłem z rąk klatkę, kolaniem dotknąłem podłogi.

Byłem skąpany w ogniu. Kłęb groźnego, okrutnego powietrza buchnął schodami na górę.

— W suterenie przy piecu widziałam kałużę benzyny.

Pociągnęła mnie za ramię.

W suterenie. Jej słowa zabrzmiały jak z oddali. Dwie kondygnacje i trzy galaktyki ode mnie.

— Muszę jeszcze chwilę zostać, żeby się zorientować, co tu zaszło.

— Nie, uciekajmy.

Poszedłem za obydwojma kablami przymocowanymi do głowy B4. Prowadziły donikąd. Leżały na podłodze za klatkami, niepodłączone do niczego. Na obu końcówkach wisiały karteczki. Na jednej napis „stym”, na drugim „fala”.

Zacząłem szarpać drzwi klatki B4, żeby ją podnieść. Była przymocowana do klatki pod nią. Wszystkie klatki były przytwierdzone do siebie. Musiałem zdobyć narzędzie.

– Cholera.

– Zostaw – krzyknęła Erin.

Nie odpowiedziałem.

– Daj mi kluczyki.

– Erin, pomóż mi szukać.

– Ja spadam. I to zaraz.

Stała przy oknie z widokiem na front domu, ze stanowczą, pełną pogardy miną. Kiedy zobaczyła, że na nią patrzę, wyjrzała przez okno.

– Spójrz!

– Co?

Coś mi pokazywała.

– Nat!

Kolejny podmuch gorącego powietrza runął ze schodów. Wyjrzałem przez okno za jej palcem. Język ognia podrygiwał coraz szybciej, jak gdyby chleptał ze źródła pomarańczowej wody.

– Wiem. To hubka. Erin, musisz mi pomóc.

– Nie!

Czyli co? Że to jest hubka? Czy że mi nie pomożesz?

– Patrz! Przez bramę wyjeżdża jakiś wóz – powiedziała. – Błagam, uciekajmy. I to już! Zbieraj się albo daj mi kluczyki. Jak chcesz, to zostań i sam się baw w detektywa.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie chciałem opuszczać tego pomieszczenia. Pragnąłem wyjaśnić przynajmniej jedno. Cała moja bezradność z poprzednich kilku dni skumulowała się w tej jednej chwili. Co tu się stało?

Erin wskazywała przez okno. Zobaczyłem wstęgę ognia dobywającego się spod górnej framugi okna. Poczulem, że żar

parzy mnie w podeszwy stóp. Podeszedłem do okna, żeby zobaczyć to, co widziała Erin. Nie zobaczyłem nic. Może coś mi zasłaniało widok. A może to coś już uciekło.

Ktoś podpałił.

Erin.

— Erin, powiedz, czy to ty... — zapytałem. — Czy ty...

— Czy co? — spytała.

Nie słyszała, nie rozumiała albo udawała, że nie rozumie.

Zniecierpliwiłem się. Nic z tego. Miałem mętlik w głowie. Nie było czasu, żeby zebrać myśli. Żadnej jasności. Spojrzałem na Erin. Popatrzyła mi w oczy i rzuciła się do ucieczki. Wyglądało to jak sprint w zwolnionym tempie.

Zbiegła po schodach.



Puściłem się pędem za nią.

Obejrzałem się za siebie. Chciałem jeszcze raz zobaczyć ośrodek badań zwany Laboratorium Truskawkowym. Może coś zapamiętam? Jakiś trop? Coś, o czym później będę mógł zaświadczyć?

Odwróciłem się, omiotłem wzrokiem pomieszczenie. Wszystko zlało mi się razem. Szczury, sprzęt medyczny, rząd komputerów, nic szczególnego. Żadnego dymiącego rewolwera.

Po raz ostatni rzuciłem okiem na jedyne żyjącego szczura, dzielnego nieboraka opatrzonego kryptonimem A11. Otworzyłem szarpnięciem drzwi klatki. Gryzoń wyskoczył, strąciłem go ze stołu. Zrobił trzy susy, stanął, pociągnął nosem, czmychnął na schody, zsunął się ze stopnia, znów stanął, cofnął, po czym zaczął nerwowo krążyć po pomieszczeniu. Moją uwagę przykuł wystrzępiony świstek papieru wystający spod krawędzi klatki. Sięgnąłem przez kraty. Dwoma palcami wyciągnąłem kartkę zapisaną nazwiskami i numerami. Był to wykaz techniczny

z miejscami po przecinku i znajomą nazwą. Na dole widniały nabazgrane słowa: „Hasło — Vestige”.

Zamyśliłem się, aż zacisnąłem zęby, lecz nagle poczułem, że coś mnie parzy w stopy.

Palila się podłoga.

Listwa przypodłogowa pulsowała czerwienią, co wyglądało mi dopiero na grę wstępną przed prawdziwym żarem.

Schowałem kartkę za pazuchę.

— W nogi.

Obejrzałem się jeszcze na schody i zobaczyłem jęzor ognia. Skoczyłem w stronę schodów. Z dołu buchnął czarny dym. Groźnie.

Okno.

Spojrzałem w lewo, nad stołem z monitorem komputerowym. Drugie okno. Wychodziło na bok chaty. Podbiegłem. Wyjrzałem. Płomienie buzowały rytmicznie z boku budynku, ale nie tworzyły jeszcze ściany ognia. Dobywały się z garażu. A może nawet z parteru.

Zerwałem monitor ze stołu, cisnąłem przez okno. Chłodny powiew. Wszedłem na stół.

Zbliżyłem się do okna. Raptem wybuch i fala płomieni. Popatrzyłem w dół. Bok domu był skąpany w ogniu. Jeżeli skoczę, wpadnę w kocioł. Obejrzałem się na schody. Buchał z nich dym. Puściłem się biegiem, ale zatrzymała mnie fala nacierających płomieni.



Dopiero wtedy zrozumiałem, w jakich jestem opalach. Widziałem tylko osiem stopni w dół, bo niżej schody zakręcały pod kątem prostym. Czyli widziałem tylko ich połowę. Jeżeli tam skęcę, dalej czeka mnie niepewny los.

Rozejrzałem się. Coś mi się przypomniało — tamto

pomieszczenie i podstawy ratownictwa medycznego. Przewróciłem stół, wyszarpnąłem spod niego zielono-niebieski dywanik.

Zawlokłem go na schody, zarzuciłem sobie na ramiona.

— Teraz albo nigdy.

Ruszyłem na schody, otuliwszy się dywanikiem. Zrozumiałem, że na zakręcie będę musiał podjąć decyzję. Jeżeli ogień jeszcze się nie rozszalał, wyjdę na dwór. Jeżeli będzie niedobrze, muszę owinąć się cały, sturlać na dół... i tylko się modlić.

Wchodząc na schody, w głowie miałem ostatnie życzenie skazańca. Obym tego dożył, żeby dowiedzieć się, co się stało z Annie.

Jeszcze jeden krok w wełnianym dywanie na ramionach, który ciągnął się za mną, tworząc pelerynę ochronną. Wokół snuł się dym. Ostami krok przez zakrętem schodów pokonałem w ciszy i wtedy usłyszałem wybuch. Eksplozja w głębi domu. Jakiś łatwopalny materiał zajął się ogniem. Zadziałał efekt domina. Po huk buchnął żar i wylał się ogień... zza węgla za moimi plecami. Instynktownie padłem na schody. Zacząłem zjeżdżać na plecach na dywanie w dół. Zaparłem się nogą o ścianę.

Gorączkowo wymachiwałem rękami, próbując chwycić się drewnianej poręczy. Złapałem, spowalniając upadek, po czym w ogóle się zatrzymałem. Podciągnąłem się na barierce i stanąłem na nogi.

Dotarłem do zakrętu, skręciłem. Płomienie opanowały cały parter i schody pół metra pode mną.

Od podłogi dzieliło mnie osiem stopni.

Pociągnąłem róg dywanika i owinąłem się nim, jakby wełniana tkanina była naleśnikiem, a ja nadzieniem. Upadłem na plecy, zakryłem się dywanem i sturlałem na dół. Całe życie przetoczyło mi się przed oczami. Ale nie moje, lecz Sonny'ego Ellisona. Przez ułamek sekundy myślałem o chłopaku, który

zgłosił się na ostry dyżur, kiedy byłem studentem medycyny. Spadł hondą civic piętnaście metrów w dół z nadbrzeżnego klifu na skały. Wybuchł zbiornik paliwa. Ellison przeżył, a ja nigdy nie zapomniałem ani jego, ani cierpień, jakie człowiek może znieść w walce o przetrwanie, chociażby takich jak teraz, kiedy objąłem się, spadając po schodach. Nagle wszystko się urwało.

Leżałem u podnóża schodów trawiony żarem.

Zdarłem dywan z ramion. Liczyłem na to, że ugaszę nim szalejący wokół ogień, przyduszę płomień do ziemi.

Miałem szczęście. Dywan rozwinął się aż do drzwi, ścieląc przede mną jedyny w swoim rodzaju, najważniejszy w życiu czerwony dywan.

Na ganku było gorąco, ale nie szalały tam płomienie. Sturlałem się po dwóch betonowych schodkach i upadłem na żwirowy podjazd przed Laboratorium Truskawkowym, które wkrótce miało obrócić się w perzynę.

Zobaczyłem Erin. Z pobladłą twarzą, usmarowaną sadzą, stała przy samochodzie.



— Erin, cholera jasna, co jest?

— Chwała Bogu. Już myślałam, że zginiesz.

Podszedłem, usiłując wyczytać coś z jej twarzy. Co w niej było — szczerłość? Strach? Bezczelna manipulacja? Nagle chwyciłem ją za ramiona.

— Nat, co ty wyprawiasz?

— Zostawiłaś mnie tam na pewną śmierć.

— Oszalałeś. Odbija ci.

Wyrwała mi się, mówiąc, że widziała czerwony sportowy wóz, który opuszczał posiadłość.

— Uciekajmy! — zawołała.

Oszołomiony, wsiałem do samochodu. Cały dom kipiał i bulgotał. Owionęła nas fala gorąca. Potem kolejna, tym razem ze środka. Znów poczułem nagły pulsujący ból głowy. Erin wyrwała mi kluczyki, włożyła do stacyjki. Przytrzymałem jej rękę, żeby nie zapaliła. Obejrzałem się na posesję, dom płonął żywym ogniem.

— Co się stało z Annie? — zapytałem.

— O czym ty, do diabła, mówisz?

— Co to jest Vestige?

Przekręciła kluczyk w stacyjce.

— Jedziemy na policję — powiedziałem.



Pędziłem z góry, rozglądając się za sportowym samochodem widmo i czekając na zasięg w telefonie komórkowym. Na próżno. Tuż przed centrum miasta w Felton było skrzyżowanie z czterema znakami stop. Drogowskaz wskazywał, że jest piętnaście kilometrów do Santa Cruz. Nie sposób cofnąć się w czasie, ale można przynajmniej odwiedzić przeszłość. Czas na ścieżkę wspomnień.

— Lubisz ogień — powiedziałem chłodno. — Lubisz patrzeć, jak się coś pali?

Szczurze laboratorium, kawiarnia, studio pornograficzne, dom Simona Andersona.

— O czym ty mówisz? — spytała Erin.

— Zacznijmy od podstaw.

— Od podstaw?

— Chcę poznać prawdziwy powód twojej niechęci do Simona Andersona — powiedziałem.

Od dawna nie dawał mi spokoju chłód, z jakim o nim mówiła. Poza tym na jego pogrzebie nie wysiadła nawet z samochodu.

A kiedy spłonął jego dom, patrzyła na zgliszcza bądź co bądź bliskiej osoby. Nie pasowało to do niej, nawet jeśli, zgodnie z tym, co mi powiedziała, Simon Anderson był graczem.

— Naprawdę nie wiem, o czym mówisz.

— Skończ już te bajeczki.

Skreśliłem w stronę Santa Cruz. Milczenie.

— Skąd wiedziałeś? — zapytała w końcu.

34.

Erin podkułła kolana pod brodę. Wyglądała przez okno, patrząc niewidzącym, przegrany wzrokiem.

Nie wiedziałem, że mnie okłamała, ale tak podejrzewałem, jeszcze zanim Danny mnie ostrzegł.

— Nie zadurzyłaś się w nim po uszy tylko dlatego, że flirtował z kelnerkami — powiedziałem.

Odwróciła się do mnie.

— Zdradziło go błoto z Napy.

Napa. Epicentrum winnic północnej Kalifornii, trzy godziny drogi na północ od miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Może Erin lubiła zaczynać spowiedź od środka.

— W hotelu Four Seasons serwują kąpiele błotne w temperaturze ponad trzydziestu stopni, żeby sole mineralne wtopiły się człowiekowi w skórę. Simon nazywał je błotną szatą — wyjaśniła. — Mówiłam ci, że miał zdolności słowotwórcze.

I był wierutnym kłamcą. Nie powiedział mi, że od trzech miesięcy jest żonaty.



Erin powiedziała, że poznali się niemal zaraz po jej rozpoczęciu pracy w kawiarni. Przychodził niemal codziennie, zamawiał

kawę latte z karmelem, pisał na laptopie, sprawdzał notowania giełdowe w jednym z trzech kawiarnianych komputerów podłączonych do sieci. Ze wszystkimi był za pan brat. Zjednywał sobie ludzi wdziękiem i bogactwem, wystarczającym, jak powiedział, żeby zapewnić mu egzystencję. Miał poczucie humoru i pewność siebie, a Erin z nikim innym się nie spotykała.

Utrzymywali swój romans w tajemnicy. Nigdy nie zaprosił jej do domu. Na weekendy wyjeżdżali z San Francisco, do Napy, gdzie pili i brali kąpiele błotne. Okazało się, że w te weekendy jego żona wozila ich autystycznego syna do specjalnej kliniki na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. W końcu go przyłapała, a przynajmniej tak twierdził, i zerwał z Erin. Z czasem zorientowała się, że jest nałogowcem.

— Był zepsuty do szpiku kości — podsumowała.



Niedługo potem zjawił się Andy. Czuli do siebie silny pociąg, silniejszy, niż Erin czuła do kogokolwiek.

— Dopiero dzięki niemu zrozumiałam, że mogę sobie żyć, tak jak żyję. Kiedy wyprowadziłam się z Michigan, wiedziałam, że muszę kogoś takiego spotkać.

Wdali się w romans, który jednak nie przetrwał, przerodził się natomiast w znacznie głębszy, platoniczny związek.

— Pół roku temu Andy zaczął się ode mnie oddalać — wyznała Erin.

Zbiegło się to w czasie z umocnieniem przyjaźni Simona z Andym. Obaj lubili rozmawiać o książkach i pisaniu. Andy czasem pilnował dzieci Simona. Marzył o założeniu rodziny.

— Erin, daj spokój. Co to ma wspólnego z tobą? — zapytałam, kiedy zapadła cisza. — Chodzi o to, że byłaś zazdrosna?

— Nie.

- Przyjaźniliście się, wasze stosunki się pogorszyły, a potem zginął. Za łatwo byłoby obwiniać Simona.
- Zaczynasz kojarzyć.
- To mnie oświeć.
- Nie zrozumiesz — powiedziała cicho. — Simon poważał się na straszliwe okrucieństwo.
- Zabił Andy'ego?
- Nie jestem pewna.
- Dlaczego w ogóle rozważasz taką możliwość?
- Bo był uwodzicielem i manipulatorem. Przeniknął do głowy Andy'ego. Andy wpadł w depresję. Miał mętlik w głowie. I został z tym sam.
- To wystarczyło, żeby odebrać sobie życie.
- Muszę zobaczyć ten dziennik — oznajmiła.



Zadzwoił telefon. Danny. Recepcja była obskurna.

— Włącz... wiadomości. W radiu.

Słyszałem co trzecie słowo. Obiecałem, że oddzwonię. Poprosiłem Erin, żeby złapała wiadomości w radiu.

Dostrzegłem polną drogę prowadzącą do zatoczki za falochronem w Santa Cruz, w której obserwowałem, jak flotylla łodzi i załoga amfibii usiłują znaleźć ciało Annie. Przy wjeździe wisiała tabliczka „Tylko dla pojazdów ratunkowych”. Wjechałem.

Może chciałem udawać, że ostatnie cztery lata się nie zdarzyły. Może chciałem wrócić do czasów sprzed Annie. Przynajmniej zanim dopadł mnie oślepiający ból głowy. Może zadziałała gęsta nadmorska bryza, ale poczułem się, jak gdyby mózg rozsadał mi czaszkę. Futbolisci wykonujący *Jeziro łabędzie* na moim kręgosłupie zaczęli tańczyć jak na sterydach. Oko mi drgało, czułem mrowienie w nogach.

Erin znalazła nową stację.

— Istotny przełom w śledztwie dotyczącym wybuchu w kawiarni w San Francisco.

Zahamowałem, złapałem Erin za rękę, żeby powstrzymać ją od zmiany stacji. Znaleźliśmy się na polance, z której droga wychodziła na plażę. Przede mną ciągnęło się wspaniałe morze.

— Komenda Główna Policji San Francisco poinformowała nas, że poszukuje dwóch osób w związku z wybuchem, w którym zginęło co najmniej pięć ofiar. Podobno policja chce przesłuchać mieszkańca San Francisco i pracowniczkę kawiarni, ocalałych z eksplozji. Policja nie podaje, czy są to oficjalni podejrzani i jakimi mogli się kierować pobudkami. Szczegóły tej niesłychanej sprawy podamy, kiedy tylko nastąpi przełom w śledztwie.

Dwoje ewentualnych podejrzanych siedziało w moim samochodzie — pracowniczka i mieszkaniec San Francisco. Informacja nie pozostawiała wątpliwości.

A przecież doskonale wiedziałem, że nie wysadziłem kawiarni w powietrze.

Czyżby zatem policja wpadła na właściwy trop?



Poczułem rozdzierający ból. Migrena, pomyślałem. Jakby mi ktoś rozłupywał czaszkę, a silny wiatr wdzierał się przez szparę. W porę otworzyłem drzwi. Zwymiotowałem.

Kiedy podniosłem głowę, spojrzałem na Erin. Miała kamienną twarz.

— To ty?

— Co ja? — zapytała. — No co?

Raziło mnie światło. Zmrużyłem oczy.

— A Michigan? Pożar w Michigan? Cholera, Erin, dlaczego nic nie mówisz?

W odpowiedzi otworzyła drzwi. Wysiadła i ruszyła przed siebie.

— Erin!

Ale nie mogłem pójść za nią. Cokolwiek mnie dopadło, wzięło górę. Wychyliłem się za drzwi. Znow rzygnąłem. Targały mną nudności — żółć i zapach zgnilizny.

Po chwili, nie dłuższej niż kilka minut, usłyszałem hałas. Otworzyłem oczy. Coś błysnęło w lusterku wstecznym. Światła samochodu. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, kto nadjechał. Tuż za mną zaparkował radiowóz, blokując mi odwrót.

35.

Kiedy policjant wysiadł z wozu i szedł w moją stronę, otarłem brodę i rozważyłem możliwości. Zgodnie z tym, co usłyszałem przez radio, poszukiwano mnie w związku z wybuchem kawiarni w San Francisco. Jeżeli ten funkcjonariusz o tym wie, przypuszczalnie mnie aresztuje. Koszmarna perspektywa na taki bezchmurny dzień lub na następne czterdzieści lat.

Pozostało mi tylko kłamać albo brać nogi za pas. Żadna z tych możliwości mi się nie uśmiechała.

— Nic się panu nie stało?

Mówi do mnie per pan.

— Tu jest zakaz wjazdu na plażę — rzekł, podchodząc do bocznych drzwi od strony kierowcy. — Powinienem wypisać panu mandat w wysokości osiemdziesięciu pięciu dolarów. Ale widzę, że należy się panu przerwa.

Spojrzałem na jego wąsiska i uszy. Miał najwyżej metr sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, a na twarzy zarost dwa razy większego mężczyzny. Sumiaste wąsy i okrągłe uszy wystające spod czapki. Ciekawe, czy nie cierpi na akromegalię, przypadłość, która z czasem powoduje przerost kości i zaostrenie rysów twarzy.

— Wiem, że ta droga kusi — powiedział. — Ale niech mi pan wierzy, że podczas przyływu tu się rozpętuje istne piekło.

Powiedziałem, że zaraz się zmywam. On jednak wdał się w rozmowę na temat pięknej pogody i wspaniałych widoków. W San Francisco łatwo się przyzwyczaić, że wszyscy się spieszą, ale najwyraźniej sierżant Uszatek chciał sobie zrobić przerwę na rozważania przy zimnej lemoniadzie.

Zwalczyłem nudności i postanowiłem sprawdzić jego dobroduszość. Powiedziałem, że przed czterema laty straciłem koleżankę na łodzi i teraz chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o tamtym wypadku. Czy zdołam dotrzeć do policyjnych sprawozdań albo innych urzędowych dokumentów?

Poradził mi, że mogę złożyć podanie zgodnie z prawem swobodnego dostępu do informacji, ale muszę wtedy czekać dwa miesiące, albo porozmawiać z oficerem prowadzącym śledztwo. Podpowiedział, że mógłbym zapytać recepcjonistkę w Komendzie Głównej Policji w Santa Cruz. I że mogę się powołać na niego.



Po pierwsze, zrobiłem sobie kolejny przystanek na poboczu. Włączyłem laptop Andy'ego i otworzyłem dziennik. Przejrzałem strony pozornie niewinnych wpisów sporządzonych skrótami. Krótkie notatki przedzierał okres dwóch lat, jak gdyby ważył dzień i godzina, a nie data i rok.

CZWARTEK, 10.10. WIDZIAŁEM FILMIK Z E. (ROZRYWKOWY). PYTAM, CZY FILM ARTYSTYCZNY MUSI SIĘ Z DEFINICJI WIĄZAĆ Z MORALNĄ DWUZNACZNOŚCIĄ... KOLEJNY KONFLIKT ZRÓŻNICOWANIA BEZ WYRAŻNEJ RÓŻNICY. TYLKO DLATEGO ON KIERUJE TYM WYDZIAŁEM, ŻE NIKT INNY NIE CHCE. STANOWISKO WCALE NIE OZNACZA MĄDROŚCI.

NIEDZIELA, PÓLNOC ALBO COŚ KOŁO TEGO, PRZEZIĘBI-
LEM SIĘ. NIENAWIDZĘ BRAĆ LEKÓW. ALE NIE MOGĘ SOBIE
POZWOLIĆ NA CHOROWANIE. MAM BADANIA W SUNSHINE,
ZDRZEMNAŁEM SIĘ GODZINKĘ W AUCIE, KRĘGLE Z S. (2
RUNDA = 210).

Przeglądałem pobieżnie, aż dotarłem do końca. Moją uwagę
przykuły notatki z okrzykiem zachwytu zapisanym wielkimi
literami. Najpierw:

OBIAD Z MAGIKIEM PRZY BRYDŻU, ZAPARKOWAŁEM NA
CYPLU. SUPER

I tydzień później:

PIĄTEK WIECZÓR, SAN ANSELMO, DZIAŁKA NA KOSZT MA-
GIKA. ZJEDLIŚMY HOMARA I SUFLET CZEKOLADOWY, OD
SŁOWA DO CZYNU. OSZALAŁEŚ, PYTAM? KATEGORYCZNIE
ODMÓWIŁEM, OBUDZIŁEM SIĘ O 8, ALE WSTAŁEM DOPIERO O
2.

Kolejny wpis:

KUPIŁEM NOWĄ PŁYTĘ J, MAYERA W AMOEBĄ. SKOPIO-
WAŁEM MAGIKOWI, UCIESZYŁ SIĘ, CHOĆ TEŻ MNIE SKARCIL
(SPOKO!) POĆWICZYŁEM NA DARMOWĄ WEJŚCIÓWKĘ W SI-
LOWNI DLA OCHRONIARZY. UMÓWIŁEM SIĘ Z E NA KOLACJĘ
ALE SIĘ POTEM WYŁGAŁEM, TERMINY, TERMINY

Przejrzałem dokument od końca do początku. Znalazłem
pierwszy wpis ze wzmianką o magiku.

ŚRODA: 6 — ZAKUPY KSIĄŻKOWE W AM. PO POŁUDNIU W
SUNSHINE, POZNAŁEM AUTORA KSIĄŻEK Z DZIEDZINY

FANTASTYKI DLA DZIECI, ZREDAGOWAŁ MI STRESZCZENIE;
TWIERDZI, ŻE NADUŻYWAM PRZYMIOTNIKÓW. PRZYDA MI SIĘ
TAKI ZNAWCA GRAMATYKI, (PRYZYSTOJNIAK)

Zastanowiłem się. „e” mogło oznaczać Erin, a kim był Magik? Czy to Simon Anderson? Był pisarzem. Czyżby coś się wydarzyło między Andym a Magikiem? Czy to oczywiste?

Komputer zapiszczał. Rozładowywała się bateria.

Zajrzałem na koniec dziennika. Wpisy zdawały się potwierdzać informacje od Erin. Pod koniec znów wpisy wersalikami.

MAGIK TEŻ CHORY. BÓLE GŁOWY. WKURZA SIĘ. A MOŻE
TO JEGO NOWA MIŁOŚĆ? KIM JEST TARA? NIEWAŻNE, NIE-
WAŻNE. NIEWAŻNE.

Komputer ponownie zapiszczał. Spojrzałem na zegar. Zdążyłbym jeszcze dojechać na komendę w Santa Cruz. Muszę odłożyć zgłębianie życia osobistego Andy'ego na później.

Kręciło mi się w głowie. Nie mogłem opanować dreszczy i mdłości. Nie wiedziałem, co może być tego powodem, chyba tylko zmęczenie. Mówi się, że adwokat reprezentujący siebie samego w sądzie jest głupcem. Funkcjonuje również inne porzekadło — lekarzu, lecz się sam. Dlaczego lekarze mieliby wykazywać więcej profesjonalizmu w samoobsłudze od adwokatów?



Najwyraźniej recepcjonistce w Komendzie Głównej Policji Santa Cruz musiało dokuczać nie lada pragnienie, bo na jej biurku stało pięć pustych puszek po dietetycznej coli. Może z powodu takiej ilości kofeiny kobieta zajęła się mną tak troskliwie. Albo się zlitowała, bo sprawiałem wrażenie człowieka

zdruzgotanego. Może pomogło mi, że chwilę po moim wejściu minął mnie sierżant Uszatek i się przywitał.

— Zajmij się dobrze tym gościem — z uśmiechem rzucił recepcjonistce.

Wysłuchała mojego zeznania, ale powiedziała, że jeśli nie znam numeru sprawy, to chyba nie odnajdzie mi nazwiska oficera śledczego zajmującego się śmiercią Annie. Znałem jednak dokładną datę. Klikala i przetrząsała bazę danych. Przeprosiła, że poszukiwania zabiorą jej więcej czasu. Po pięciu minutach szperania obiecała, że zadzwoni, kiedy tylko coś znajdzie. Zostawiłem jej numer swojej komórki.



Ruszyłem z powrotem do San Francisco. Z drogi zadzwoniłem do Danny'ego. Poinformował mnie wyraźnie oficjalnym tonem, że policja pragnie mnie przesłuchać. Zapytał, czy chcę się z nim spotkać, żeby zawiózł mnie na komisariat. Obiecałem przemyśleć sprawę. Wtedy zasunął mi bombę. Powiedział, że policja już wie, że się spotykałem z Erin i wietrzy tu jakiś podstęp.

— Znaleźli u niej materiały wybuchowe — powiedział Danny.

— Ktoś próbował wysadzić jej mieszkanie w powietrze?

— Ktoś w jej mieszkaniu produkował materiały wybuchowe.



Po chwili, kiedy byłem już kilka kilometrów za miastem, zadzwonił telefon.

— Gdzie jesteś? — spytała Erin. — Chyba mnie nie zostawisz, co?

- Musisz się zgłosić na policję.
 - Nathanielu, przysięgam, że nie wysadziłam tamtej kawiarni. Błagam cię, uwierz mi.
 - Znaleźli u ciebie materiały wybuchowe.
 - Nie.
- Zaniosła się płaczem.
- Dla kogo ty pracujesz? I z kim?
 - Błagam, przyjedź po mnie — poprosiła, szlochając. — Wszystko ci wyjaśnię.

36.

Zadzwoiłem do Samantha i zapytałem, czy za półtorej godziny spotka się ze mną razem z Bycznym Okiem w salonie akupunktury w Daly City. Wy tłumaczyłem, że potrzebuję ich pomocy.

Podjechałem na dworzec autobusowy w Santa Cruz, gdzie Erin obiecała, że będzie na mnie czekać. Rzeczywiście stała przed budynkiem, z miną, jakby nie miała nic do stracenia. Poprosiłem, żeby zdjęła kurtkę. Zachowywałem się jak ochroniarz na lotnisku. Zaprowadziłem ją do swojego samochodu.

— Słucham, mów.

— Czego ty ode mnie chcesz?

— Czy Annie żyje?

— Przysięgam, nie mam pojęcia. Nigdy jej nie poznałam. Nie widziałam jej na oczy. Nathanielu, chyba coś ci się roi w głowie.

— Studio Igraszek.

Przez chwilę milczała.

— Skąd o nim wiesz? — zapytała nieoczekiwanie ostrym tonem.

Sięgnąłem do portfela, wyjąłem znaleziony przez Danny'ego raport o podpaleniu.

Znów się rozpląkała, ale w końcu zaczęła mówić.

— Trzeci rok mojego małżeństwa okazał się naprawdę brutalny — rozpoczęła opowieść.

Nie tyle chodziło o bicie, bo mąż nieczęsto ją bił, ile o przyszołość. Nie chciała spędzić życia w czyścúcu. On chciał mieć dzieci, a ona potajemnie brała pigułkę.

— Żeby na nim skończył się jego ród — powiedziała.

Przestała rozmawiać z matką i z przyjaciółmi, którzy mogliby jej robić wymówki. Poświęciła się bez reszty kościołowi, gdzie zaprzyjaźniła się z dwiema kobietami. Jedna była matką pięciorga dzieci, na pozór uroczych, lecz w rzeczywistości zachowywały się jak diabły wcielone. Ta kobieta o wszystko winiła siły niszczące rodzinę.

— Sama nie wiem, dlaczego jej uwierzyłam. We wszystkich sprawach, i antykoncepcji, i kłopotów małżeńskich. Szukałam rozgrzeszenia, a może chciałam zostać przyłapana — wyjaśniła.

Kobieta zaprosiła Erin na wspólną krucjatę. Miały się zakraść w nocy do niewielkiego centrum biurowego na przedmieściach. W głębi znajdowała się siedziba Studia Igraszek. Kobieta najpierw poprosiła Erin, żeby jej towarzyszyła, a następnie zaszantażowała, że jeśli z nianie wejdzie, opowie mężowi o jej antykoncepcji.

— Czyli zmusiła cię?

— Niestety, nie mogę tego powiedzieć. Złapałam kanister z benzyną i oblałam wszystko. Oszalałam. Wmówiłam sobie, że mężczyźni wynajmujący kobiety do kręcenia filmów pornograficznych są tacy sami jak mój mąż.

Kiedy złapano tamtą kobietę, twierdziła, że jest niewinna i przedstawiła dowody.

- Jeszcze bardziej znenawidziłam siebie — dodała cicho.
- Zostałam pionkiem w rękach innych. Straciłam tożsamość.

Intuicja podpowiadała mi, że mówi prawdą. Co absolutnie jej nie usprawiedliwiało, wręcz dowodziło, że jest zdolna do aktów okrucieństwa. Może wtedy w kawiarni również odezwał się w niej zły duch.

- Opowiedz mi o Simonie i Andym.



- Pomożesz mi się z tego wykaraskać?
- Sama sobie pościeliłaś, Erin.
- Niczego nie zrobiłam. Policja mnie szuka. Aravelo wydzwaniania od rana. Ale przysięgam, że jestem niewinna.

Czyli Aravelo próbuje dobrać się do Erin. Ciekawe dlaczego.

- Czy Simon i Andy mieli romans?

Erin pokiwała głową. Jej potwierdzenie już teraz nie zrobiło na mnie większego wrażenia.

Najpierw Andy opiekował się dziećmi Andersonów. Erin sądziła, że tych dwóch mężczyzn łączy pisarstwo. Nie dopuszczała do głowy myśli, że Andy'ego ciągnie do Simona, bo uważała Simona za palanta, a z Andym łączyła ją przyjaźń. Powoli zaczęło jej świtać, że Andy może być gejem. Co by tłumaczyło, dlaczego jej związek fizyczny z nim trwał tak krótko. W końcu Andy jej się zwierzył. Okazało się, że Simon wcale nie był pierwszym mężczyzną w jego życiu. Wydał mu się względnie bezpiecznym partnerem. Miał żonę i interesował go jedynie podbój. Ale po całkowitym odrzuceniu przez Simona poczuł się urażony. Erin również poczuła się zdradzona.

— I wtedy zaczął się złościć, okazywać zmęczenie, irytację
— dodała Erin.

— Czy Simon też miewał bóle głowy? Albo dziwnie się zachowywał?

Wzruszyła ramionami.

— Może i tak. Niewykluczone. Andy twierdził, że coś gryzie Simona. Zresztą, nie wiem.

— Czy w kawiarni pracowała osoba imieniem Tara?

— Nie. O kim ty mówisz?

— Muszę się dowiedzieć.

— Sypiał na prawo i lewo. Ale o Tarze nie słyszałam.

Jej zaklinanie się, że nie słyszała o kobiecie wspomnianej przez Andy'ego w dzienniku, brzmiało szczerze.

— Nie mówisz mi wszystkiego.

— Czego ty ode mnie chcesz? — spytała Erin. — Andy był moim przyjacielem. A potem wszystko runęło. Stał się obcy.

— A ty obwiniałaś o to Simona.

— Bo jak inaczej to wyjaśnić? Dlaczego przyjaciel nagle obraca się przeciwko tobie? Był pierwszym i jedynym człowiekiem, który naprawdę rozumiał, o co mi chodzi w życiu. Tolerował moje słabości. Nie przypierał mnie do muru. Nie korzystał z okazji. A potem zachorował, wpadł w panikę i... zginął.

— Dlatego sięgnęłaś do przemocy.

— Nie.

— To ty podpalałaś, prawda?

— Nie.

— Erin, przyznaj się.

— Przestań! — zawołała. — Zachowujesz się zupełnie jak Andy.



Już byłem na granicy wytrzymałości, kiedy zadzwoniła moja komórka. Telefonowała recepcjonistka z Komendy Policji w Santa Cruz. Trafiła na nazwisko oficera śledczego zajmującego się sprawą śmierci Annie. Usłyszawszy jego nazwisko, zrozumiałem, że nikomu już nie mogę ufać.

37.

Po raz pierwszy omal nie umarłem na delirium w wieku siedmiu lat. Spałem w pościeli w czerwone wozy strażackie przesiąkniętej moim potem. Dostałem wysokiej gorączki, prawie czterdzieści stopni. Osłabiony chorobą i delirium nie miałem nawet siły płakać. Na szczęście zajrzała mama. Wezwała lekarza, który polecił mnie zapakować do wanny z lodem. Pamiętam, że patrzyłem z tej wanny na mamę i myślałem — jak ona mnie kocha.

Objawy doskwierające mi w Santa Cruz nie mijały, dlatego kazałem Erin usiąść za kierownicą i zapisałem jej wskazówki, jak dojechać do studia w Daly City. Położyłem się na tylnym siedzeniu i podłożyłem sobie pod głowę spodenki gimnastyczne. Byłem jednym wielkim kłębkim nerwów. Czulem każdy wybój na drodze, każdy okruch żwiru pod skórą. Przejżdżające samochody migają jak gorączkowe majaki.

Annie siedziała na przystani i machała nogami. Trzymała za ogon mysz. Pod wodą zarysowała się ciemna sylwetka. Ktoś wyskoczył z chlupnięciem z wody. Miał mysz w zębach. To byłem ja.

— Nie! — krzyknąłem.

Poczułem rękę na twarzy.

— To wątroba — usłyszałem czyjś głos.

Otworzyłem oczy. Samantha dotykała mojego policzka. Drugą ręką obmacywała mnie całego. Jak lekarz, który obmacuje brzuch dziecka, żeby sprawdzić, czy nie ma zapalenia wyrostka.

— Zapraszam cię, mój drogi. Zaraz wszystkiemu zaradzimy.

Usiłowałem się sprzeciwić. Musieliśmy jechać. Nie miałem czasu na akupunkturę czy co tam chciała mi zaaplikować moja Czarownica. W delirium doszła do głosu podświadomość. Wszystko zaczęło się układać w nieprawdopodobny sposób. Podszedłem na miękkich nogach do bagażnika, wyjąłem komputer.

— Nic mi nie jest — zapewniłem.

Podeszła do mnie Erin. Samantha również. Zmierzyłem obie kumpelki wzrokiem. Samantha, ucieleśnienie müsli i tofu. Bycze Oko, kątomierz w ludzkiej skórze, wyszczerbiony na brzegach. Erin, niesłychana równowaga między godnością a wrażliwością. A może się myliłem?

Potknąłem się. Erin podbiegła. Wyciągnęła rękę. Złapałem. Co się ze mną działo?

— Przepraszam, że w ciebie zwątpiłem — powiedziałem.

Uścisnęła mi rękę.

Poczułem wstrząs bólu w głowie. Zemdląłem.

38.

Alchemia Samantha klóciła się ze wszystkimi konwenansami, w jakich mnie wychowano. Przeczyła mojemu medycznemu wykształceniu. To prawda, że studentów medycyny uczy się szacunku dla nieoczekiwanych zjawisk. Dla zjawisk nadprzyrodzonych. Dla cudów. Dlatego do najczęściej używanych przez lekarzy zwrotów należy:

Nie można niczego wykluczyć.

Panie doktorze, czy po zabiegu mogą wyniknąć jakieś komplikacje?

Szczerze mówiąc, nie sędzę, ale nie można niczego wykluczyć.

Panie doktorze, czy domorosły guru duchowy, zalatujący ziołowym dezodorantem, może, wkłuwając igły w plecy, cofnąć mnie z krawędzi załamania?

Szczerze mówiąc, nie sędzę, ale nie można niczego wykluczyć.

Leżałem w studiu Samantha na stole do akupunktury.

Ściany były kasztanowe. Z lampy osłoniętej japońskim abażurem sączyło się przyćmione światło. Na stoliku przy drzwiach stały kadzidełka i odtwarzacz CD.

Wcisnęła guzik odtwarzacza. W pokoju rozbłysły eteryczne tony fletów i dalekiego wiatru. Mgliście przypomniałem sobie, że Bycze Oko przyniósł mnie na ten stół.

Dźwignąłem się na rękach.

— Sam, nie mam czasu — powiedziałem. — Muszę już iść.

Intuicja podpowiadała mi, że muszę się ruszyć, zacząć działać. Ale umysł miałem zbyt zmacony, żeby przypomnieć albo uzmysłwić sobie dlaczego. Musiało się to jakoś wiązać z laptopem i z kawiarnią, a Erin i mnie poszukiwano za zabójstwa dokonane przez kogo innego. Pieprzona policja i dręczące poczucie, że w obliczu tak ogromnej przemocy Annie naprawdę nie żyje, tyle że nie z powodu wypadku, ale nieznanego mi spisku, który teraz objął i mnie. Za bardzo jednak byłem obolały, żebym próbował poskładać to wszystko razem.

Położyła mi rękę na karku i trzymała ją tam przeszło minutę. Rozluźniłem ramiona, moje mocne postanowienie rozeszło się po kościach.

— Odpręż się — poleciła.

Owionął mnie chłód, bo leżałem rozebrany do pasa pod szeszczącą białą kołdrą. Muzyka zaczęła mi się wdzierać do świadomości. Wróciłem pamięcią do dziesiątek sesji, podczas których Samantha przesyłała mi swoją czarodziejską moc. Zawsze czułem tylko pierwsze ukłucia, które wzmacniały mój sceptycyzm. Powoli jednak przenosiłem uwagę na muzykę. Jej dźwięki unosiły mnie w dal. Płynąłem, wyobrażając je sobie jako przedmioty ożywione, głównie zwierzęta, na przykład kolorowe słonie, szympany i latające ryby.

Roześmiałem się. Co tam stres! Samantha stwierdziła, że to dowód, że mój stres minął. Pozbyłem się trucizny z trzewi, oczyścili mi się oczy, nos, gardło, przełyk, tchawica.

Czy Czarownica może mnie ocalić?

Nie można niczego wykluczyć.

Samantha wbiła mi pierwsze igły. Zbladłem. Przeszył mnie silniejszy ból niż kiedykolwiek... jakby przez naprężoną zewnętrzną powłokę przebiła się biała gorączka.

W oczach stanęły mi klatki. Zamknięte w środku szczury płonęły na całopalnym stosie. Samantha wbiła mi igłę w łokieć. Omal nie spadłem ze stołu.

Znów położyła mi rękę na karku. Palce miała szorstkie, a przy tym spiczaste. Znalazła odpowiednie miejsce. Powoli się uspokoiłem. Nie odrywała ręki. Wbiła mi igłę w zagłębienie pod kolanem.

Muzyka ciurkała jak syrop. Usta same podniosły mi się w uśmiechu. Czarownica wzięła mnie w swoje władanie.

— Teraz możesz przejść inicjatywę.

Ledwo docierały do mnie jej słowa. Wbiła we mnie mnóstwo igieł, które przewodziły wibracje i gorąco. Podłączyła je cienkimi drucikami do układu elektrycznego. Jedne się rozgrzały, inne zaczęły wibrować. Oblęd... ale nie kwestionowałem poczynań Czarownicy.

Usłyszałem, że wychodzi z pokoju.

Po jej wyjściu wkroczyłem do tunelu wypełnionego wznoszącymi się akordami. Widziałem płynące dźwięki i dziwne, ożywione stworzenia na horyzoncie. Czas mijał. Sekundy, minuty, tysiąclecie.

W końcu drzwi się otworzyły. Chyba jestem całkiem ugotowany, pomyślałem. Uśmiechnąłem się słabo, ale nawet nie otworzyłem oczu. Samantha powie mi, kiedy będę musiał wrócić do życia. Poczulem rękę na karku. Uścisk. Silniejszy niż zwykle.

— Gdzie jest laptop? — spytał mężczyzna.

Samantha?

Uniosłem głowę. Najpierw powoli, w zamroczeniu. Po chwili

poderwałem się. Niezbyt jednak skutecznie, bo ręka na mojej szyi przyszpiliła mnie do stołu.

Poczułem rozdzierający ból.

Przytrzymujący mnie mężczyzna wbił mi igłę akupunkturową w krzyż nad siedzeniem.

— Nie mamy czasu — powiedział niemal uprzejmie. — Gdzie jest laptop?

Laptop Andy'ego, pomyślałem. Chyba przekazałem go Byczemu Oku?

Wbił igłę głębiej. Krzyknąłem.

39.

Nagle zbawienna ulga. Mężczyzna manewrujący igłą wyciągnął mi ją z pleców. Litości! Niewyobrażalny ból.

Ktoś przyszpilał mi kark, ktoś drugi przytrzymał nogi.

— Gdzie jest laptop Andy'ego? — spytał mężczyzna, który trzymał mnie za kark.

Wziął igłę i wbił mi ją ponownie w podstawę szyi. Czulem, jak przebija mi skórę. Wyobraziłem sobie dzielące się komórki. Ale nie wbił głęboko, tylko tyle, żebym poczuł rozpaczliwy opór mięśni.

— Co się stało z Annie? — wyszeptałem.

W odpowiedzi wzmocnił nacisk, powoli, lecz nieustępliwie. Zobaczyłem biały błysk. Zrozumiałem, że to dopiero początek. Mógł trafić w ważne naczynie, a nawet w kręgosłup.

Spojrzałem w prawo. Widziałem granatową nogawkę spodni. Pociągnąłem, ale szarpnięcie wypadło za słabo. Mężczyzna przekręcił igłę, wstrzymałem atak, bo noga znalazła się poza moim zasięgiem.

— Powiemy ci wszystko, co chcesz wiedzieć, jeżeli ty nam powiesz, gdzie jest komputer — rzekł mężczyzna trzymający mnie za stopy.

Poznałem głos i w tej samej chwili rozpoznałem pewien szczegół u osoby przytrzymującej mi głowę. Na ręce pod łokciem miała czerwoną wysypkę, chropowatą skórę. Łuszczyca. Zgadzało się z informacjami przekazanymi mi przez recepcjonistkę na komendzie policji w Santa Cruz.

Byli współnikami. Velarde to ten upiorny policjant, który prowadził sprawę utonięcia Annie. Wkłuwał mi się teraz w szyję, a Danny Weller ścisnął mi mocniej stopy.



Terapia Samantha przyniosła, o dziwo, dobroczynny skutek. Po raz pierwszy od wielu dni rozjaśniło mi się w głowie.

— Niedobrze mi — powiedział nagle Velarde i puścił. Wyciągnął kajdanki i przykuł mi prawą rękę do stołu.

— Co ty wyprawiasz? — spytał Danny.

— Czaszka mi pęka od tych nowoczesnych kretynizmów.

Velarde wyłączył odtwarzacz CD i włączył radio. Nastawił na stację puszczającą lekkiego rocka. Moje tortury miały przebiegać przy akompaniamencie wysokich tonów Celine Dion.

— To za Timmy'ego Aravelo — powiedział porucznik Velarde. Policjant, którego pomogłem wtrącić do więzienia za pobicie. Zaczął mi kręcić igłą w prawym ramieniu, żeby wejść w nią głębiej i wkłuć się w mięsień.

— Daj spokój, Ed — poprosił Danny. — Aravelo i jego brat to jedna zaraza.

— Braterstwo broni — skomentował Velarde. — Poza tym nie zapominaj, kto ci płaci za opiekę medyczną.

Z radia popłynął głos Whitney Houston, śpiewała *The Greatest Love of All*, Velarde zaczął nucić pod nosem. Oparł mi igłą o kark. Czulem, że zaraz znów się wkłuje. Skuliłem się w oczekiwaniu, obleciał mnie strach. Samantha wbiła mi co

najmniej tuzin igieł w plecy. Mógł mi się wkuć w siedzenie, wewnętrzną stronę łokcia, delikatne miejsce pod kolanem. Zakreśliło mi się w głowie, jakbym miał zaraz zemdleć.

— Powiedz, o co cię proszę — powiedział. — Bo trafisz w odmęty Pacyfiku za swoją dziewczyną.

Nie mogłem zdobyć się na odpowiedź.

— Edward, dojdziemy swego. — Danny uspokoił współnika.

Zwolnił uścisk, ale nadal przytrzymywał mi stopy na tyle mocno, że nie mogłem wstać.

— Posłuchaj, Nathanielu — powiedział. — Chciałem cię nakłonić do współpracy. Ale ci panowie nie mają zbyt dużo cierpliwości.

Znów zgrywał dobrego glinę.

— Już nie ma czasu. A oni nieźle wkurzyli się na ciebie za to węszenie.

— Danny, powiedz mi, czego oni chcą? Czego chce Glenn Kindle? Daj umierającemu prezent na pożegnanie.

Otarł się o mnie.

— Jeżeli nam pomożesz i oddasz laptop tego pedała, rozejdziemy się, każdy w swoją stronę.

— Dobra — powiedziałem. — Chwileczkę. Niech odzipnę.

Znów rozluźnił uścisk. Czy miałem jakąś możliwość ucieczki?

— Oszukałeś mnie, Danny — powiedziałam. — Nie wznowiono śledztwa w sprawie Aravela.

Przykuł mi nogę do stołu.

— Rzeczywiście. Musiałem zadbać o szczyptę zaufania między nami.

— No dobra, zależało ci na informacji. Rozumiem. Odrobina dezinformacji to jedno — powiedziałem. — Ale to nie w twoim stylu.

Danny puścił moją prawą nogę. Szarpnąłem i oderwałem ją pięć centymetrów od stołu, kiedy metal werznął mi się w ciało.

— Nawet nie próbuj. Przykuj go — powiedział Danny.

— Co jej odbiło? — spytał Velarde, kiedy Whitney Houston zmieniła w końcówce tonację. — Jak mogła wyjść za takiego palanta jak Bobby Brown?

Spróbowałem jeszcze raz uderzyć do Danny'ego.

— Sierzancie, przecież masz serce. Tak wzruszająco mi opowiadałeś o swoim ojcu. I na kogo on cię wychował?

Dużo mi powiedział o swoim związku z niedomagającym ojcem. Chyba kat zadający tortury tak by się nie zachował?

— Zmieniłem zdanie — odparł. I dodał cicho: — Poczuję się lepiej, kiedy zdobędę mu pieniądze na nową wątrobę.

— Dość tego — powiedział Velarde. — Dam ci jeszcze jedną szansę. Uśpijmy cię, tak jak tę kelnerkę.

— Erin?

— Wyświadczyłem ci tylko przysługę — rzucił od niechcienia Velarde. — Bo znaleźli coś paskudnego w jej mieszkaniu.

— O czym ty mówisz? Ktoś jej podrzucił, tak?

— Nadal nic nie kumasz, koleś.

— O czym ty, do cholery, mówisz?

Znów zacząłem się szamotać, teraz już gorączkowo. Velarde wydał okrzyk zagrzewający do walki. Zrozumiałem, że nadal mąci mi w głowie na temat Erin, i wtedy ból rozlał się po moim ciele. Przyłożył kciuk do igły. Przypuściłem nieoczekiwane atak.

— Zaczekaj. Bardziej cię to bawi niż zabijanie szczurów w laboratorium?

— Stul pysk, Sherlocku.

— To ty spaliłeś laboratorium. Zniszczyłeś dowody tego kretyńskiego eksperymentu neurologicznego — zablokowałem.
— Zabiliś biedne stworzenia i podпалиś budę. Jesteś szurniętym debilem.

Jeżeli w głębi duszy jeszcze wątpiłem, w jak poważnych jestem tarapatach, Velarde szybko rozwiął moje wątpliwości.

— Ciekawa teoria — powiedział.

Poczułem, jak igła wchodzi mi w ciało.

— Masz rację co do jednego. Jestem szurniętym debilem. A teraz mów, gdzie jest laptop?

Złapałem nogi stołowe, szykując się na ból. Odpląnąłem myślami w kierunku bohaterskiego algorytmu. Zrobiłem rachuby. Czy mogę jakoś ocalić skórę, czy powinienem raczej pójść na dno w imię fałszywej brawury?

Mogłem im powiedzieć, że oddałem laptop Byczemu Oku. Tyle że wtedy go złapią i przetrzepią mu głowę, dopóki im nie zdradzi, gdzie się znajduje komputer. A kiedy już wycisną z niego i ze mnie wszystkie informacje, na których im zależy, to nas, w nagrodę, załatwią.

Mogłem odstawić na przemian albo twardziela, albo głuchoniemego. Mogłem oszczędzić Bycze Oko i zapewne Samanthę. Poza tym ile człowiek ma okazji, żeby zostać bohaterem?

Płynący z radia zmysłowy głos Norah Jones wypełnił pokój. Wtedy do gry włączył się Danny. Poczułem, że ciśnie delikatnie igłę tkwiącą w mięśniu mojej łydki.

— Danny, pół tuzina osób wie, że rozmawialiśmy — powiedziałem. — Będziesz pierwszą osobą, u której będą mnie szukać.

Velarde zacisnął mi rękę na szyi. Z trudem chwytałem powietrze.

— Gadaj zdrow — powiedział Danny znużonym, zrezygnowanym głosem.

- Błagam.
 - Masz ostatnią szansę, Vance. Beznadziejna sytuacja.
 - Nie mogę — powiedziałem. Na więcej odwagi nie było mnie stać.
- Poczułem, że ucisk na szyi zelżał. Velarde nachylił się bliżej.
- Ostrzegąłem.



Złapałem boki stołu, szykując się na najgorsze. I nie zawiodłem się. Velarde znalazł najlepszy kąt nacisku igły wbitej w mój kark. Przyłożył się. Z całej siły. Nacisnął tak głęboko, jakby chciał się przebić do Chin. W dziwnym przeblýsku intelektualnej ciekawości zadałem sobie pytanie, czy trafił w kręgosłup. I surrealistyczna, niewypowiedziana na głos prośba — dlaczego nie mogliby mnie zabić przy akompaniamencie Springsteena?

Wtem poczułem dziko palący ból. Zanim Velarde wyciągnął igłę, straciłem przytomność. Natychmiast wszechogarniająca ulga.

— Chciałem tylko lepiej złapać — wyjaśnił Velarde. — Szykuj się teraz na piękną grubaskę.

Myśli poleciały swobodnie swoim torem. Naprawdę wyobraziłem sobie kobietę. Piękną, śniadą anielicę. Annie. Wyciągnąłem rękę, zajrzałem jej w oczy, żeby w nich znaleźć odpowiedź.



Kiedy poczułem, jak igła wbija mi się w ciało, otworzyłem usta i wydałem dziki okrzyk. Ale z ust nie wyrwał się żaden dźwięk. Nie było tam już nic.

W oddali usłyszałem siekący rytm niezemskiego *Peace Train*. I głos, który przebił się przez ten skowyt:

— Zaraz go wykończę.

I metaliczny trzask. Jeszcze seria jak z karabinu. Harmider. Zapadła ciemność.

40.

Śmierć przybiera postać blondynki z bronią. Ma znajomą twarz.

Oblana ciepłą poświatą, która otula ją niczym skórka chleb. Wygina się i faluje, kiedy ona wciera ci w rany maść. Kiedy kładzie ci na języku tabletkę. Kiedy wyrównuje ci bezwładne ciało.

— Pomoże ci zasnąć — mówi.

Może wszyscy mają tę samą wizję.

I wychodzi. Ale przedtem kładzie mi jakiś przedmiot na kolanach.

Telefon komórkowy. Nawet w chwili śmierci telefon.

41.

Przemysł farmaceutyczny już rozpracował sen. Ale za cholerę nie potrafią rozgryźć marzeń sennych.

Pigułki nasenne mogą znakomicie wyłączyć działanie mózgu, chociaż nie przesądza to, niestety, o dobrym wypoczynku. Delfiny podczas snu wyłączają połowę mózgu, ale druga pozostaje aktywna. Po trosze dlatego, że drapieżniki w oceanie czyhają okrągłą dobę, a po trosze dlatego, że delfiny chcą się bawić. Podobnie odświeża się ludzki mózg dzięki surrealistycznym igraszkom podczas najgłębszego nurkowania w sen.

Zapadłem się w wyzbytą snów, ponadczasową przestrzeń, mroczną jak śmierć. Ale człowiek nie budzi się ze śmierci, a jeśli nawet, chyba nie czuje tak wielkiego bólu, jak ja, kiedy ocknąłem się w pozycji płodowej na zakrwawionej posadzce studia Samantha.

Z trudem otworzyłem oko. Ciężki osad przypominający kaca zamulał mi mózg. Kiedy dźwignąłem się na boku, od ręki do pleców raptem przeszył mnie rozdzierający ból.

— Rany boskie — jęknąłem.

Opadłem na brzuch, przekręciłem głowę w prawo i powiedziałem:

— Wciąż pulsuje.

■ ■ ■

Nagle wróciły strzępy obrazów.

Strzały z pistoletu. Velarde pada. Sandał, noga w dżinsach. Zimna ręka odwraca mi twarz na bok. Orzechowe oczy, badawcze spojrzenie. Ciemność.

Czyżby blond anielica rozgromiła Velardego i Danny'ego? Zabiła ich? Oparłem łokcie na stole Samantha. Oddychałem głęboko, wciągałem w płuca słodkie, ciężkie powietrze walki. Napłynęły kolejne obrazy powiązane synaptyczną linią. Kobieta oczyściła i odkaziła mi rany, zdjęła kajdanki, podała pastylki. Powiedziałem jej, że już kiedyś ją widziałem. W odpowiedzi podała mi moją komórkę.

— Zadzwonimy do pana — obiecała. — Proszę wypoczywać.

My. W czym imieniu mówiła? I kim była?

Spojrzałem na podłogę, gdzie leżała komórka. Otwarta, całkiem niewinna motorola. Czego się spodziewałem? Supertajnego szpiegowskiego telefonu komórkowego?

— Cholera — powiedziałem w kierunku telefonu. — Muszę się schylić, żeby cię podnieść.

■ ■ ■

Sięgnąłem lewą ręką przez prawe ramię, żeby ocenić obrażenia zadane mi przez Wellera i Velardego. Napięcie mięśni spowodowało lawinę bólu, ale nie zemdlałem.

Poczułem takie miejsce u nasady karku, w którym Velarde poszedł na całość. Było przykryte kawałkiem gazy niewprawnie przyklejonej na plecach i szyi. Oszacowałem straty. Nie straciłem

krwi ani żaden z ważnych organów nie został uszkodzony. Ktoś mi odkaził rany. Poza tym Samantha z pewnością używała sterylizowanych igieł. Od ran nie zginę. Przypuszczalnie zemdlałem od zagrożenia śmiercią albo nawet wstrząsu, choćby z bólu.

Powoli się schyliłem, podniosłem komórkę, obejrzałem. Szukałem... przyznam, że nie wiem czego, niczego konkretnego, i to właśnie znalazłem.

Telefon był włączony. Zegar na monitorze wskazywał kwadrans po szóstej. Czy to możliwe, że leżałem nieprzytomny tylko dwie godziny? A może dwie godziny i całą dobę? Zamknąłem telefon, już chciałem go włożyć do kieszeni, kiedy zorientowałem się, że mam na sobie tylko bokserki. Gdzie moje spodnie?

W kącie na stole, razem z portfelem i telefonem. Tam, gdzie je zostawiłem, kiedy rozebrałem się do akupunktury.

Co się stało z Samantha? I z Erin? Czy Velarde nie powiedział, że ją załatwił? Albo potraktował jeszcze gorzej?

Ponieważ adrenalina głużyła ból, włożyłem spodnie i koszulę. Otworzyłem drzwi do małego gabinetu Samantha. Przed nim znajdowała się poczekalnia — niewielkie pomieszczenie, w którym klienci Samantha czytali na pomarańczowym fotelu magazyny poświęcone jodze i gdzie również ona siadywała, medytowała lub czekała, aż się przygotują.

Wyrząłem za drzwi przygotowany na najgorsze. Poczulem kolejny przypływ adrenaliny. W wielkim pomarańczowym fotelu siedziała Samantha z głową zwieszoną na bok, zamkniętymi oczami.

— Samantha!

Nie poruszyła się.

Podszedłem, chwyciłem ją za rękę w przegubie, wymacałem puls, serce biło mocno.

— Daj mi jeszcze pięć minut, Bycze Oko — wymamrotała cicho.

Zupełnie jak gdyby trwała w ciężkim narkotycznym śnie, w jakim przed chwilą ja również trwałem. Bardzo chciałem nią potrząsnąć, obudzić ją, zapytać, co widziała, chociaż nie sądziłem, że wyciągnę od niej coś istotnego. Uznałem, że lepiej jej nie budzić. Położyłem jej rękę na policzku.

I wtedy zauważyłem klucz. Wisiał na sznurku na szyi Samantha. Nie przypominałem sobie, żeby kiedykolwiek nosiła tak klucz. Wziąłem go do ręki. Z logo zorientowałem się, że to kluczyk do forda.

Ruszyłem w stronę drzwi wejściowych. Dzieliły mnie od nich trzy kroki, bo gabinet był naprawdę mały. Wyjrzałem na niebrukowany parking przed kompleksem biurowców. Tak samo jak wtedy, gdy tu przyjechałem, był prawie pusty. Prawie, bo stał tam ford explorer, najwyraźniej od tego klucza, który wisiał teraz na moim serdecznym palcu.

Ogarnęła mnie ciekawość, a po chwili gniew. Kto tu, do ciężkiej cholery, grał ze mną i po co?

— Co, do diabła?

Odpowiedź znów nadeszła z moich spodni. Zadzwoił tajemniczy telefon.

Otworzyłem klapkę, doznałem czegoś bardzo dziwnego. Déjà vu. Zupełnie jakbym był dokładnie w tej chwili tysiąc razy wcześniej. Usiłowałem się otrząsnąć, przyłożyłem telefon do ucha.

— Halo — powiedziałem niepewnie. — Mówi Nat.

— Żółwiku — powiedziała moja do niedawna zmarła prawdziwa ukochana. — Jak ja się za tobą stęskniłam.

42.

Przeżywałem takie spotkania z Annie już po okresie rozłąki. Często na ławce w parku Golden Gate. Siadałem tam z torbą pełną ziaren słonecznika. Jedno dla mnie. Jedno dla wiewiórek. Dwa dla mnie. Dwa dla wiewiórek.

Był to żywy obraz kontemplacji, żalu i uduchowienia. Wyrażałem tym samym poniekąd skruchę — gdyby więc Annie obserwowała mnie z zaświetów, dowiedziałyby się, że prowadzę żywot pełen zadumy, stosowny dla człowieka, który utracił prawdziwą miłość.

Tymczasem ona nie znajdowała się w zaświetach. Była pięćdziesiąt metrów ode mnie i szła w moją stronę. Z każdym centymetrem uśmiechała się coraz promienniej. Nawet kiedy spotkaliśmy się wzrokiem, nie podbiegła. W końcu wstałem. Też jednak czekałem, napawałem się chwilą. W końcu nie mogła się już powstrzymać i rzuciła się w moje ramiona.

- To niemożliwe — szepnąłem, tuląc jej głowę.
- Jestem, Żółwiku — powiedziała. — We własnej osobie

Wtuliłem głowę w jej włosy. Roześmiała się. Całowaliśmy się, a wiewiórki stały na tylnych łapkach i klaskały przednimi. Taka fantazja nawiedzała mnie w wyobraźni tysiąc razy w ciągu

pierwszych miesięcy po zniknięciu Annie. Zwykle przedstawiała jakiś wariant tej samej sytuacji — chociaż zawsze zmieniał się jeden szczegół. Wyjaśnienie, jak do mnie wróciła. Jak ocalała po upadku do Pacyfiku.

Nigdy nie potrafiłem znaleźć właściwego wytłumaczenia. Powodów zawsze szukałem w sferze tajemniczości i fantazji. Uderzyła się w głowę i delfiny wyniosły ją na powierzchnię. Albo porwali ją marynarze z zagranicznego frachtowca, a ona zdobyła się na morderczą ucieczkę po pełnych rekinów wodach Nowej Zelandii.

Wyjaśnienie jej obecności jawiło mi się mgliście, lecz było nieistotne. Natomiast nasze spotkanie zawsze wyobrażałem sobie w najdrobniejszych szczegółach. Przebiegało w atmosferze radości i, nade wszystko, śmiechu. W rzeczywistości miało całkiem inny przebieg.

43.

— Annie — przywitałem ją i urwałem. — To naprawdę ty?

— Jesteś sam? — zapytała.

Jej głos. Poznałbym go w tunelu wietrznym, nawet gdybym miał oboje uszu zatkanych watą i przy akompaniamencie dźwięków perkusji zespołu Nirvana.

Rozejrzałem się po parkingu. Pytała, czy ktoś mi towarzyszy? Nikogo nie widziałem.

Odczekałem chwilę, zanim odpowiedziałem. Jeszcze raz potoczyłem wzrokiem po parkingu. Czy to się dzieje naprawdę? A może już jestem w zaświatach, które przypominają park przemysłowy.

— Annie — powtórzyłem. — To ja, Żółwik. Czy ja już nie żyję?

Przełknęła głośno ślinę.

— Nie. Oboje żyjemy.

Spojrzałem w niebo.

— Niemożliwe.

— Uwierz. Ale nie mamy dużo czasu.

— Annie, nie wiem, co się dzieje, ani nie wiem, czy jeszcze będziemy mieli okazję porozmawiać. Dlatego wiedz, że tęskniłem

za wszystkim: za twoimi rękami, twoim zapachem po wyjściu spod prysznic i... — Urwałem, po czym spróbowałem od nowa. — Cofam, co powiedziałem. Uwielbiam twój zapach i widok przez cały czas, w każdych okolicznościach, nawet gdybyś się miała nigdy nie kąpać, i tak pachniałabyś dla mnie najcudowniej.

Roześmiała się, ale cicho, słabym głosem. Mimo to poczułem, jak mi wali serce.

— Nat, nie mamy czasu. Jesteś sam?

— Wy tłumacz mi, co się dzieje. Gdzie jesteś? Od jak dawna? I czy to ty mi wtedy, w kawiarni, uratowałaś życie?

— Muszę wiedzieć, czy jesteś sam. Czy możemy rozmawiać swobodnie?

Poczułem, że się rumienię od tego przypierania jej do muru. Zakręciło mi się w głowie. Annie mówiła jak osaczona.

— Tak — zapewniłem.

— Nat, jestem w niebezpieczeństwie. Oboje jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie.

Nogi się pode mną ugięły.

— Znalazłeś explorera?

Spojrzałem na czarną terenówkę, a potem na trzymany w ręce klucz. Potwierdziłem, że go znalazłem.

— Annie, wy tłumacz mi, dlaczego przez tyle lat się nie odzywałaś. — Nie zdążyła odpowiedzieć, kiedy dodałem: — Byłaś w śpiączce?

— Na spotkaniu wyjaśnię ci wszystko. Dlaczego nie mogłam się z tobą widywać. Wypijemy sobie koktajl czekoladowy, zasną z głową na twoich kolanach i będziemy razem śnili.

Serce urosło mi po trzykroć. Nadal jednak domagałem się odpowiedzi. Chciało mi się wyć. W ustach mi zaschło.

— Jutro po południu musisz być w Nevadzie — powiedziała. — W schowku leży mapa ze szczegółowymi wskazówkami.

— W Nevadzie — powtórzyłem spokojnie, choć w środku cały się gotowałem.

— W Boulder City. Pod Las Vegas. Dojedziesz tam w dziewięć godzin. Tylko omijaj lotniska i policję, bo to zbyt niebezpieczne.

Zdażyłem się już zorientować. Zwłaszcza co do policji. Jeszcze kilka godzin temu wymachiwali kosą, bawiąc się ze mną w przyszpilenie ogona osła. Telefonomal nie wyslizgnął mi się z ręki. Lepił się od potu. Wytarłem go i zamieniłem się w słuch.

— Zajmujemy się twoją znajomą — powiedziała Annie. — Zapewniliśmy jej ochronę przed nimi.

— Znajomą?

— Erin — wyjaśniła Annie. — To piękna kobieta.

W głosie Annie wychwyciłem zazdrość. Słyszałem ją dziesiątki razy. Nigdy nie wносиła rzeczowości, zawsze poprzedzała kłótnię. Wiedziałem, że nie wróży nic dobrego, ale nie było czasu na tłumaczenia. Te sprawy mogły poczekać, przynajmniej dopóki nie wprowadzę drugiej kobiety do swojego życia.

— A co się stało z Samanthą? — zapytałem.

Milczenie. Wydawało mi się, że zakryła ręką słuchawkę.

Słyszałem w tle przytłumione głosy, a po chwili znów głos Annie.

— Nic jej nie będzie. Ból głowy potrwa kilka godzin — powiedziała i nie zmieniając tematu, dodała: — Uwielbiam cię za tę troskę o bliskich.

Nie złapałem, do czego pije. Wciąż nie rozgryzłem poprzedniego zdania. Zajmujemy się twoją znajomą, powtarzała Annie. My, czyli kto?

Wtem przeszył mnie ból.

Kolana miałem jak z waty, ziemia usunęła mi się spod nóg, czułem, że zaczyna się kolejny atak rozdzierającego bólu głowy.

— Annie, coś mi jest. Nie wiem, czy to wina akupunktury, czy... ale trwa to już kilka dni. Od wybuchu.

— O czym ty mówisz? — spytała najwyraźniej szczerze.

— Czuję się, jakby zaraz miało mi rozsadzić głowę.

— Skup się. Musisz mi powiedzieć, kiedy to się zaczęło. Czy tracisz orientację? Masz nudności?

— Tak. Od kilku dni. Moim zdaniem przechodzę wstrząs pourazowy, tyle że ciężki. Bo niby co innego?

Odezwała się po krótkiej chwili.

— Cholera. Niech to szlag. Daj mi pomyśleć. — Znow zamilkła. — Mógłbyś zdobyć jakąś pochodną amfetaminy? Na przykład ritalin albo nawet crack? Crack w małej dawce na pewno by ci pomógł.

Ritalin. Lek, który ludzie biorą na ADHD? Ja miałbym brać crack?

— Jesteś tylko zmęczony. Jeżeli nie zdobędziesz czegoś silniejszego, napędź się cukrem i kofeiną. Dadzą ci kopa.

Cukier i kofeina.

Chciałem już wrócić wehikułem czasu do terazniejszości.

— Masz prawo zalecać pacjentowi cukier?

Liczyłem na to, że złapiemy kontakt. Tymczasem stało się przeciwnie — straciłem go.

— Muszę już iść — odparła poważnym tonem. — Nathanielu, musisz mi dostarczyć laptop tamtego człowieka.

Zatkało mnie.

— Możemy go wymienić na moją wolność.

Naszą wolność.

— Czekam na ciebie z utęsknieniem, Żółwiku. Tylko nie zapomnij laptopa. Jest najważniejszy.

I rozłączyła się.



Wstałem. Resztką krwi odpłynęła mi w ekspresowym tempie z mózgu w najdalsze rejony. Odczekałem, aż przejdzie mi zawrót głowy. Spojrzałem na Samanthę, która nadal spała, i powlokłem się w kierunku explorera.

Annie żyje. Jak to możliwe? Ale słyszałem ją, delektowałem się jej ciepłem zmieszanim z hardością, którą tak źle znosiłem przez rok naszego bycia razem. Była twardsza, niż ją zapamiętałem. Ale to na pewno Annie, a dane jej miejsca pobytu spoczywały ukryte w tajemniczym fordzie.

Kiedy włożyłem kluczyk do zamka w drzwiach, coś mnie tknęło. Przewyciężyłem ból w szyi i zajrzałem pod samochód. Sprawdziłem podwozie. Czy nie ma tam nic niezwykłego albo niebezpiecznego? Na przykład bomby?

Nie zauważyłem niczego podejrzanego.

Oparłem się o ziemię, dźwignąłem do góry. Wstałem. Czuję się jak feniks... w niebieskich trampkach. Annie na mnie czekała. Tak samo jak Erin. Otworzyłem drzwi samochodu.

— Odbijam się od dna — powiedziałem.

Wsiadłem do samochodu, gdzie uderzył mnie antyseptyczny zapach wyczyszczonej skóry. Bez wahania sięgnąłem do schowka. Otworzyłem, znalazłem kremową kopertę. Wyjąłem mapę Nevady. Była czarno-biała i tylko Boulder City ktoś zakreślił czerwonym kółkiem. Miasteczko było tak małe, że jego nazwa widniała wydrukowana na mapie najmniejszą czcionką. Znajdowało się tuż obok tamy Hoovera i jeziora Mead.

Na marginesie była napisana na maszynie instrukcja. Powinienem znaleźć się w Boulder City następnego dnia po południu. Zostało mi więc dwadzieścia godzin. Rzuciłem jeszcze raz okiem na kartkę. Znalazłem tam jeszcze kilka słów. „Zadzwoń i podam adres”. Bez podpisu, a jedynie pieczętka przedstawiająca żółwia.



Jak nakręcony zaniósłem Samanthę do samochodu i położyłem ją na tylnym siedzeniu, gdzie jej organizm nadal trawił środki nasenne. Uruchomiłem wóz.

Czasem w środku nocy zdarzają mi się niezwykle przebłyski klarownego myślenia. Dopadają mnie też pod prysznicem. Kiedyś podczas wyjątkowo przygnębiającej serii jednorazowych podbojów, półtora roku po zniknięciu Annie, właśnie przeżywałem orgazm z kobietą, która robiła bransoletki z kolorowych plastikowych żyłek splecionych z kosmykami ludzkich włosów. Tym razem taka jasność opadła mnie, kiedy wrzuciłem wsteczny bieg.

Słyszałem w uszach głos Annie, jego niepowtarzalną melodię i jej zalecenia — żebym przywiózł laptop, żebym zwalczał senność, konsumując cukier i kofeinę. Wyprowadziłem potężną terenówkę z parkingu. Dałem po hamulcach.

Samochód się zatrzymał. Wyrwałem myślą naprzód. Uderzył mnie ciąg na pozór niepowiązanych obrazów. Laptop Andy'ego, na którym wszystkim tak zależało, bóle głowy jego właściciela i uzależnienie od pobudzaczy. Klatki pełne szczurów z dziurami w głowach. Ktoś poddawał eksperymentom ich mózgi, badając ich aktywność.

Jedz cukier, radziła Annie. Pij kofeinę. A jeszcze lepiej, bierz pobudzacze.

Dopiero teraz zacząłem się domyślać, co się dzieje.

Sięgnąłem do kieszeni dzinsów. Wymacałem to, czego szukałem — wyświechtany, zakrwawiony świstek papieru wyrwany z zeszytu, który wyniosłem z klatki w Laboratorium Truskawkowym. Z lewej strony kartki były wypisane kody. Wiedziałem, że to oznaczniki tożsamości: A1, A2 aż do A15. Dalej B1 do B5. I jeszcze kilka C z cyframi.

Blisko czterdzieści. Więcej, niż wtedy widziałem. Zaginione i uznane za zmarłe.

Przy każdym kodzie cztery kolumny. Jedna z nagłówkiem „jedzenie”. Następna „stym” i jeszcze dwie: „NOR” i „DA”. Nie miałem pewności, ale podejrzewałem, że chodzi o norepinefryn i dopaminę. Neuroprzebieżniki, które da się zmierzyć podczas badania moczu. Pomagają kontrolować zakres uwagi i pobudliwość.

Szczury miały ponadto ogolone głowy, zależnie od umieszczonych elektrod. Jak gdyby ktoś mierzył również ich fale mózgowy. Do kabli B4 były przymocowane również dwie etykiety „stym” i „fala”.

Stymulacja? Fale mózgowy?

Jedzenie? Stymulacja? Pomysł wydał mi się znajomy. Przecież to klasyczny eksperyment. Co szczury wybiorą— jedzenie czy stymulację? Ale dlaczego? I co jedno ma wspólnego z drugim?

— Niemożliwe — powiedziałem niemal w formie pytania, na które sam sobie odpowiedziałem: — Wykluczone.

Mignął mi w pamięci widok laptopa Andy’ego z pękniętym i wygiętym klawiszem odstępu. Andy wpisał mnóstwo razy słowo „ping”. Jak szczur, który szarpie dzwignię, żeby uzyskać większą stymulację. Czyżby Andy robił coś podobnego? Czy to możliwe, że komputer działał na niego jak środek pobudzający? Że podnosił napięcie i adrenalinę do niebezpiecznego poziomu? Czy to możliwe, że podnosił też moją?

— Niemożliwe.

Wyjąłem supertajny, szpiegowski telefon. Pogrzebałem przy nim lepkimi rękami, żeby sprawdzić numery, spod których do mnie dzwoniło. Numer Annie wyświetlił mi się jako zarezerwowany.

Przewinąłem menu w poszukiwaniu czegokolwiek, co naprowadziłoby mnie na jej trop. Czy zdołam odnaleźć ją teraz,

a nie za dwadzieścia godzin, kiedy może już być za późno? Spojrzałem w lustro. Zobaczyłem w nim kredowy zarys trawionej chorobą twarzy. Znad zarostu wyzierały oczy.



Zadzwońnię do biura numerów i zapytałem o telefon Glenna Kindle'a. Zastrzeżony. Spróbowałem Partnerów Inwestycyjnych Kindle'a. Trafiłem na pocztę głosową asystentki administracyjnej Glenna, Diane McNulty. Kochana Diane. Też jej nie zastałem. Zadzwońnię ponownie do centrali i spytałem, czy mają w okolicy jakąkolwiek Diane McNulty. Znaleźli mi jedną w Redwood City, kilka kilometrów na północ i kilka okręgów podatkowych na południe od Palo Alto.

Zanim się spostrzegłem, dostałem połączenie z Diane. Już po chwili usłyszałem kolejny głos z przeszłości.

— Halo.

— Diane?

— Przy telefonie.

— Cześć, Diane McNulty — przywitałem się, używając triku polityków, żeby powtórzyć nazwisko. — Mówi Nathaniel Idle, były chłopak Annie.

Milczenie.

— Cześć, Nat. Nie do wiary. Co słyhać?

Ciepło. Tonem babci, która zaprasza z werandy do domu, żebyś cię poczęstować szklanką zimnej lemoniady.

— Diane, szukam Glenna — powiedziałem bez ogródek. — Koniecznie muszę go znaleźć.

Znów umilkła.

— Chętnie przekażę mu jutro wiadomość. Mógłbyś zadzwonić do mnie do biura?

Wtuliłem głowę w ramiona. Miała uśmiech psa cerbera,

który przy bramie merda wesoło ogonem, lecz absolutnie nie należy bagatelizować jego zdolności obronnych.

— A nie mógłbym się z nim skontaktować jeszcze dzisiaj? — zapytałem. — Nawet nie wiesz, jakie to ważne.

— Nie sądzę, bo właśnie jest w drodze do Las Vegas. Ma wygłosić przemówienie w TelCom, na dorocznych targach branżowych spółek telekomunikacyjnych — powiedziała. — Na pewno dzwonicz w sprawie Eda Gaversona. Wciąż się bawisz w dziennikarstwo?

Ed Gaverson. Założyciel Ditsoftu, kolega Glenna Kindle'a, niegdyś też jego rywal w interesach.

— Prawda, że to tragedia? Żeby mieć świat u stóp i zdecydować się na coś takiego? — spytała, ścisząc głos. — Ale niech to zostanie między nami.



Byłem żonglerem kręcącym talerzami, polykaczem szabli, a tu ktoś ostrzył już połknięte noże. Czy coś się stało Gaversonowi?

— Muszę z nim porozmawiać na temat... Annie — powiedziałem.

— Och, Nat — rzuciła niewinnym tonem. — Wiem, jaki to musiał być dla ciebie cios. Obiecuję mu od razu powiedzieć, że chciałbyś z nim porozmawiać. Czy to już rocznica?

Diane nie miała pojęcia, o co mi chodzi. Nie wiedziałem, czy i jak dalece powinienem ją wtajemniczyć. Bo jeżeli opowiem jej o Annie, a ona powtórzy Glennowi lub komukolwiek, przez kogo Annie musi walczyć o życie?

Kto inny przestraszyłby Annie na śmierć?

— Jak mógłbym się skontaktować z Dave'em Elliottem? — zapytałem.

— Świetny pomysł. Jest właśnie w centrum San Francisco.

Raz, dwa, trzy. Zawróciłem i wyjechałem z parkingu. Znów w lusterku wstecznym mignęła mi moja twarz oświetlona zachodzącym słońcem. Światło podkreślało siateczkę przekrwienia w moich oczach. Czy jeżeli nie znajdę szybko odpowiedzi, w ogóle dożyję spotkania z Annie?

44.

Operatorka podała mi numer telefonu kancelarii adwokackiej Dave'a Elliotta, a na moją przymilną prośbę również adres. Elliott należał do kręgu zaufanych osób Kindle'a. Może mógłby mnie wciągnąć do tego kręgu.

Czułem pulsowanie w skroniach. Nauczyłem się, że zawsze zwiastuje kolejny płas tańczących futbolistów. Albo to tajemnicze objawy grypy, albo syndrom zmęczenia. Kiedy pojąłem, że coś jest ze mną nie tak, Annie właściwie poparła moje domysły. Może Dave Elliott rozjaśni mi jeszcze bardziej w głowie.

Cukier. Kofeina.

Niech ktoś zawiadomi komisję do spraw leków. Najpotężniejsze środki pozostają poza kontrolą i są dostępne za bezcen w okolicznych sklepikach.

Chwilę później stałem przy ladzie takiego właśnie sklepiku z koszem pełnym erotycznych fantazji jedenastolatka. Włożyłem do niego płatki kakaowe, jedną trzecią kilograma kawy, pół tuzina batoników Snickers, cztery Milky Way, sześciopak joltu, dwanaście pączków z cukrem oraz dla zwiększenia porcji białka kabanosy i pudełko krakersów z masłem orzechowym.

Do tego sporo innych wybranych słodczy, o których zawsze marzyłem, ale wiedza medyczna nie pozwoliłaby mi ich kupować ani jeść bez wyrzutów sumienia.

Wyszedłem ze sklepu, nie zważając na podejrzliwy wzrok aż za dobrze wyedukowanego ekspedienta. Wsiadłem do samochodu, rozejrzałem się, czy nie ma policji albo innych wrogów. Zdecydowałem się na ucieczkę przed policją... i przed dentystą. Spalaszowałem dwa batony i wypilem łyk mętnej kawy. Poczulem zastrzyk cukru i kofeiny.

Ruszyłem do centrum. Przy odrobinie szczęścia zastanę Dave'a Elliotta przy tym, w czym celują adwokaci. Przy pracy po godzinach.

■ ■ ■

Po drodze przypomniał mi się mój naczelny, Kevin. Wciąż zalegałem z artykułem na temat wpływu promieniowania telefonu komórkowego na mózg. Czy tak mnie wyćwiczone w szkole, że nawet w takiej chwili nie dawały mi spokoju moje obowiązki finansowe i służbowe? Omal się nie roześmiałem.

W końcu znalazłem dobrą wymówkę. Kevin, miałem ci złożyć materiał na czas, ale zostałem zamordowany. Jeżeli w tej sytuacji nie przełoży mi terminu o kilka tygodni, to już nie wiem, w jakiej przełoży.

■ ■ ■

Zadzwoiłem do swojego adwokata.

— Co jest, ziom? — odebrał po pierwszym dzwonku.

Musiałem przyznać mecenasowi Ericowi Ruggerowi, że nawet jeśli nie zawsze potrafił dotrzeć do prostych ludzi zasiadających w ławie przysięgłych, świetnie sobie radził z językiem nastolatków.

— Mam kapitalną wiadomość — powiedział. — Nie wznowiono śledztwa w sprawie Aravela. Rozmawiałem ze swoimi informatorami, nie masz powodu do obaw.

— Już sam się zorientowałem. Ale ja mam jeszcze lepszą wiadomość. Szukają mnie za wysadzenie kawiarni Sunshine.

— Jeżeli mówisz poważnie, nie możemy rozmawiać przez telefony komórkowe. Bo rozmowy mogą być podsłuchiwane.

— Jestem niewinny. Mam w dupie, kto mnie podsłuchuje.

— Nat, mówisz o tych listach gończych w radiu, że policja poszukuje dwóch osób, które ocalały z wybuchu kawiarni?

— Tak.

Urwał, dopiero po chwili dodał.

— Może to tylko taktyka. Może po prostu chcą cię przesłuchać. Chcą cię urobić, żebyś z nimi współpracował. Musisz się natychmiast stawić. I wyrzucić tę komórkę. Zaproponuj miejsce spotkania. Pojedziemy tam razem.

Uznałem, że takim posunięciem dołałbym tylko oliwy do ognia.

— Pracowałeś rok w Ministerstwie Sprawiedliwości? — zapytałem.

Na studiach Eric przepracował jedne wakacje w ministerstwie.

— Nat, nie rozumiem...

— Pomóż mi — poprosiłem. — Obdzwoń swoich kolegów z Komisji Papierów Wartościowych i Giełd. Dowiedz się czegoś na temat Vestige Technologies.

Powiedziałem mu, że siedziba firmy mieści się w Nowym Jorku i że przed laty miała problemy.



Ledwo się rozłączyłem, a już moim oczom ukazało się skrzyżowanie ulic Front i Mission z fantastycznym wieczornym widokiem na Bay Bridge. Nie miałem jednak czasu na podziwianie

widoków. Musiałem szybko wejść do środka, jeżeli chciałem złapać Dave'a Elliotta.

Zaparkowałem. Jeszcze jeden telefon. Chciałem wybrać numer, ale się powstrzymałem, bo przypomniała mi się pre-stroga Erica na temat podsłuchu.

Odłożyłem telefon i wziąłem komórkę blond anielicy. Uznałem, że korzystam z niego potajemnie. Że wie o tym wyłącznie Annie oraz jej najbliższe grono. Wysiadłem, poszedłem do automatu telefonicznego, żeby zadzwonić do Byczego Oka. Nie odbierał.

Zadzwoniłem do baru Past Time. Odebrała Ally, która dwa razy w tygodniu stała za barem. Przekazała słuchawkę Byczemu Oku.

— Czy Sam jest z tobą? — zapytał. — Straciłem z nią kontakt, odkąd kilka godzin temu wyszedłem ze studia.

— Bycze Oko, usiądź.

— Czyli konkretnie o co ci chodzi?

Jak zwykle był rozdrażniony. Nie sądzę, że tak bardzo doskwierała mu nieobecność Samantha.

— Z Samantha wszystko w porządku — zapewniłem go. — Trochę się zaplątała w tę aferę ze mną i z tamtą kelnerką.

— Nie zważyłeś mnie z nóg, Nathanielu.

Zadarłem głowę, żeby spojrzeć na budynek, w którym mieściła się kancelaria Dave'a Elliotta. W tym samym gabinecie przed laty wypytywałem go o Vestige Technologies. Bycze Oko zjawił się w ciągu dziesięciu minut. Obrzucił mnie wzrokiem.

— Rany boskie!

Następnie odwrócił się do Samantha. Nachylił się nad nią, pocałował w czoło i bite dwie minuty patrzył na nią w milczeniu.

— Ktoś ją zamulił, ale nic jej nie jest — zapewniłem go. — Musi odpocząć, ale chyba wyliże się bez lekarza.

Odgarnął jej kosmyk z czoła, założył za ucho.

— Zaraz kogoś zamorduję. — Wziął Samanthę za rękę. — Ale moje wkurzenie to jeszcze nic w porównaniu z jej wściekłością, kiedy się obudzi. Sam nienawidzi wprowadzać do organizmu jakichkolwiek syntetycznych chemikaliów.

— Dzwoniłeś na policję?

Przeniósł ją ostrożnie na rękach do swojego samochodu.

— Dermis — powiedziała i przekręciła się. Zwróciła się do niego po imieniu. — Ładnie pachniesz.

— Błagam, żadnej policji — poprosiłem. — Nadal masz ten laptop?

Usiadł za kierownicą swojego samochodu.

— Schowałem go. Stoi u mnie na stole w salonie. Chcesz, żebym coś z nim teraz zrobił?

Skinąłem głową. Dałem mu numer komórki Mike'a. Powiedziałem, żeby poprosił go, aby skopiował twardy dysk laptopa, wgrał do komputera system nawigacji. Nie wiedziałem, czy zadziała, ale uznałem, że Mike na pewno będzie wiedział. Poprosiłem Bycze Oko o dyskrecję, chociaż w tej sytuacji taka prośba wydawała się melodramatyczna i zbędna.



Po chwili zajrzałem do kawiarni Starbucks, gdzie kupiłem dwie kawy latte i ciasteczko w celofanie za trzy dolary.

W budynku Dave'a Elliotta poszedłem od razu na wartownię.

— Przepustka — zażądał strażnik, krępy mężczyzna z pięścią jak bochen zanurzoną w torebce chipsów o smaku tortilli.

— Chwileczkę. — Odłożyłem przekąski, zanurzyłem rękę w kieszeni. — Może ma pan ochotę na dodatkową kawę i ciastko? Johnson najpierw poprosił, żebym mu kupił, a potem odwołał, bo podobno musiał lecieć do żony.

- Naprawdę?
- Gdzie ja mogłem zostawić przepustkę? — powiedziałem jakby do siebie.
- Niech się pan nie przejmuje — powiedział, rzucając się na latte.



Wjechałem windą na siedemnaste piętro, na którym Elliott miał gabinet. Szklane drzwi kancelarii były otwarte. W recepcji ani żywej duszy. Aż kusilo, żeby wejść. Co za szczęście!

Ruszyłem korytarzem, mijając wiszące na ścianie fotosy wspólników z poważnymi minami, w garniturach z tenisu. Kiedy podszedłem pod drzwi Elliotta, w środku paliło się światło. Zanim zdążyłem się zastanowić, czy zapukać, ze środka dobiegł mnie głos:

- Nathanielu, dlaczego tak długo?

45.

— Tylko czyszczenie chemiczne — powiedział Dave. — Złatwia sprawę.

Wyciągnął rękę.

— Cholera, co ci się stało? — zapytał. — I czemu zawdzięczam tę wizytę?

— To ty mnie oświeć.

Wiedział, że przyjdę. Czyżby mnie śledził? Podąłem mu rękę i mocno potrząsnąłem. Miał śliską dłoń. Odwrócił wzrok w kierunku pokoju.

— Diane mnie uprzedziła, że możesz tu zajrzeć.

Wychylił się przez biurko i spryskał sobie dłoń środkiem do odkażania rąk w wielkiej butli. Powinienem był się obrazić, gdybym nie miał większych zmartwień na głowie i gdyby nie zdarzało się to ostatnio tak często. Zwłaszcza przedstawiciele medycyny lub dyrektorzy przedsiębiorstw po udzieleniu wywiadu natychmiast sięgali do kieszeni po środek odkażający. Postępowali tak nie tylko wobec mnie, ale też między sobą. Czasem nie podawali sobie rąk, tylko stykali pięściami. Zarazkofobia. Zamiast uścisku dłoni — prysznic.

Moja przypadłość była czymś znacznie gorszym niż przeziębienie.

Poznałem pomieszczenie. Wielkie dębowe biurko, nad nim wbudowany regał, nadal praktycznie bez książek. Po lewej od biurka okno z niesamowitym widokiem na Bay Bridge, most oświetlony przednimi i tylnymi światłami samochodów oraz księżycem niemal w pełni. Z drugiej strony, naprzeciwko okna, kanapa. Przed kanapą czerwony stolik do kawy z kubelkiem pełnym lodu, a w nim chłodziła się woda w butelkach. Dave wskazał mi miejsce na kanapie. Usiadłem. Wziąłem butelkę wody, otworzyłem, napiłem się.

Dave przystawił sobie krzesło. Należało do drugiego, mniejszego biurka stojącego na lewo od okna. Stał na nim laptop. Dave miał na sobie idealnie wyprasowaną niebieską koszulę wpuszczoną w szare spodnie. Wyglądał prawie tak samo jak podczas naszej ostatniej rozmowy, tyle że miał wyższe czoło. Mocno wyłysiał.

Podniósł kij golfowy oparty o małe biurko i zaczął nim kręcić.

Będę musiał obchodzić się z Dave'em bardzo ostrożnie. Nie miałem pojęcia, co wie, ale na pewno nie chciałem mu wyjawiać nic na temat Annie, bo wychodziłem z założenia, że nie jesteśmy sprzymierzeńcami.

— Czy mógłbyś mi coś powiedzieć na temat Laboratorium Truskawkowego?

— Chodzi ci o zakład produkujący sztuczne owoce? — spytał, lecz zaraz urwał. — Przepraszam, niepotrzebnie się wygłupiam. Widzę, że masz jakąś poważną sprawę.

— Nadal pracujesz u Glenna Kindle'a?

Skinął głową. Oczywiście, że pracuje w firmie Partnerzy Inwestycyjni Kindle'a. Tyle że nie może zdradzić, z kim pracuje ani czym się dokładnie zajmuje. Ale chętnie porozmawia ze mną na tematy prawne, bylebym z łaski swojej przyszedł w

godzinach pracy. Same banały. Nawet gdybym nie czuł nadciągającego bólu głowy i mdłości, to zanudziłby mnie na śmierć. Sięgnąłem do kieszeni i włożyłem sobie do buzi markizę.

— A Vestige?

— Nadal Vestige nie daje ci spokoju? Rzeczywiście mieli drobny układ ze skarbówką. To jest tajemnica poliszynela. Wybacz, ale nie mogę wyjawiać szczegółów swoich klientów.

Wyciągnąłem komórkę.

— Dzwonię na policję. Poradzę im, żeby złożyli wizytę tobie i Glennowi Kindle'owi.

Idiotycznie blefowałem, zwłaszcza że to ja byłem poszukiwany, bo chcieli mnie przesłuchać. Ale musiałem zbadać, co wie Dave, ale do niego dotarło odrobinę za późno.

— Zważywszy na swoje położenie, naprawdę uważasz to za najmądrzejszy krok? — zapytał. Przerwał, ale silnik już mu się grzał na biegu. — Głupio wyjdzie, jak się okaże, że wezwalesz gliny bez powodu. Widzę, że jesteś zmęczony, Nat. Udzielę ci profesjonalnej rady, tylko nie zrozum mnie źle. Dziwnie się zachowujesz.

Jeżeli dobrze go zrozumiałem, przed chwilą przyznał, że wie znacznie więcej, niż mówi, a teraz starał się to zatuszować.

„Moje położenie?”. Chodziło mu o kawiarnię? O chorobę? Czy o Annie? I dlaczego Dave sam nie wzywa glin? Nie mogłem się skupić.

— Pozwól, że przedstawię ci swoją teorię — powiedziałem.

— Muszę już wracać do domu.

— Ktoś związany z Glennem Kindle'em, może nawet on sam, faszkuje komputery jakimś bardzo szkodliwym programem. Ludzie przez niego chorują.

Roześmiał się.

— Ten program działa jak narkotyk typu spid. Pogarsza

zakres uwagi, koncentrację. Dotyczy serotoniny, receptorów dopaminy. Bardziej wciąga w korzystanie z komputera. Człowiek przeżywa odlot. Wpada... — wreszcie znalazłem słowo, którego szukałem — w nałóg.

Ja, Andy, może Simon Anderson. Wszyscy daliśmy się wkręcić. Ktoś nam przypiekał mózgi. Miałem problem z odezwaniem się od laptopa, do późna w nocy surfowałem po sieci, najpierw emocje, a potem objawy odstawienia — koszmary, wyczerpanie, drżączka, agresja, drażliwość. Czy Andy nie miał tych wszystkich kłopotów? Annie poradziła, żebym się wyciszył, zażywając ritalin, środek pobudzający używany przy leczeniu nadpobudliwości psychoruchowej. Może do tego służyły badania na szczurach. Prowadzono eksperyment, żeby sprawdzić, czy szczury wybiorą określony rodzaj elektrycznej stymulacji mózgu zamiast jedzenia.

— Teraz rozumiem.

Czyżby dojrzał do zwierzeń?

Dave przyznał, że nic mu nie wiadomo o żadnym szkodliwym programie i rozpoczął monolog na temat potencjalnego uzależnienia od komputerów. Kiedy dostajemy e-maila albo telefon, czujemy zastrzyk adrenaliny — wybuch podniecenia na sam dźwięk lub obraz, a także na perspektywę otrzymania czegoś nowego. Brak tej aktywności powoduje pustkę lub nudę. Dlatego ludzie odbierają telefon, prowadząc samochód, bo przywykli do takiego wybuchu aktywności mózgu, że z braku bodźców odczuwają nudę.

Jego słowa mnie poraziły.

— I ty próbujesz ulepszyć ten stan?

— Jezus, Nat. — Roześmiał się. — Cholera, w ogóle nie wiem, o czym ty mówisz.

— Przecież właśnie...

— Sądziłem, że mówimy o obecnych czasach. Uzależniliśmy

się od różnych współczesnych zabawek, prawda? Na przykład ludziom odbija palma na punkcie palmtopa.

Bawił się mną, najpierw podsuwał kąsek, dawał mi do myślenia, a potem zgrywał niewinnego obserwatora. Wyjąłem z kieszeni kurtki pączka z cukrem pudrem.

— Nathanielu, będę szczery. Zawsze miałaś skłonność do przesady. Tak o tobie myślałem, kiedy byłeś z Annie. Za ckliwie podchodziłeś do sprawy. Rozdmuchałeś swoje wyobrażenia o niej. A teraz wygadujesz bzdury na temat komputerów. Za chwilę powiesz, że ktoś zainstalował ci tajemniczy, szkodliwy program na komputerze, śledził cię przez komórkę albo podsłuchiwał twoje rozmowy. Daj spokój, naprawdę uważasz, że komputer ma takie możliwości, jakie mu przypisujesz?

Usiadł przy laptopie na biurku i zaczął stukać w klawisze. Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby coś takiego było możliwe. Czy mógłbym mu pokazać, o co mi chodzi?

Jak taki program mógłby działać? Patrzyłem, jak bębni w klawiaturę. Monitor nie ma przecież bezpośredniego połączenia z mózgiem. Wstał.

— No to pokaż — poprosił.

Podszedłem ostrożnie. Odłożył kij golfowy, nie wyglądał na człowieka, który chciałby mnie zaatakować.

Zobaczyłem na ekranie otwartą przez niego stronę. Zawierała artykuł z „Chronicle” na temat kawiarni. Pod nagłówkiem „najświeższe informacje” okienko z dużym tekstem. Tytuł brzmiał: Dwoje poszukiwanych w związku z wybuchem w kawiarni.

— Co jest, do cholery? Dlaczego akurat masz ten artykuł?

— A dlaczego nie?

Usiadłem do komputera. Kliknąłem w link i zacząłem czytać. Wtem przeszedł mnie dreszcz. Bolesne pulsowanie w palcach, jakby ktoś mi zaaplikował wstrząs. Szum w uszach. Ból głowy.

Skurcz w brzuchu, aż się wzdrygnąłem. Z trudem chwyciłem powietrze. Odwróciłem głowę w bok i zwymiotowałem. Chlusnęło łukiem, jakbym wyrzygał pocisk.

— Tylko ostrożnie — powiedział Dave, patrząc na swoje buty. — Bo mam pantofle Allena Edmonda.

Nigdy w życiu nie miałem migreny. Chociaż nieraz leczyłem z niej pacjentów. Człowiek się wtedy czuje, jakby miał mózg w imadle. Najłżejszy ruch albo błysk światła powoduje ból.

Kolejny skurcz brzucha. Próbowałem złapać powietrze, bo oddychanie to pierwotny odruch. Nie mogłem uwierzyć, żeby komputer mógł tak działać na człowieka. Zatrzasnąłem wieko laptopa. Chwyciłem go oburącz z obu stron, usiłując jednocześnie podnieść głowę. Dźwignąłem ją tylko kilka centymetrów. Zwymiotowałem ponownie.

— To wina tego ustrojstwa — wykrztusiłem.

— Złapałeś grypę, koleś.

— Co jest w tym pieprzonym kompie?

Wpadłem w furję. Zerwałem się, przytrzymałem krawędzi stołu. Podeszedłem do Dave'a. Kątem oka zobaczyłem, że bierze kamienny przycisk do papieru. Do obrony czy do ataku?

Wziął zamach i cisnął.

46.

Prosto w moją głowę leciał poszarpany kawałek skały. Nachyliłem się, odwróciłem. Uderzył mnie tuż pod pachą, w najdłuższy mięsień grzbietu i w żebra. Poczulem dotkliwy ból. Impet pchnął Dave'a w moją stronę. Omal nie przygniótł mnie swoim ciężarem. Ponownie uniósł rękę do góry.

Zorientowałem się, że trzymam laptop, którego złapałem instynktownie, żeby się zasłonić. Kiedy Dave chwycił przycisk, złapałem komputer niczym tarczę, i to on przyjął na siebie siłę drugiego ciosu. Dave upadł na jedno kolano. Odwróciłem się i rzuciłem laptop. Leciał z furją na oślep i trafił do celu — ugodził Dave'a w policzek, kiedy odwracał się w moją stronę. Dave zawył i złapał się za twarz.

Gdyby nie ta furia i ta stawka, cała scena wydałaby mi się komiczna. Mężczyźni nie potrafią walczyć. Potrafią tylko straszyc się nawzajem walką. Przepychanki na boisku do koszykówki i piłki nożnej się nie liczą.

Dave wstał. Tamował sobie ręką krew z wielkiego rozcięcia na policzku. Ja się trzymałem za bok. Czulem pod palcami ciepłą, lepłą ciecz. Obaj dyszeliśmy. I co teraz?

— Chciałeś mnie zabić — powiedziałem. — Chcesz mnie zabić.

— Bronię się przed wariatem. Spójrz na siebie.

Dave podniósł telefon z głównego biurka i nacisnął guzik.

— Ochrona budynku — rozległ się głos w głośniku. — Mówi Bob.

— Proszę o pomoc. Mam u siebie agresywnego gościa — powiedział Dave.

Nie mogłem sobie pozwolić na interwencję z zewnątrz. Kiedy zjawi się ochrona, Dave też będzie miał dużo do stracenia, ale znacznie mniej niż ja. Annie czeka. Ciężko dysząc, popatrzyłem ostatni raz na Dave'a i wybiegłem za drzwi.



Wybrałem schody. Za dużo się naoglądałem telewizji i dlatego intuicja podpowiadała mi, że jeśli ktoś ucieka windą, naraża się na spotkanie na parterze z uzbrojonymi facetami. Zbiegłem na parter, wyrząłem zza drzwi na biurko ochrony. Nikogo tam nie było. Widocznie strażnik zareagował na wezwanie Dave'a. Ciekawe, jaką bajeczkę Dave mu wciśnie?

Już po chwili wsiadałem do auta. Ruszyłem ciemną, pustą ulicą, byle dalej od budynku. Na dźwięk syreny schyliłem głowę. Kiedy dźwięk się oddalił, dodałem gazu. Ujechałem kilometr i dotarłem do Bay Bridge. Wreszcie znalazłem się na tym imponującym moście, z dala od syren, bagna, gorączkowego obłądu dwudziestego pierwszego wieku okablowanego po pachy.

Trzymałem kierownicę prawą ręką. Lewą delikatnie obmacałem lepką kawałek koszuli z prawej strony, na obrzeżu klatki piersiowej. Nieźle oberwałem. Nie potrafiłem ustalić, jak rozległa jest rana. Musiałbym wsadzić brudne łapy w ranę, co spowodowałoby taki ból, że mógłbym wypuścić kierownicę z rąk

i zjechać z mostu. Kiedy oddychałem głębiej, tak mnie bolało, że podejrzewałem pęknięcie żebra.

Na szczęście nie tryskała krew ani nie straciłem przytomności. Mięśnie mają dużo naczyń, dlatego celniejszy cios spowodowałby przynajmniej znacznie większy ubytek krwi. Miałoby to dobre i złe strony. Mniej bym się wykrwawił, za to rana wolniej by się goiła. W każdym razie mógłbym szybciej jechać. O czym przypominały mi nachalne klaksony samochodów za plecami.

Skupiłem się na drodze. Dojechałem na koniec Bay Bridge i znalazłem się na przyczółku Ameryki. Drogowskazy wskazywały milion różnych miejscowości — Oakland, Sacramento, San José. Wybrałem drogę 580, autostradę, która prowadzi przez równiny do drogi nr 5 zmierzającej do Las Vegas. Do Boulder City. Do Annie.



Sięgnąłem po telefon i wybrałem numer Leslie Fernandez, mojej koleżanki z klasy, byłej kochanki, która została lekarzem neurologii.

Ponieważ podejrzewałem, że komputer zaatakował mi mózg, nie trzeba było doktora, żeby zrozumieć, o co chodziło Annie. Mój mózg wymagał sztucznej stymulacji. Czegoś, co zastąpiłoby laptop, który uszkodził komputer pokładowy mojego organizmu. Odpowiedź na pytanie, jak działa ta ich brudna zagrywka, będzie musiała poczekać. Najpilniejsza była ocena mojego stanu zdrowia.

— Doktor Fernandez przy telefonie — powiedziała, kiedy podniosła słuchawkę.

— Cześć, Leslie.

— Witaj, kochanie.

Powiedziała to napiętym głosem.

— Musisz mi jeszcze raz pomóc.

- O rany! Co się znowu dzieje?
- Leslie, wypisz mi receptę na ritalin. Sto tabletek, co najmniej dwadzieścia miligramów.
- Nat?
- I jeszcze augmentin. Albo inny, w każdym razie najsilniejszy antybiotyk o działaniu ogólnym.
- Brak reakcji.
- W Pleasanton jest apteka Walgreens — dodałem.
- Dobrze się czujesz? Ty bierzesz?
- Roześmiałem się, chociaż nie powinienem. Przecież nie prosiłem jej o nic niezgodnego z prawem, bo lekarze bez przerwy wypisują sobie nawzajem recepty, tyle że ta sprawa była poważna.
- Nie, Leslie. Błagam, nie praw mi teraz kazać. Niczego nie ryzykujesz. Musisz mi zaufać.
- Dobrze, kochanie. — Nie wydała mi się przekonana. — Pomogę ci, skoro mnie prosisz.
- I jeszcze jedno.
- Tak?
- Powiedz mi słowo o norepinefrynie i dopaminie — prosiłem.
- To neuroprzekazniki. Katecholaminy.
- Sprawdź.
- Co się dzieje?
- To są hormony stresu, prawda? Wydzielają się w sytuacjach napięcia. Takich jak pośpiech.
- Norepinefryna owszem, i nie tylko. Podczas stresu pomaga opanować pierwotne reakcje, uruchamia funkcję walcz albo uciekaj, powoduje rozszerzenie źrenic, zaciśnięcie naczyń krwionośnych, wzmożone bicie serca. Dopamina bardziej uruchamia ośrodki przyjemności w mózgu, a także natręctwa i pożądanie.

- Czyli kontroluje pragnienia?
- Albo je wskazuje. Dlaczego mnie o to wypytujesz?
- Prowadzę eksperyment naukowy. Wybacz, muszę już lecieć.
- Nie rozłączaj się! — zawołała, zwiększając natężenie decybeli.

Zapytała, czy to ma coś wspólnego z doktorem Bardem i moim wcześniejszym telefonem. Powiedziałem, że nie mam czasu gadać, ale teraz ona się zdenerwowała. Kazała mi przysiąc, że nie jestem chory ani nie poluję na lekarza, aby pośrednio znów się upewnić, czy nie jestem narkomanem, który szuka recepty u znajomych. Zdarza się, że studenci medycyny wpadają w nałóg i w ten sposób dozują sobie wspomagacze przez całe życie. Chyba nie pozbyła się wątpliwości, kiedy się rozłączyliśmy.

Podjechałem do baru Denny na północ od jeziora Merritt, w tak złej dzielnicy Oakland, że nikt nie mrugnąłby nawet okiem, gdyby ktoś wszedł i wykąpał się w umywalce. Choć trudniej pewno byłoby wytłumaczyć przemywanie rany. Na szczęście łazienka była pusta, jeśli nie liczyć pary zasikanych džinsów na podłodze obok pisuaru. Wstrzymałem oddech, odchyliłem koszulę, próbowałem udawać, że jestem kimś innym, obcym człowiekiem na ostrym dyżurze, którego muszę opatrzeć jako student medycyny. Włożyłem palec do rany i stwierdziłem, że mam dla tego obcego człowieka dobrą wiadomość. Przycisk do papieru tylko otarł mu się o bok, omijając główne arterie, czyli nie uszkodził barku ani żeber. Wystarczy, że porządnie oczyści się ranę, założy opatrunek, a potem oczywiście nawodni się i poleży w łóżku. Musiałem poprzestać na porządnym oczyszczeniu.



Pół godziny później podjechałem pod aptekę Walgreens. Za ladą stała drobna farmaceutka w okularach przypominających denka butelki coca-coli.

— Brał pan to już przedtem? — spytała, wręczając mi ritalin.

Skinąłem głową.

Sięgnęła po drugą torebkę. Spojrzała na mnie, potem na napis na torebce.

— Zażywać przy jedzeniu — powiedziała. — To bardzo silny antybiotyk. Może powodować mdłości i dużo różnych objawów ubocznych.

Na ladzie położyłem gotówkę. Wcześniej pobrałem trzysta dolarów z bankomatu w budynku, w którym mieściła się apteka.

Zaraz na parkingu otworzyłem fiolkę ritalinu i wysypałem dwie małe białe tabletki na rękę, podwajając i tak już wysoką dawkę. Popiłem je ciepłą pepsi z butelki leżącej na miejscu pasażera

Czego się spodziewałem? Że ból głowy nagle ustąpi? Że raptem odzyskam klarowność umysłu? Że zasnę? Przypominało to długą szprycę, bo przecież ritalin jest pobudzaczem. Stosuje się go powszechnie przy leczeniu nadpobudliwości psychoruchowej. Medycyna wychodzi z założenia, że pacjenci z tym zespołem mają kłopoty z koncentracją. Wydają się podnieceni. Teoretycznie ich mózgom brakuje dopaminy, dlatego szukają pobudzenia. Pragną emocji albo dramatyzmu. Ritalin uzupełnia ich skład chemiczny mózgu. Teoretycznie wspomaga mózg, żeby nie musiał uciekać się do nowych form pobudzenia, a w zamian podsuwają nowe sposoby wytwarzania adrenaliny. Jest to pobudzacz, który może mieć jednak efekt uspokajający.

W pierwszej chwili nic nie poczułem, zawróciłem więc na autostradę. Czy ritalin uratowałby Andy'ego Goldsteina? Czy jakiś program w jego komputerze kazał mu przechodzić objawy porównywalne z zespołem nadpobudliwości psychoruchowej?

I, co ważniejsze, czy ritalin uratuje mnie? Czyżbym zaraził się jakąś nieodwracalną dolegliwością?

Zostało milion nieodpowiedzianych pytań. Dave najwyraźniej działał podstępnie. Czy moje mdłości wywołał jego komputer? Niby czemu nie? Czy to on sugerował, że ktoś grzebał przy moim komputerze? Jak i kiedy to się mogło stać? Wieczorem w dniu wybuchu w kawiarni po powrocie do domu zastałem swój laptop uruchomiony, chociaż nie był włączony do prądu. Zdziwiłem się, chociaż nie wykluczałem, że sam tak go zostawiłem. Czyżby dawało o sobie znać przemęczenie?

Czy Dave tylko dla zabawy mówił o uzależnieniu ludzi od rozmów przez telefon podczas prowadzenia samochodu? Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej przyznawałem mu rację. Reakcja na dzwonek telefonu albo sygnał przychodzącej poczty elektronicznej przypomina co najmniej odruch Pawłowa. Człowiek słyszy dźwięk, reaguje, dostaje nagrodę, wiadomość, przyływ informacji, obietnicę czegoś ekscytującego. Ale czy stoi za tym fizjologia? Czy chemia naszego mózgu kształtuje się i udoskonala tak samo jak mięśnie w odpowiedzi na ponawiany wysiłek?

Pomyślałem o dżungli, o tym, jak ludzie przystosowali się, żeby w niej przeżyć. Metodą przypadkowych mutacji, prób i błędów, zmienialiśmy się, żeby poradzić sobie z zagrożeniami fizycznymi i rozwiązać problemy życia na łonie natury. Czy podobny proces zachodził w erze techniki cyfrowej? Czy rozwój naszego mózgu postępuje tak, by poradził sobie we współczesnej dżungli — z komputerem, środowiskiem, w którym tkwimy na co dzień? Jedno było pewne: wszechobecna stymulacja rozrastała się coraz bardziej. Nie ograniczała się do komputerów i telefonów. Obejmowała również wiadomości CNN i Fox, telewizyjne gadające głowy, pasek informacyjny u dołu ekranu,

kolorową grafikę. Niedługo dojdzie do tego, że będą tatuowali relację z zagrody na czole prezentera.

Każemy mózgowi radzić sobie z natłokiem informacji, który codziennie nas bombarduje.

Wziąłem do ręki telefon komórkowy.

Telefon.

Dave zapytał mnie, czy nie mam paranoicznych obaw, że w telefonie założono mi podsłuch. Czy to była podpowiedź, czy kolejna drwina? Kto miałby mnie śledzić? Danny Weller? Czy on nie żyje?

Obejrzałem dokładnie telefon, ale nie wiedziałem, jak sprawdzić, czy ma zainstalowany podsłuch. Wybrałem tradycyjne podejście. Otworzyłem okno i zrobiłem coś, o czym z pewnością marzy dziewięćdziesiąt dziewięć procent użytkowników komórek. Wyrzuciłem go na autostradę.

Nadal miałem przy sobie supertajny telefon szpiegowski od blond anielicy. Zadzwoniłem do Byczego Oka. Kiedy się odezwał, dobierałem starannie słowa na wypadek, gdyby ktoś podsłuchiwał.

— Jak tam Sam?

— Nie śpi już od dwudziestu dziewięciu minut.

Matematyk w każdym calu.

— Jest przytomna?

— Trochę oszołomiona — powiedział i nieoczekiwanie parsknął śmiechem. — Kiedy przypomniałem jej filozofię zen, wiesz, co powiedziała? Że nie powinni byli zadzierać z Czarownicą.

Roześmiałem się, aż przeszył mnie ból w boku. Ale było warto.

— Bycze Oko, pamiętasz, co robić?

Omówiliśmy to pobieżnie, kiedy przekazywałem mu Samanthę.

— Jestem chodzącym komputerem. Pamiętam procent średniej na bazach wszystkich członków drużyny Black Sox w tysiąc dziewięćset dwunastym roku.

Gdyby nasze życie zależało od wygranej w teleturnieju!

— Koniecznie zadzwoń do Mike'a. To dość wygórowana prośba, ale moim zdaniem sobie poradzi.

— Robi się.

Odłożyłem słuchawkę. Po czym znów ją podniosłem. Musiałem pilnie zadzwonić do porucznika Aravela.

Może nie był złym policjantem. Bardzo chciałem skontaktować się z kimś przy władzy. Jeżeli się jednak myliłem i mój telefon do Aravela zmniejszy choćby o ułamek szansę ponownego zobaczenia Annie, to nie był tego wart.

Przez szpiegowski telefon sprawdziłem pocztę głosową w swoim telefonie stacjonarnym. Czekala tylko jedna wiadomość. Oddzwoniła do mnie Sarah, koleżanka Annie. Wyczułem zdenerwowanie w jej głosie. Zagłuszyłem podszept intuicji i zadzwoniłem do niej. Może ona sama jest w niebezpieczeństwie albo delikatnie pociągnę ją za język.

— Nat? To ty? Poczekaj chwilę. — Zakryła dłonią telefon i ryknęła: — Ścis� ten pieprzony telewizor! Cholera, mam ważną rozmowę.

Nic się nie zmieniła.

Pominęła wymianę uprzejmości, tylko od razu wypaliła, że przestraszyłem ją swoją wiadomością. Wyczuła coś dziwnego w moim głosie.

— Ja w twoim też słyszę napięcie. Dobrze się czujesz?

Nie chciałem potwierdzić swoich emocji, a co dopiero ich przyczyny.

— Co się dzieje? Mówiłeś, że chcesz zapytać o coś w związku z Annie?

— To prawda. Nawiedzają mnie duchy.

Długo się nie odzywała.

- Jeszcze się nie otrząsnąłeś po jej śmierci, prawda?
- Nadal przyjaźnisz się z Glennem?
- Widuję go. A dlaczego pytasz?

Nasza wymiana zdań prowadziła donikąd. Ale Sarah coś wiedziała. Bo była zdenerwowana. Tyle że nie chciała odkryć kart.

– Sarah, uważaj na siebie. Dzieje się coś dziwnego. Sam jeszcze nie wiem co. Ale miej oczy otwarte.

– Boję się o ciebie, Nat. Prawdę mówiąc, gadasz tak jakoś dziwnie.

– A to już wyjaśnię przed sądem.



Pożegnaliśmy się. Spojrzałem w lunę nadciągających kaskadowo świateł. Po raz pierwszy głębiej odetchnąłem. Trochę się uspokoiłem. Może zadziałał ritalin, a może czas, jaki upłynął od mojej bójkii. Patrzyłem na pasy wokół mnie, zatłoczone ludźmi dojeżdżającymi w korkach do pracy. To najwaleczniejsi mieszkańcy San Francisco. Nie stać ich było na kupno ani wynajem domów w mieście, dlatego rozpiezchli się po przedmieściach ciągnących się na wschód i na południe w takiej odległości, żeby mogli co wieczór dojechać do domu. Chyba mieli, podobnie jak ja, fotel pasażera zawałony śmieciowym jedzeniem i wciąż dręczyło ich silne pragnienie. Spojrzałem w prawo, zobaczyłem pasażerkę białej hondy civic. Brunetka w średnim wieku, z bujnymi włosami. Najwyraźniej poczuła na sobie mój wzrok. Odwróciła się, spojrzeliśmy na siebie. Kiwnęła ze współczuciem głową. I wróciła wzrokiem na drogę.



Przygotowałem się na długą drogę do Doliny Centralnej w Kalifornii, a stamtąd do Nevady, kiedy zaskoczył mnie ostry dzwonek supertajnego telefonu szpiegowskiego. Dzwonił Bycze Oko.

— Już do ciebie jadę — powiedział. — Ale nie sam.

47.

Rano zobaczyłem w oddali lunę bijącą od bulwaru Strip w Las Vegas. W śródmieściu panował spokój jak w każdym centrum, zanim dzień się nie rozkręci. Mieszkańcy tak samo jak codziennie o tej porze odsypiali noc. Złani potem, pogrążeni w niespokojnym śnie, śnili o tym, co by to było, gdyby wstali od stołu pół godziny wcześniej.

Miasto nabierało rozmachu. Przeczytałem, że niedawno w kasynie New York-New York wstawiono nowy stół do blackjackinga, który miał wbudowany również automat do wideo-pokera. Można było grać na nim w obie gry jednocześnie, korzystali więc z niego ludzie, którym nie wystarczała dawka adrenaliny i przegranych otrzymywana w zwykłym tempie.

Moją trucizną była kofeina. Kupiłem ogromny kubek i wjechałem na lotnisko. Bycze Oko już czekał.

— Wyglądasz jak frajer na kacu — powiedział.

Stał w punkcie odbioru bagażu. I trzymał w ręku laptop.

— Z kim przyjechałeś?

Wskazał za siebie.



Na moją prośbę weszliśmy do toalety, żeby móc porozmawiać na osobności. Podejrzewałem, że Bycze Oko zacznie się pieklić na takie ceregiele. Facet nie bał się niczego, co nie miało

wysokiego, matematycznie wyliczonego, prawdopodobieństwa. Chyba więc nie miał obaw, że ktoś mógłby śledzić dwóch idiotów w cywilu, którzy spotkali się na lotnisku w Las Vegas, żeby jeden drugiemu przekazał laptop.

Nie chciałem jednak ryzykować.

W toalecie wskazał mi gestem, żebyśmy wszedł z nim do kabiny z lewej strony.

— Źle kombinujesz — powiedział, zatrzasnąwszy za sobą drzwi do niewielkiej kłitki.

— Jak to?

Wśliznął się obok sedesu naprzeciwko mnie. Miał worki pod oczami, a na brodzie już dostał wysypki.

— Jeżeli się boisz, że ktoś nas tu nakryje i zabije, powinienś być wybrać środkowąabinę. Stamtąd mielibyśmy lepsze możliwości ucieczki.

Nie wiedziałem, czy mówi poważnie.

— A gdybym chciał uciec od podsłuchu? — zapytałem. — W kącie nie jesteśmy otoczeni z obu stron.

— W takim wypadku lepiej wybrałeś.

Podał mi laptop Andy'ego.

— Masz.

Był w takim samym opłakanym stanie, w jakim ostatnio go widziałem. Przekręciłem go do siebie i oparłem nogę na sedesie.

— Wszystko poszło gładko?

— Sam go zapytaj.

— No właśnie, sam mnie zapytaj, ziom — usłyszałem głos zza drzwi kabiny.

■ ■ ■

Otworzyłem.

— Co się mówi? — spytał Mike.

Pokręciłem głową. Stał tam Mike, najgenialniejszy magik komputerowy na świecie. Miał na sobie wzorzystą hawajską koszulę, szorty i klapki.

— Jeszcze nie widziałem tak schrzanej operacji tajnej — mruknąłem.

Mike powiedział, że kiedy Bycze Oko zadzwonił po pomoc, uznał, że mogę potrzebować go na miejscu. Ale przyjechał z jeszcze prostszego powodu. Co miesiąc i tak jeździł do Vegas, bo za zostawiane u nich pieniądze dawali mu darmowe noclegi w Caesar's Palace. Nie wiedzieli, że próbuje liczyć karty, a jemu nie przeszkadzało to, że nic na tych wypadach nie zarabia.

— Będę miał czas zagrać przy stoliku? — zapytał.

— Duży błąd — odparł Bycze Oko. — Masz lepsze szanse przy wideogrze w kości.

— Nieprawda, jeżeli wykażesz prawdziwą dyscyplinę. Musisz wkalkulować ludzki czynnik. Jakie jest prawdopodobieństwo, że wyjdę stąd z wygraną?

Bycze Oko uśmiechnął się do mnie perwersyjnie. Znalazł bratnią duszę.

— Załóżmy się, kto odniesie większy sukces, ale pod warunkiem, że oddasz mi do depozytu swoją ewentualną przegraną. W ten sposób nie skusi cię, żeby ją oddać krupierowi.

Zdumiał mnie. Nigdy nie słyszałem, żeby Bycze Oko tyle mówił, i to w najmniej odpowiednim czasie. Przerwałem mu, wtrąciłem, że musimy odszukać laptop. Już wcześniej przedstawiłem swój pomysł Byczemu Oku, ale Mike powiedział, że sprawdza go od strony technicznej.

— Jeżeli tu nie wrócę — poprosiłem — postaraj się i tak uruchomić akcję.

■ ■ ■

Dziesięć minut później jechałem na południowy wschód.

Nie posiadałem się z radości, że zobaczę Annie, chociaż czułem się też skołowany i zły. Zawsze wiedziałem, że Annie ma swoją ciemną stronę, która objawiała się histerią, kiedy złamałem krzesło albo kiedy ona przejmowała się pracą. Czyżbym przeoczył coś ważnego? Nie. Widocznie dotknęło ją coś strasznego. Annie potrzebuje mojej pomocy i wkrótce ją dostanie.

Sylwetka Erin wzbudzała też poważne wątpliwości. Erin sprawiała wrażenie kobiety silnej, a jednocześnie kruchej i nieskomplikowanej. Przeżyła wybuch, a wcześniej była zamieszana w pożar. Potężna sprzątaczką w domu Simona Andersona powiedziała, że widziała kobietę pracującą przy elektryczności w jego mieszkaniu. Erin była również obecna, kiedy wyleciało w powietrze laboratorium szczurów.

Zadzwoniła komórka.

— Żółwiku, jesteś niedaleko?

— Niecałą godzinę drogi.

Annie podała mi szczegółowe wskazówki, jak dojechać do dzielnicy mieszkaniowej na południowych przedmieściach. Usiłowałem się skupić, ale zmroził mnie jej ton. Niby był z tego świata, ale nadal brzmiał nierealnie.

— Jesteś gotów? — zapytała.

— Jak słyszę, po śmierci jesteś jeszcze bardziej gorąca niż za życia.

Ten jej śmiech.

— Pośpiesz się. Nie mamy dużo czasu.

Kiedy poprosiłem, żeby mi powiedziała, co się dzieje, odparła, że ma teraz ważne sprawy do załatwienia i wszystko mi wyjaśni na miejscu.

— Nathanielu, szykuj się na niewiarygodną historię.

Dochodziło południe, czułem upał nawet przy klimatyzacji włączonej na cały regulator. Byłem rozbity i spocony po bezsennej nocy. Przestałem nawet próbować myśleć, włączyłem radio. Uświadomiłem sobie, co targa moją podświadomością.

– Wynika stąd, że nawet największe pieniądze nikomu nie dadzą szczęścia.

– Dziękuję panu za telefon. Rzeczywiście wynika stąd choćby taka nauka, którą Amerykanie powinni wciąż sobie powtarzać. Samobójstwo Eda Gaversona dowodzi, że bogactwo wcale nie daje szczęścia. Ten człowiek był w różnych okresach najbogatszym Amerykaninem. Miał domy, samochody, jachty, kolejne domy, a mimo to... proszę wybaczyć tak dosadne sformułowanie... palnął sobie w głowę. Słuchacze, to od was zależy, czy będziecie szczęśliwi, czy nie. Depresja, zachwianie równowagi chemicznej mogą dotknąć wszystkich. Ale tak samo jak najbogatszy człowiek Ameryki możesz zdiagnozować własne problemy i się z nimi uporać. Po reklamach wrócimy do rozmowy o wydarzeniach dnia w programie *Na patelni* w naszej rozgłośni na cały kraj. Mówił prowadzący Roger Templeton.

— Czy pan cierpi na artretyzm?

Ed Gaverson, prezes Ditsoftu, jednego z największych producentów oprogramowania na świecie, nie żyje. Należał do grona najbliższych przyjaciół Glenna Kindle'a i odebrał sobie życie. Chyba do tego piła Diane, sekretarka Glenna.

Pokręciłem galką w poszukiwaniu innej stacji i dalszych wiadomości. Ale usłyszałem tylko trzaski w eterze i nowe pytanie we własnej głowie — czy Gaverson sam się zastrzelił, czy może ktoś pociągnął za spust?



Skreśliłem do Boulder City. Minąłem skromny pasaż handlowy, wjechałem do opustoszałej, oszczędnie zaprojektowanej dzielnicy mieszkaniowej. Kiedy zaparkowałem, byłem na wpół przytomny, spocony, rozkojarzony, a przy tym zaintrygowany i pobudzony. Nagle zadałem sobie bardzo proste pytanie. Czy kupując tyle słodczy, kupiłem pastylki miętowe? Gumę do żucia? Nie znalazłszy ich, lknąłem garść cukierków Red Hots. Może zabiją zapach kawy i zdenerwowania.

Spojrzałem w lusterko wsteczne. Zobaczyłem zaczerwienione oczy i zarost na twarzy, większy niż poprzednio. Nawet przemknęło mi przez głowę, czy nie wrócić do miasta, żeby się ostrzec.

Już po chwili stałem pod jej drzwiami. Pod drzwiami Annie. Zerwałem kwiatek spod drzwi i trzymając go w spoconej ręce, zapukałem. Nikt nie otworzył. Zadzwonilem. Nadal nikt nie podchodził. Zapukałem ponownie i wtedy drzwi się otworzyły. Zapomniałem o wszystkim.

Przede mną stała blondynka o pszenicznych włosach. Mogłaby być siostrą Annie, bo miała jaśniejsze włosy, bardziej puciołowate policzki i oczy niebieskie, a nie piwne jak Annie.

— Przepraszam, że tak długo to trwało — powiedziała. —
Chciałam się dla ciebie zrobić na bóstwo.



Kwiat wypadł mi z dłoni, a ja przyciągnąłem dziewczynę, czując na sobie jej ramiona — te jej czułe, delikatne ręce, którymi niegdyś wtulała się we mnie, żeby dodać sobie siły.

Aż do tej chwili nie dowierzałem. Nawet kiedy usłyszałem jej głos, nie byłem pewien, czy ona naprawdę żyje. I chociaż różniła się trochę wyglądem od zapamiętanej przeze mnie dziewczyny, nie ulegało wątpliwości, że to Annie. Znow trzymałem ją w objęciach, w niedźwiedzim uścisku.

— Zupełnie jak profesjonalny zapaśnik — szepnęła, po czym się roześmiała.

Położyła mi rękę na głowie. Przeczesała palcami włosy jak dawniej.

— Przywiozłeś laptop?

Nie chciałem jej wypuszczać z objęć w obawie, że może nie wrócić. Albo co gorsza, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Że to sen *Alicji w krainie czarów*, a na mój najlżejszy ruch rzeczywistość przypuścił atak. W końcu odsunęła się ode mnie.

— Przywiozłeś laptop?

Spojrzałem na nią zdumiony. O co jej chodzi w takiej chwili? Wzruszyłem ramionami, usiłując zrozumieć, w czym rzecz.

— Tak jak prosiłaś.

— Przepraszam.

Wbiła wzrok w podłogę, chrząknęła. Wzięła mnie za rękę.

— Żółwiku, pamiętasz tamten dzień na promenadzie?

Nie mogłem oderwać od niej oczu. Postarzała się, na pewno więcej niż o cztery lata. Cztery lata, do których trzeba doliczyć życie w niewiarygodnym stresie. I jeszcze coś — operację.

Pucolowatość to efekt korekty układu kostnego jej twarzy. Linia włosów się przesunęła. W oczach szkła kontaktowe wpływające na kolor jej oczu. Zmiany wprowadzicie subtelne, były jednak bardzo wyraźne. Widziałem w nich dzieło prawdziwego profesjonalisty wynajętego, żeby zrobić z niej kogoś na oko całkiem innego, bez radykalnej zmiany wyglądu. Staralem się nie dać po sobie poznać, że coś zauważyłem.

— Jedliśmy naleśnik z czekoladą, a tyś usłyszała wróżbę od chiromantki.

— Naleśnik był z cynamonem — droczyła się ze mną Annie.
— Najczęściej wspominam tamten dzień. Był idealny. Tak samo jak ty i jak nasz związek.

Nie odrywałem od niej wzroku. Ona pierwsza spojrzała w bok.

— Wiesz, co mi powiedziała wtedy chiromantka?

— Że dorobisz się fortuny.

Annie wysunęła ręce z moich.

— Przecież sama ci to powtórzyłam. Ale naprawdę powiedziała co innego.

Spuściła głowę, jakby w przystępie smutku zabrakło jej nawet łez.

— Powiedziała, że stanę przed trudnym wyborem. I że wybiorę prawdziwą miłość.

Cofnęła się o krok.

— Urosły ci baki. Ojej, jesteś ranny.

Niebieski podkoszulek miałem poplamiony na czerwono.

— To prezent od Dave'a Elliotta.

Zakryła sobie ręką usta. Nie wiedziałem, czy to szok, gniew czy troska. Poczulem cień wątpliwości, wykrzyłem w niej pewną sztuczność. Odsunąłem taką myśl od siebie.

— Coś mi... coś mi wgrali w komputer.

Było to uproszczenie, ale coraz bardziej w to wierzyłem. Liczyłem, że Annie uzupełni szczegóły.

— Niesamowite. Żółwiku, bardzo mi przykro. Jak on mógł?

— Twój ojciec? Cholera, co się dzieje?

Raptem przybrała surową minę. Taką determinację w jej twarzy widziałem tylko raz, w Nowym Jorku, kiedy zajrzałem do niej podczas konferencji z bankierami na temat Vestige Technologies. Nagle poczułem lęk człowieka, który odkrywa, że stał się dorosły, bo czas tak szybko minął.

— Nikomu nie wolno ufać — powiedziała w roztargnieniu.

— Natychmiast z tym skończę.

Od naszego ostatniego spotkania minęła wieczność. Rybom wyrosły nogi, potem więc ryby wypełzły na brzeg i wynalazły silnik spalinowy, a Annie zhardziała. Zawsze wiedziałem, że ma w sobie twardość, ale sądziłem, że dominuje w niej uległość.

— Nie po to cztery lata udawałam zmarłą, żeby tak się to miało skończyć. To jego sprawka. Uderzył we mnie, w ciebie, Nat. W nas. Nie puścimy mu tego płazem. Tym razem powstrzymam go raz na zawsze.

— Nie przejmuję się tą raną. — Chwyciłem się za bok. — Zagoi się. To nic w porównaniu ze złamanym sercem. Pamiętasz nasze rozmowy? Nie musisz się babrać w tym błocie. Rzuć to wszystko. Dawniej umieliśmy uciekać od problemów.

Wypaliłem jej to prosto z mostu. Dawniej też nie miałem przed nią tajemnic. Wspierając, działałem na nią mobilizująco. Podeszła, znów się zmieniła na twarzy, tym razem złagodniała.

— Kiedy się dowiesz, co przeszłam, zobaczysz, że nie mamy wyboru.

49.

— Nadal mnie kochasz? — zapytała niemal szeptem.

Spojrzałem jej w oczy i przełknąłem ślinę. Nie sądziłem, że czeka na odpowiedź, ale przyglądała mi się niemal badawczo.

— Oczywiście.

— Bo chcę ci wyznać coś bardzo osobistego. Ale nie mów nikomu. To największa tajemnica.

— Większa niż moja, kiedy wyznałem ci, że wstawiłem znaki interpunkcyjne we wszystkich dziełach Faulknera w bibliotece w moim ogólniaku?

Roześmiała się.

— Annie, gdzie jest Erin?

— Nic jej nie jest. Trzymamy ją w bezpiecznym miejscu.

— Wy, czyli kto? Gdzie ona jest?

— Zakochałeś się w niej?

— Nie, Annie. Błagam, tylko mi powiedz, gdzie ona jest.

— Uwierz mi, że nic jej nie jest. Już tu do nas jedzie. Zaufaj mi choć przez chwilę.

Pociągnęła mnie za sobą do domu, dalekiego od mojej wizji słonecznego parku z klaszczącymi wiewiórkami, który wyobraziłem sobie jako scenerię naszego spotkania po rozłące. Dom

był cały z prefabrykatów. Annie posadziła mnie na kanapie, po czym wypaliła ni z tego, ni z owego.

— We Francji znacznie łatwiej o samotność, niż można by sądzić z przewodników.

Do czarnych spodni włożyła starannie dobraną białą bluzkę. Nawet w tych okolicznościach wyglądała jak sekretarz generalny snobistycznego Klubu Kobiet. Zamknęła drzwi na zamek i wyjrzała przez szparę w zasłonie na podjazd przed domem, po czym dokładnie ją zaciągnęła. Wyszła do kuchni, skąd dobiegł mnie szcęk garnków i szum wody. Przekrzykiwała te hałasy.

— Tam spędziłam pierwsze dwa lata po wypadku. W wiejskiej chacie na północy kraju, tuż pod granicą z Luksemburgiem.

— Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Jak mogłaś utrzymywać mnie w przekonaniu, że nie żyjesz? Leżałaś w śpiączce?

Westchnęła.

— Błagam cię, Nat. Przeciwczyłam tę mowę do ciebie tysiąc razy i dwa razy ułożyłam ją sobie od nowa. Mam nadzieję, że sprostam teraz sytuacji. Cała sprawa do tej pory jest bardzo niejasna nawet dla mnie.

Pokiwałam głową. Westchnęła.

— Przesiadywałam na fotelu bujanym pod oknem wychodzącym na mały sad z jabłonią. Żeby do ciebie nie dzwonić, liczyłam jabłka. Kiedy straciłam rachubę albo nie mogłam sobie przypomnieć, czy policzyłam dane jabłko, zaczynałam od nowa. — W jej głosie brzmiał cynizm, który raptem zamienił się w smutek. — Takie odosobnienie, taki strach i samotność są gorsze niż więzienie. Gorsze niż śmierć. Człowiek przestaje być człowiekiem. Traci sens życia.

Weszła do pokoju z misą ze stali nierdzewnej.

— Znienawidziłam kalendarze. A wiesz dlaczego? Bo trzeba czekać cały miesiąc, żeby przewrócić stronę. Miałam poczucie,

że czas stoi w miejscu. W kuchni w tamtym domu wisiał kalendarz z deserami, od których leci ślinka, takimi jak czekoladowa fosa. W sierpniu były lody waniliowe z gęstym sosem wiśniowym przypominającym krew. Odbierałam go jak szyderstwo. Nie potrafiłam znieść myśli, że mogę przewracać stronę nie częściej niż co trzydzieści dni.

Usiadła naprzeciwko mnie na dębowym stoliku do kawy.

— Sfingowałam własną śmierć i ukryłam się.

Zanurzyła gorący ręcznik w parującej misie z wodą. Odsunęłam koszulę, wstrzymałam oddech, a ona przyłożyła mi do rany ręcznik.

— Kiedy skoczyłam z łodzi, naprawdę sądziłam, że zginę. Woda była lodowata, bezdenna, wokół ciemności. Przepłynęłam pod łodzią. Zostałam tam sobie maskę i mały zestaw butlowy ze sprężonym powietrzem.

— Butlę nurkową?

— Powietrza wystarczyło mi na dziesięć minut. Pouczono mnie, żebym wciągnęła powietrze z gwinta i płynęła. Wciągnij powietrze i płyn. Słyszałam twój głos. Staralam się go nie słyszeć. Gdybyście mnie znaleźli, zamierzałam ściągnąć maskę i butlę i powiedzieć, że wypadłam za burtę. Ale nikt mnie nie zobaczył. Przepłynęłam zgodnie z planem dwadzieścia metrów do boi rybackiej. Przedtem tak zaprogramowaliśmy autopilota, że skierował łódź w pobliże tej boi. Trzy metry pod powierzchnią do łańcucha boi przymocowano butlę nurkową obciążoną ciężką kotwicą i płetwy.

Przypomniałem sobie tamtą scenę. Jej znajomi stali na pokładzie i krzyczeli. Ja miotałem się gorączkowo w wodzie. Jak bardzo za nią tęskniłem?

— Annie, to jakiś obłąd. Piekielnie trudno mi sobie wyobrazić ciebie w takiej akcji, a co dopiero uwierzyć, że przeprowadziłaś ją skutecznie.

Oddychała głęboko. Wystawiałem na próbę jej cierpliwość.

— Miałam pomoc. Przez miesiąc szkolłam się u prywatnego instruktora i nauczyciela medytacji. Brałam betablokery. I dostałam prawdziwą pomoc od policjanta.

Wstała, przeciągnęła się, usiadła na kanapie obok mnie. Przyłożyła mi dłoń do rany.

— Pomógł mi Edward.

— Velarde? Sierżant Velarde?

Teraz ona się zdumiała.

— Tak. A skąd ty...

— Czy on nadal pracuje dla ciebie?

Pokręciła głową. Uchowaj Boże!

— Dla nich.

— Dla Dave'a Elliotta? Dla twojego taty?

Pokiwała głową.

— Nat, proszę cię, daj mi skończyć. Wszystko zrozumiesz.

Od tak dawna czekam, żeby ci to powiedzieć.

Potem więc pływała wokół boi, aż wdrapała się ukradkiem na pokład łodzi inspektora Velardego. Gdyby ktoś ich tam nakrył, wyrzuciliby sprzęt i twierdzili, że on ją znalazł i ocucił.

W ciągu tych kilku lat po śmierci Annie pogodziłem się z myślą, że miała w sobie więcej żyłki rywalizacji i żarliwości, niż zapamiętałem ze wspólnie spędzonych chwil. Ale historia usłyszana teraz przekraczała moje wyobrażenie.

— Niemożliwe — zaprzeczyłem stanowczo. — To do ciebie niepodobne.

Spojrzała w ogień na kominku, jak gdyby płonął milion kilometrów od nas.

— Naprawdę nie rozumiesz, jaka stawka wchodziła w grę.

50.

— Wyobrażasz sobie, co by mi zrobili w więzieniu? — zapytała.

Świdrowałem ją wzrokiem na wylot.

Annie sfingowała własną śmierć i zaszyła się we Francji. Powinienem był rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości na jej korzyść. I rozstrzygnąłem. Ale musiało istnieć jakieś logiczne uzasadnienie, dlaczego mnie zostawiła.

I jeszcze jedno. Obecna Annie różniła się trochę od dawnej. Nie umiałem uchwycić, na czym polega różnica. Obecna wydała mi się bardziej wyrachowana.

— Teraz chciałbym, żebyś mi wyjaśniła, dlaczego mnie zostawiłaś.

Moja ciekawość i uraza wzięły górę nad bólem fizycznym. Ledwo czułem płomień promieniujący mi z pleców i z boku.

— Pamiętasz, że tata powierzył mi zarząd Vestige Technologies? Powstawało tam oprogramowanie komputerowe używane przez duże spółki do organizacji i sprawowania kontroli we wszelkich działach, takich jak zarządzanie personelem, sprzedaż oraz śledzenie produktów.

— I z tego powodu przekreśliłaś nasze wspólne życie.

Spojrzała mi w oczy.

— Firma miała ogromny potencjał. Inwestycje Kindle'a włożyły w tę spółkę osiemdziesiąt pięć milionów jedynie w ramach wstępnej inwestycji.

Niebagatelna suma. Wszystko rozegrało się w samym środku bańki internetowej, po czym cena akcji nowo startujących spółek potężnie spadła. Ale suma osiemdziesiąt pięć milionów dolarów brzmiała nadzwyczaj poważnie i oznaczała, że założyciele spółki wierzą w swoją pewną strategię. Zapewne obiecywali sobie albo swoim partnerom z ograniczoną odpowiedzialnością, że wprowadzą firmę na giełdę i dostaną zwrot kasy z pięciokrotnym przebicciem. Glenn Kindle nie należał do ludzi, którzy inwestują, nie licząc na solidny zysk.

Annie stała przy kuchennym stole i zaciągała suwak walizki, do której włożyła poskładane bluzki. Oparła na niej ręce, jak gdyby wygłaszała przemówienie do udziałowców.

— Kilku konkurentów ścigało się, żeby wejść na giełdę. Musieliśmy ich przegonić. Było to dla mnie nie lada wyzwanie. Mieliśmy szansę wygrać na większą skalę, niż ojciec wyobrażał sobie w najśmielszych marzeniach.

Przymknęła oczy.

— Sfalszowałam księgi. Nie tylko podretuszowałam nasze wyniki, ale mocno podkolorowałam, żeby wskazywały na znacznie lepszą kondycję naszej firmy niż w rzeczywistości.

— Nie wierzę. Dopuściłaś się oszustwa? Sfalszowałaś księgi?

— Nie tylko nasze.

Coś w niej pękło. Dawniej też mi się zwierzała, licząc na moją wyrozumiałość, ale teraz mówiła z oddalenia, jak gdyby chciała mieć już tę rozmowę za sobą. W czasach naszego związku też nie bardzo lubiła, jak ktoś jej się sprzeciwiał.

Podobno jakiś rywal zagrażał Vestige, bo miał szansę pierwszy

wejść na rynki publiczne. Ta spółka, podobnie jak wszystkie firmy informatyczne, zatrudniała ludzi w oszalałym tempie. Jeden z nowych nabytków dokonanych przez zarząd owej konkurencyjnej spółki był szpicem Vestige. Szpicel wysłał przecieki do prasy oraz do Komisji Papierów Wartościowych i Giełd z sugestią, że jego rzekomy pracodawca pomniejsza dochód, ujmując w wykazach sprzedaży mgliste obietnice przyszłych zamówień.

— To było brudne zagranie czasów hossy informatycznej, o jakich nie czytuje się w prasie — powiedziała. — Inwestorzy wysokiego ryzyka wymieniali między sobą ciosy, a z prasy dowiadaliśmy się, że biją w najpotężniejszych gwarantów takich jak Goldman Sachs i Morgan Stanley. Chociaż nie od razu, bo na początku wszystko szło jak po maśle. Ale kiedy zanosilo się na spowolnienie gospodarcze, nikt z nas nie chciał przegapić szansy wejścia na giełdę. Wszyscy grali nieczysto, ale my bardziej.

Glenn Kindle postanowił wynająć szpiega.

Udało się, niestety, zdaniem Annie, aż za bardzo. Gazety szukały przykładów przeinwestowanych przedsiębiorstw, żeby dowiedzieć, że to kolejna tulipomania. Podobnie jak Komisja Papierów Wartościowych i Giełd. Konkurencja opóźniła swoją publiczną ofertę i stała się jęczyzkiem u wagi rynku, której szala w czerwcu 2001 roku przechyliła się w dół. Ten rozpaczliwy manewr pociągnął za sobą drobiazgowy nadzór nad całym rynkiem, a zwłaszcza nad firmami z sektora Vestige.

— I sami się na tym wyłożyliśmy.

Mówiąc to, uśmiechnęła się krzywo.



Wstałem, podszedłem do okna. Rozchyliłem zasłony. Na pustym parkingu stał tylko mój eksplorator, wysłużony niebieski

busik volkswagena i duży amerykański samochód. Zaryzykowałem i roześmiałem się.

— Ktoś ma przechlapane.

— Kto? O co chodzi?

Milczałem, żeby zyskać na czasie. Wyglądałem przez okno.

— Co się dzieje, Nat?

— Frajer zatrzasnął sobie kluczyki w oldsmobile'u. Albo próbuje go ukraść.

Zmrużyła oczy i podeszła do okna. Zastąpiłem jej drogę, porwałem ją w objęcia, przytrzymałem. Chciała się wywinąć, ale uległa.

— Och, Nat.

Wyrwała się jednak z moich ramion i podeszła do okna. Nic tam nie było widać. Powiedziałem jej, że facet zabrał coś z siedzenia auta i odszedł. Złapała kluczyki i portfel.

— Zaraz wracam.

Otworzyłem jej walizkę. Bluzki, kosmetyczka, nic ciekawego. Poza kieszeńią boczną, w której leżała kartka papieru. Kwit na wynajem barki mieszkalnej „Małpa”. Zacumowanej na miejscu 47, na przystani w zatoce Callville, na jeziorze Mead. Ledwo zdążyłem zamknąć walizkę.

— Jak on wyglądał? — zapytała.

Wzruszyłem ramionami.

— Chyba coś przede mną ukrywasz. Cała ta historia w ogóle do ciebie nie pasuje. Wydaje mi się, że kogoś chronisz, może tatę. Nie rozumiem tylko, po co miałabyś to robić teraz. Odupść sobie. Nawet nie mówię już o nas, ale o tobie.

— Nathanielu, uwierz, że potrzebna mi jest teraz bratnia dusza. Bardziej niż kiedykolwiek. Musisz uzbroić się w cierpliwość i jeszcze przez chwilę mi zaufać.

— Mam ci zaufać, skoro wszystkie twoje opowieści prowokują tylko do kolejnych pytań.

Zaczerpnęła głęboko tchu, przyjmując na siebie cios.

— Tłumaczyłam ci, że udziały wymknęły się nam spod kontroli.

Obawiałem się, czy zaraz nie zamilknie.

— Opowiedz — poprosiłem, bezradnie wyciągając przed siebie dłonie.

Tuż przed załamaniem rynku Vestige przyciągnęło nową liczbę potężnych inwestorów. Włożyli jeszcze sto milionów w ich firmę. Kierowali się tymi sfałszowanymi prognozami i obietnicą, że firma niebawem trafi na giełdę. I wtedy cały sektor, ich firma oraz rynek zaczęły lecieć w dół. Prognozy nie wypaliły. Inwestorzy zorientowali się w sytuacji.

— Poinformowaliśmy ich, że wali się cały rynek nowych technologii — powiedziała. — Taki sam los spotkał setki firm, w tym tak ogromne jak Cisco i Intel.

Mogło to wyglądać na upadek kolejnej firmy internetowej, z tą różnicą, że Glenn Kindle był głównym inwestorem, jednym z założycieli Doliny Krzemowej, jednym z najbardziej szanowanych inwestorów w przedsiębiorstwa o zwiększonym ryzyku. Jego majątek wyceniano niemal na miliard dolarów.

— W kawiarni Starbucks podszedł do mojego ojca pewien człowiek.

— Ale kto?

— Jakiś bankier inwestycyjny. Prowadził interesy z Vestige i podejrzewał nieczystą grę. Zagroził, że zgłosi nadużycie do prasy i na policję.

— Szantaż.

Pokiwała głową.

— Zawsze nienawidziłam sieci Starbucks.

Z przejścia nie zauważyłem wcześniej jej miny. Na jej twarzy malowała się porażka, zacięcie ustąpiło. Z bankierki inwestycyjnej zamieniła się w zwyczajną młodą kobietę.

— Czyli za wszystkim stał twój ojciec. To on kazał ci sfałszować księgi.

Poczułem, że muszę bronić Annie przed ojcem. Przybrałem rolę wybawiciela. Ona jednak wstała, odsunęła się ode mnie.

— Nie, zrobiłam to na własną rękę — zaprzeczyła. — Nie widzisz, do czego jestem zdolna? Jeszcze się nie zorientowałeś? Nie wierzę.

— O czym ty mówisz?

— Ojciec kazał mi nie podnosić zarobków w Vestige — powiedziała.

Rozmowa się rwała, ale nie dawałem za wygraną.

Powiedziała, że jej ojciec w skrytości zrozumiał, czego się dopuściła. Wiedział, że może to pociągnąć za sobą poważne skutki prawne. Nie bał się o sprawę w sądzie ani o więzienie, bo jego wyszukane inwestycje w firmę chroniły go przed prokuratorem i wymiarem sprawiedliwości, tyle że najwyraźniej nie uchroniły przed szantażystą, który zażądał pięćdziesięciu milionów dolarów. Ojciec zląkł się o swoją reputację i o córkę.

— Odezwał się w nim ojcowski instynkt. I to we wszystkich postaciach: dobrej, złej i paranoicznej. Chciał mnie ochronić. Ale uznał, że jeśli zapłaci okup, będzie mnie trzymał w garści. Bo zwiąże nas ze sobą na zawsze mój dług wdzięczności.

— Czyli zapłacił — podsumowałem oschłym tonem.

— Tyle że wtedy sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej.



Patrząc na nią, zorientowałem się, że przygryzam sobie policzek. Obmacałem sobie bok. Rana przestała boleć. Annie założyła sobie kosmyk włosów za ucho. Kiedyś uwielbiałem ten jej gest. Westchnęła.

— Dave zagroził bankierowi inwestycyjnemu.

— Dave Elliott.

Pokiwała głową.

— Zagroził, że go zabije?



— W pewnym sensie gorzej. Zebrał teczkę na tego bankiera.

Facet miał swoje mroczne tajemnice, nic wielkiego. Ot, drobiazgi, które niszczą rodziny. Dave zabrał nawet syna tego bankiera spod szkoły, żeby pokazać facetowi, do czego jest zdolny.

Przymknąłem oczy.

— Na wieść o tej akcji dostałam szału. Błagałam go, żeby dał spokój.

— Ojciec wiedział?

— Wątpię. Chociaż jest twardy, nie odważyłby się na coś takiego.

— Odważyłby? Mówisz, jak gdyby chodziło o...

— Mianował Dave'a swoim barbarzyńcą. Mordercą w garniturze.

Według niej Dave uważał, że wysłał tylko bankierowi przestrożę — możemy ci uprzykrzyć życie. Uważał to za formę negocjacji. Bankier zgodził się na sto tysięcy dolarów.

— Psie pieniądze — skwitowała Annie. Podeszła, znów wzięła mnie za rękę. Od niechcienia, jak gdyby mogła się mną pobawić, nie przerywając rozmowy. — Problem jednak nie zniknął. Komisja Papierów Wartościowych i Giełd oraz urząd skarbowy zamierzały to sprawdzić. Gdyby dobrze pogrzebali, poznaliby rozmiary problemu. Nie byłoby tak łatwo zniszczyć Partnerów Inwestycyjnych Kindle'a. Na wszelki wypadek zadaliśmy, żeby nie wszczęto sprawy.

Zamilkła. Dopiero po chwili dodała:

— Główna podejrzana zginęła w tragicznym wypadku na łodzi.

Gdyby te słowa padły z ust jej ojca, z pewnością zabrzmiałyby jak przechwałka. W ustach Annie trąciły smutkiem, a nawet rezygnacją.

— Nie miałam wyjścia, musiałam zniknąć. Gdyby organy państwa przyłapały nas na oszukiwaniu inwestorów, załatwieniu rywala, a następnie porwaniu dziecka, żeby to zatuszować, zostałabym sztandarową postacią bańki internetowej. Znikłabym na zawsze, a ty...

— Co ja?

— Przekonałbyś się, jaka jestem podła.

Poraziła mnie ta myśl. Nie pomyślałem sobie, jaka ona biedna. Nie czułem litości, a jedynie radość, że w końcu sprawa wyszła na jaw. Gdzie łyżki skruchy przy relacjonowaniu swojego wielkiego oszustwa? Może powinienem był pocieszyć Annie, lecz potrafiłem jedynie patrzeć na nią w milczeniu.

— Co to za bankier groził tobie i twojemu ojcu?

Wzięła torbę podróżną, którą przed chwilą spakowała. Czyżby się dokądś wybierała?

— Simon Anderson.



Od blisko dziesięciu godzin nie czułem bólu głowy wywołanego wybuchem w kawiarni. I właśnie wrócił. Przytrzymałem się fotela, żeby nie stracić równowagi.

— Annie... nie mów, że chciałaś zabić... — Odzyskałem głos, lecz nie czułem emocji. Byłem wyprany z uczuć. Moja alchemia niosła spustoszenie i utratę przerywane skołowaniem z domieszką, mimo wszystko, nadziei. — Co robiłaś w kawiarni podczas wybuchu?

Położyła rękę na mojej.

— Domyśliłaś się, co oni robią — podpowiadałem. — Usiłowałaś ich zatrzymać, ale było za późno. Błagam, powiedz, że

nie wiedziałaś, że wszyscy zginą. I te szczury. Przecież kochasz zwierzęta, nawet gryzonie. Nigdy nie zdecydowałabyś się na takie eksperymenty.

Chrząknęła.

— Za wszystkim stał mój ojciec i jeszcze raz ojciec. Wiem, że musiałabym długo tłumaczyć. Pracujemy za kulisami, żeby wszystko naprawić.

My.

Jak na zawołanie rozległo się pukanie do drzwi i czyjś głos, właściwie krzyk, jakby przez zaciśnięte zęby:

— Tara, to ja.

— Już idę, Cindy — odpowiedziała Annie. — Już idę.

Puściła moją rękę. Nie poszedłem za nią. Jej rewelacje dosłownie mnie sparaliżowały. W drzwiach stanęła biała anielica.

— Tara, twój czas minął. Musisz już iść.

51.

Anielice nie latają. Jeżdżą vanami.

Kiedy drzwi się otworzyły, poznałem jej twarz. Blond anielica, kobieta z włosami związanymi w koczek i pistoletem, którym przerwała moje tortury i wystraszyła dwóch potężnych policjantów. Teraz była w dżinsach i w skórzanej kurtce.

— Za trzy godziny konferencja — poinformowała Annie.

Annie spojrzała w moją stronę.

— Nathanielu, poznałeś Cynthię. Nazywa mnie Tarą ze względów konspiracyjnych — wyjaśniła. — Cynthia pracuje u mnie. Jest moją asystentką, przyjaciółką, menedżerką i ochroniarzem. Dzięki niej mogę żyć bardzo, ale to bardzo bezpiecznie. Kiedy nie mogę być gdzieś sama, zamienia się w moje oczy i uszy.

— Jest też fotografem — dopowiedziałem. — W kawiarni, prawda?

Cynthia nie potwierdziła. Ale przypomniałem sobie, że widziałem ją po wybuchu w kawiarni. Przyłapałem ją, kiedy trochę nazbyt gorliwie robiła mi zdjęcie. Twierdziła, że jest dziennikarką pracującą na własny rachunek.

— Żółwiku, gdzie jest laptop?

Laptop Andy'ego. Wyraźnie prosiła, żebym go przywiózł.

— Był w jego samochodzie — powiedziała blond anielica. —
Przełożyłam go do vana.

Cynthia otworzyła kluczykiem samochód, którym przyjechałam, i wyjęła laptop. Najwyraźniej nie byłem tu panem sytuacji. Spojrzałem na nią wilkiem.

Annie uniosła do Cynthii rękę w geście oznaczającym — poczekaj.

— Daj nam chwilę.

Podeszła do drzwi, ale Cynthia przytrzymała je i spytała:

— A tamta?

Annie spojrzała na mnie, potem na Cynthię.

— Przeprowadź ją.



Kiedy Annie odwróciła się i popatrzyła mi w twarz, zrozumiałem, gdzie ją wcześniej widziałem. Na komisariacie. Jej zdjęcie pokazał mi porucznik Aravelo. Ziarniste, niewyraźne zdjęcie blondynki.

— Mają twoje zdjęcie — powiedziałem.

— Co?

— Zjawiałaś się w kawiarni, żeby wszystkich uratować. Przejrzałaś zamiary ojca i Elliotta, i postanowiłaś je udaremnić. Ale przyjechałaś za późno i mogłaś ocalić tylko mnie. Tak się to rozegrało? Chętnie poznałbym teraz prawdę.

Znów byłem w rozterce. Tym razem z dużo poważniejszego powodu niż zmęczenie, choroba podłapana przez laptop albo nawet niepewność co do pobudek Annie. Moje domysły graniczyły z pewnością. Zwietrzyłem zdradę na całej linii. Nie wykluczałem, że Annie zamieniła się w czarny charakter.

Upuściła torbę podróżną na podłogę. Złożyła ręce w geście,

jakim prosi się dziecko, żeby przestało rozrabiać w szkole.

— Nat, musisz tu zostać. I musisz mi zaufać. Mam pewien plan. Kiedy ujawnię prawdę, zdekonspiruję ojca i wszystko naprawię.

W jednej sekundzie zmieniła mi się optyka. Uznałem, że Annie nie jest niczemu winna. Że walczy z demonami i z rodzonym ojcem, dlatego jest jej potrzebna moja pomoc. Cokolwiek zrobiła, kocha mnie i potrzebuje. Sednem problemu był Glenn. Zmęczenie mąciło mi klarowność myślenia.

— Jadę z tobą. Wybierasz się na spotkanie z ojcem, prawda? Konfrontacja nastąpi w Las Vegas.

Pokręciła głową.

— Nie możemy ryzykować. Musisz tu zostać.

Wpatrywałem się w jej twarz.

— Spójrz, co on mi zrobił. I nam obojgu. Ja też mam z nim swoje porachunki.

— Rozumiem, Nat, co czujesz. Lepiej, niż przypuszczasz. Wiem, co ja dla ciebie znacę. Co znaczy dla ciebie nasz związek. Rozumiem, że chcesz mnie chronić. Ale on mnie nie skrzywdzi.

Objęła mnie w pasie.

— Zabierz ręce — powiedziałem nieoczekiwanie dla samego siebie.

— Poczekaj tu na mnie.

Musnęła mnie ustami w policzek. Tak jak na naszej pierwszej randce. Kiedy siedzieliśmy razem w meksykańskiej restauracji i opowiedziałem Annie swoje życie, przytuliła się, pocałowała mnie i powiedziała:

— Właśnie ciebie szukałam.

Zmięknęłam jak wosk.

Cofnęła rękę. Otworzyła drzwi. Już miałem pójść za nią, ale zobaczyłem, kto powitał nas w drzwiach. Erin. Związana i z opaską na oczach.



Patrzyłem na nią bez słowa.

— Chwała Bogu — wykrztusiłem wreszcie.

— Nat?

Odwróciła się w moją stronę. Annie również. Emocje w moim głosie chyba zaskoczyły je obie. Tylko Cynthia pozostała niewzruszona. Stała za Erin, zupełnie opanowana. Odwróciłem się do Annie.

— Jadę z tobą. Już cię nie puszcę samej.

W odpowiedzi na moją deklarację Annie spojrzała na Cynthię i potrząsnęła głową.

— Za duże ryzyko. To dla twojego bezpieczeństwa — powiedziała Annie i przekrzywiła głowę w stronę Erin. — Dla jej bezpieczeństwa. I dla mojego. Już sama nie wiem, komu mogę zaufać.

Cynthia pokiwała głową. Uniosła pistolet. Nie mierzyła właściwie w Erin, ale też nie całkiem w bok. Annie minęła je i ruszyła do vana. Cynthia poszła pierwsza, wepchnęła Erin do budynku.

— Jadę z Annie — oznajmiłem.

Blond anielica zmrużyła oczy.

— Nie zastrzelisz mnie — powiedziałem.

— Proszę cię, Nathanielu, daj spokój — poprosiła Annie.

Postąpiłem krok naprzód. Nic mnie nie mogło powstrzymać.

Sądziłem, że nic, dopóki nie usłyszałem sprzeciwu z nieoczekiwanej strony.

— Błagam, Nathanielu, nie zostawiaj mnie tu samej — poprosiła Erin.

52.

Nie mogłem uwierzyć, że oto patrzę, jak Annie Kindle odchodzi z mojego życia. Patrzyłem jednak lub raczej słuchałem. Przymknąłem oczy i usłyszałem, jak zamyka drzwi, a potem otwiera drzwi samochodu. Silnik zakręcił się, załapał, z rykiem obudził się do życia.

Dźwięki odbierałem dosłownie namacalnie. Szczupłymi palcami chwyciła kierownicę i skręciła do Las Vegas. Tyle że palce nie należały do niej. Po otwarciu oczu zobaczyłem, że za rękę trzyma mnie Erin. Masowała mi delikatnie skórę między kciukiem a palcem wskazującym.

Znalazła mnie mimo opaski na oczach. Uchyliłem ją teraz. Zamrugła. Była zmęczona i zaniedbana, miała siniec wokół oka. Rozejrzała się.

— Nic mi nie jest — zapewniłem ją bez przekonania. — A tobie?

Przestała mi masować rękę, uściśnęła.

— Domyślam się, że to była Annie.



Nogi miała związane mocną nylonową liną, która wrzynała się Erin w lewisy, jak gdyby próbowała się uwolnić. Mogła chodzić, ale tylko drobnymi kroczkami.

Lewe oko miała czarne, opuchnięte i z trudem uchylała powiekę. Drugie — czerwone, przekrwione ze zmęczenia albo od łez. Delikatnie dotknęła oka w miejscu uderzenia, włożyła palec w gąbczaste ciało. Skrzywiła się.

Cynthia przyglądała nam się w milczeniu, po chwili zlustrowała otwartą przestrzeń — od drzwi prowadzących do łazienki i sypialni po jadalnię i kuchnię, a potem wróciła spojrzaniem do Erin i do mnie, kanapy i krzesel, stolika do kawy i kominka.

— Siadaj — rzuciła.

Pchnęła Erin lufą pistoletu. Erin zamarła, a Cynthia szturchnęła mocniej. Stać ją było na straszne okrucieństwo — ale czy także wobec mnie. Czy zabiła kogoś, sprawując ochronę? Jeżeli tak, nie zdołam jej unieszkodliwić, dopóki trzyma pistolet, w każdym razie nie zdążyłbym uwolnić Erin i siebie. Wezbrał we mnie gniew, zryw pchający do walki lub ucieczki, wzmocniony przez mój pokręcony nowy zestaw środków neurochemicznych. Cynthia zapewne nie posłucha, kiedy przemówię jej do rozsądku. Może uda mi się ją wziąć na wdzięk.

— Hej, która ma ochotę na blackjacka? Za dwie godziny moglibyśmy być w Las Vegas. Befszytk ja stawiam.

— Ona tu zaraz wróci — powiedziała Cynthia. — Do tego czasu nikt się stąd nie rusza. Koniec dyskusji.

Podreptała w drugi koniec salonu, żeby usiąść. Rozejrzałem się za telefonem. Nawet jeśli nie zdążę nic powiedzieć, 911 zlokalizuje sygnał alarmowy i ktoś się tu zjawi. Ale co wtedy? Czy na zawsze stracę szansę, żeby złapać Annie? Poza tym nigdzie nie widziałem telefonu. Poszedłem do kuchni.

Popatrzyłem na siebie z boku. Biedny z wyboru, nieszczęśliwy w miłości, fajtlapa w doborze ubrań, rzadko uprawiający

sport, naiwny wobec kota, skory do podejmowania decyzji budzących rozczarowanie lub wręcz zdumienie rodziny. I nigdy nie wysadziłem żadnego mostu. Co tu gadać, żaden bohater. Za to bardzo chciałem zostać własnością bohaterki.

— Szukam szklanki, bo chcę się napić wody — powiedziałem, otwierając szafkę. — Ciekawe, czy mienisz się giermkówną?

Cynthia nie odpowiedziała.

— Nie mylić z giermkim. Zastanawiam się, czy nazwa twojego stanowiska ma swoją żeńską odmianę.

Puściłem wodę. Rozejrzałem się po blacie, nie wiedząc, czego właściwie szukam. Noża?

— Zabiłaś tamtych obu policjantów? — spytałem. — Chcesz wody, Erin?

— Chętnie.

— Zawdzięczam ci życie.

Nie dawała się wciągnąć. Zapytałem, dlaczego zrobiła mi zdjęcie przed kawiarnią. Nie odpowiedziała. Otworzyłem szafkę, żeby wziąć drugą szklankę, i wtedy mnie oświeciło. Truskawkowy odświeżacz powietrza w rozpylaczu. Drzwi szafki zostawiłem otwarte, żeby Cynthia go nie zauważyła. Wyjąłem i postawiłem szklankę oraz puszkę odświeżacza zasłoniętą teraz przez blat.

— Z lodem?



— Gdzie schowałaś ciała? — zapytałem, nalewając Erin wodę i stawiając na blacie. Podszedłem do lodówki, nacisnąłem dźwignię automatu do kostek lodu. Zerknąłem w prawo. Na blacie leżały dwie książki kucharskie, stały solniczka, pieprzniczka i jeszcze jeden przedmiot, który błysnęła w słońcu.

Zielona zapalniczka.

— Nie wyobrażam sobie, jak udało ci się przenieść Velardego. To był potężny facet.

— Chyba jako dziennikarz nieźle irytujesz ludzi.

Roześmiałem się.

— Mam obtartą nogę — poskarżyła się Erin.

Porwałem zapalniczkę.

— Muszę obejrzeć — powiedziałem. — Połóż się i podciągnij nogawkę.

— Daj spokój.

Cynthia się poruszyła.

— Cztery lata studiowałem medycynę — przypomniałem, siłąc się na niedbały ton. — Mam prawo rzucić okiem na pacjenta, a potem zedrzyć z niego skórę.

Cynthia patrzyła, jak Erin się kładzie. Rozpiąłem sobie dwa górne guziki w dżinsach i wsunąłem za pasek puszkę odświeżacza, po czym wyciągnąłem koszulę na wierzch.

Postawiłem szklanki z wodą na tacy i zaniósłem do salonu, usiłując zasłaniać odświeżacz w spodniach.

Postawiłem tacę, usiadłem przy Erin. Patrzyła na mnie, jakby mi odbiło. Pochwyciłem jej wzrok. Zmrużyłem oczy i zacisnąłem zęby. Niemy alfabet Morse'a.

Obmacałem łydkę tam, gdzie lina wrzynała jej się przez dżinsy w ciało. Spodnie się przetarły, skóra była obtarta, lecz nienaruszona.

— Musi ją zbadać dyplomowany lekarz.

— Już niedługo — obiecała Cynthia.

— Sprawa jest poważna. Wdało się zakażenie. Z czymś takim nie ma żartów.

Cynthia podeszła do nas ostrożnie z bronią w rękę. Podniosła pistolet i stanęła o krok ode mnie, nachyliła się nad Erin.

— Odłóż go, aniele.

— Kto?

Spojrzała na mnie.

Patrzyła na lufę mojej naprędce skleconej broni. Odświeżacz powietrza kilka centymetrów nad płomieniem zapalniczki.

— Odlóż broń — powiedziałem. — Zachowaj, proszę, rozsądek. Dobrze wiesz, że nie mam wyboru, muszę działać.

Wtem Cynthia się roześmiała.

— Daj spokój.

Pociągnąłem za spust w puszcze rozpylacza. Buchnął płomień. Ale Cynthia bez trudu przekreśliła głowę, uchylając się od ognia, i niemal jednym ruchem machnęła pistoletem, przekierowała zatem płomień w stronę kanapy, a jednocześnie wytrąciła mi samopał z ręki.

— I taki to ze mnie bohater — skwitowałem.



Zaraz jednak zrozumieliśmy, że mój samopał nie okazał się tak całkiem nieskuteczny. Oparcie kanapy zajęło się ogniem. Erin odczołgała się na bok. Cynthia westchnęła. Staliśmy zapatrzeni w niesamowitą scenę. Nagle kątem oka zobaczyłem, że błysnął metal. Erin chwyciła garnek, którego używała Annie, żeby mi przemyć rany, i rzuciła go w głowę Cynthii.

Nasza zdumiona ciemężycielka zachwiała się, odwróciła do Erin, podniosła pistolet. Skoczyłem. Powaliłem Cynthię na ziemię, kiedy pociągała za spust. Oddała trzy strzały na oślep. Jedną ręką zasłoniła głowę, żeby uniknąć kolejnego ciosu ze strony Erin, drugą usiłowała złapać pistolet, który jej wyrwałem. Po chwili anielica została obezwładniona.

Zdjęliśmy linę z nóg Erin i związaliśmy Cynthii ręce na plecach. Przyłożyliśmy jej worek z lodem. W końcu znalazłem telefon, wykręciłem 911 i zdjąłem słuchawkę z widełek.

53.

— Wylize się — stwierdziłem na głos. — Może ma wstrząśnienie mózgu, a może nie. Nie powinno ją za bardzo boleć.

Jechaliśmy główną drogą do Las Vegas.

— Pieprzenie. Nie musimy się usprawiedliwiać. Każdy zna swoje granice wytrzymałości. Mamy prawo się bronić i bronić naszych bliskich. Mogła... mogliśmy tam zginąć.

W ciągu ostatnich dwóch dni odbyłem walkę wręcz w korporacyjnej kancelarii adwokackiej i podpałem kobietę. Miałem nadzieję, że Erin nic się nie stało. Powodował mną instynkt samozachowawczy. W głębi duszy jednak podejrzewałem, że w grę wchodzi co innego. Czyżby ktoś tak przypiekl mi chemię mózgu, że zaszczepił w nim żądzę krwi? I podlane adrenaliną przekonanie, że mogę przeprowadzić skuteczny atak?

Uśmiechnąłem się na myśl o swojej walce z Cynthią i Erin zadającej krytyczny cios.

— Co cię tak śmieszy?

— Czy tamtego ciosu, który zadałaś Cynthii, nauczyłaś się w zespole tanecznym? Dla mnie to jest społecznie dopuszczalny cios karate.

■ ■ ■

Przy wyjeździe z miasta zajechałem do sklepu 7-Eleven. Zapłaciłem gotówką za telefon komórkowy w pudełku i kartę doładowań. Zadzwoniłem do Byczego Oka, który odebrał po czterech dzwonekach. W tle słyszałem brzęki i gwizdy dochodzące z kasyna. Dał mi Mike'a do telefonu.

— Laptop dokąś jedzie. Muszę wiedzieć dokąd.



Rozłączyłem się i poprosiłem Erin, żeby opowiedziała mi, jak minęła jej ostatnia doba.

Czekała, aż zrobią mi akupunkturę, kiedy zjawili się dwóch gliniarzy. Nie wiedziała, czy powinna wpaść w panikę, bo przyszli ją aresztować. Jeden od razu ją chwycił — wysoki, postawny, śniady. Velarde. Wyrwała mu się i próbowała uciekać.

— Wymachiwał pałką. Spodziewałam się, że mnie zaraz zdzieli. Zamarłam. Nie miałam jak uciec — powiedziała. — Obudziłam się na podłodze w drzwiach.

Ocknęła się ze związanymi rękami. Siedziała przy niej Cynthia. Obiecała jej pomoc i podała środek uspokajający. Kiedy Erin obudziła się ponownie, związana i spocona, jechała vanem.

Fizycznie dochodziła do siebie, ale powinien ją obejrzeć lekarz. Chociaż nie wpadła w letarg ani nie doznała zaburzeń mowy, bałem się, że przeszła wstrząśnienie mózgu. Poza tym noga wymagała opatrzenia. Może wystarczyłoby dobrze przełożyć, podać zastrzyk przeciwwężcowy i antybiotyki, ale trzeba sprawdzić.

— Przepraszam cię, Erin.

Prędkościomierz wskazywał sto czterdzieści kilometrów. Erin położyła mi rękę na boku, na opatrunku.

— Jak to wyglądało?

— Jak dostałem przyciskiem do papieru?

— Ktoś cię uderzył?

Pokiwałem głową.

— Mnie chodziło o coś innego. Co czułeś przy ponownym spotkaniu Annie.

Nie od razu odpowiedziałem. Musiałem zamrużyć, żeby powstrzymać łzy.

— Jeszcze sam nie wiem.

— Nie widzę was razem — powiedziała cicho. — Czy coś mnie omija? — Pytanie uznałem za retoryczne. — A z tobą co się działo?

Potarłem sobie opatrunek.

— Mniej więcej to samo co z Andym.

Opowiedziałem jej o Wellerze, Velardem, igłach do akupunktury, ocaleniu przez Cynthię, starciu z Dave'em Elliottem. O Byczym Oku i usłudze Mike'a, która polegała między innymi na zainstalowaniu GPS-u w laptopie Andy'ego. Wyjawiłem jej swoją teorię, że ten komputer dlatego jest obiektem tak powszechnego zainteresowania, że zawiera program eksperymentalny, który potencjalnie niesie ogromne zagrożenie.

— Nie, Nathanielu, to niemożliwe. Błagam, nie wmawiaj mi, że dlatego zabili Andy'ego. Powiedz, że mieli jakiś powód.



Trzydzieści kilometrów do przed Las Vegas zadzwoniłem do Byczego Oka i do Mike'a.

— Hotel Bellagio — odezwał się Mike. — Będziesz się obracał w dobrym towarzystwie.

— Jest tam Glenn Kindle?

— W recepcji czekają Andre Latzke i Helen Douglass.

Oboje byli dyrektorami, jedno Zaawansowanych Urządzeń Chipowych, drugie Korporacji Drukarek Sackerda, dwóch największych firm nowoczesnej technologii na świecie.

- Możesz teraz śledzić ich kroki?
— Jasne — odpowiedział. — Ciekawe, co sprowadza takie koronowane głowy do zwykłego parku rozrywki?



Po pięciu minutach dostałem częściową odpowiedź na pytanie Mike'a. Dojeżdżając do miasta, zobaczyłem ogromny plakat reklamowy. „Stowarzyszenie Przemysłu Telekomunikacyjnego — 20—25 lipca. Centrum Konferencyjne Sands. Podłącz się!”.

Nie wyjaśniało to zbiegu okoliczności, dlaczego znaleźli się akurat w Bellagio.

Zadzwoił telefon. Mike poinformował mnie, że znajduje się wraz z Byczym Okiem na piętnastym piętrze hotelu.

— Twoi przyjaciele czekają w pokoju numer tysiąc pięćset czterdzieści cztery.



Po chwili wjechałem na Strip. Zaparkowałem pod hotelem Bellagio, znalazłem Bycze Oko i Mike'a w holu przy wejściu. Grali w sudoku.

— Jaki macie plan? — spytał Bycze Oko, nie podnosząc głowy.

— Tysiąc pięćset czterdzieści cztery. Zgodnie z zasadami konspiracji. Tak zdobywam odpowiedzi.

I Annie.

Poprosiłem Bycze Oko, żeby zajął się Erin i zaprowadził ją do ambulatorium, jeżeli znajduje się na terenie hotelu. Poleciłem, żeby nie używała własnego nazwiska. Niech powie, że zgubiła dokumenty. Nie sądziłem, że gliny jej szukają, ale nie miałem pewności.

— A jeżeli... — powiedziała i urwała. — Gniew to zły doradca. Uważaj.

Mój gniew czy ich gniew? Czy może jej? Położyła mi rękę na ramieniu, jak gdyby chciała, żebym zwolnił tempo. Wziąłem od Mike'a długopis, zapisałem nazwę i położenie barki mieszkalnej znalezionej w walizce Annie. „Małpa”, przystań w zatoce Callville. Złożyłem kartkę na pół i wetknąłem Erin do ręki. Pochyliłem się nad nią, starając się zachować spokój.

— Gdyby stało się coś złego, odzyskaj tę barkę — poprosiłem.

Wzdrygnęła się.

— Mike, czy nadal możesz wytropić nasz laptop?

Pokiwał głową.

— W hotelu mogę, w kasynie nie bardzo. Te urządzenia w kasynie nie działają. Inne zresztą też nie. Za dużo jest tam zakłóceń.

Sięgnął do torby podróżnej.

— Zamieniłem baterie w laptopie na miniaturowy GPS. Jak go włączą, zorientują się, że mają kłopot. Komputer trzeba włączyć do prądu, żeby zaczął działać. Ale i wtedy nadaje w promieniu nawet do dziesięciu metrów. Przyda ci się.

Wręczył mi kabel elektryczny i zasilacz. Żadne cudo. Najzwyklejsza przetwornica dla amatorów.



Pod drzwiami pokoju 1544 nie dostrzegłem nic nadzwyczajnego. Zapukałem. Nikt nie otworzył, ale drzwi były uchylone. Dopiero wtedy usłyszałem czyjś głos.

— Otwarte, Ira.

— Ja do państwa Kindle — powiedziałem i otworzyłem drzwi na oścież.

Rzuciwszy okiem, starałem się nie pokazać po sobie zaskoczenia. Mój real stał się wirtuałem.

54.

Miałem przed sobą salon. Z lewej strony znajdowała się półokrągła kanapa, naprzeciwko płaski telewizor na ścianie. W bliższym prawym rogu barek z ladą. Pośrodku z prawej stół konferencyjny, a wokół niego najważniejszy wyróżnik tego pokoju — towarzystwo. Dwoje najbardziej wpływowych menedżerów najnowszych technologii na świecie: Andre Latzke i Helen Douglass. Mnie jednak najbardziej interesowały osoby u szczytu stołu. Z przodu, przedzieleni stołem, siedzieli naprzeciwko siebie córka i ojciec, Annie i Glenn Kindle. Ponieważ znajdowałem się w kasynie, zaryzykowałem. Przerwałem dwie sekundy niezręcznego milczenia i odezwałem się do Annie.

— Przywiozłem pozostałe dane GNet.

— Bardzo nie w porę — odezwał się w końcu Glenn.

Wszystkie oczy zwróciły się na mnie. Byłem w oplakanym stanie.

— Przepraszam, panie Kindle, za spóźnienie. I przepraszam... że przychodzę w takim stanie. Miałem wypadek samochodowy. Ktoś wjechał mi w kufer na światłach. Muszę się oduczyć handlować na giełdzie za kierownicą.

Glenn wstał, podszedł, przez chwilę patrzył na mnie z najwyższym zdumieniem.

— Nathaniel pomógł nam przy badaniach — wyjaśniła Annie, opanowana i pełna szacunku. Czy pracowała na rzecz ojca? Czy byli skłócenii?

Glenn zwrócił się do pozostałych.

— Czy mogę państwa na chwilę przeprosić? Muszę zamienić słowo z Tarą na osobności. — Uśmiechnął się. Picus-głancuś. — Wiem, że brudy powinno się wyprać przed przyjęciem gości.

Helen Douglass zachichotała.

W tym środowisku Annie używała imienia Tara.

Delikatnie wytknęła ojcu niedopatrzenie.

— I zostawimy naszych gości samych?

Glenn zacisnął zęby. Gdybym nie znał Annie tak dobrze, nie wychyliłbym jej ukrytej przestrogi, że może lepiej nie zostawić mnie z tym towarzystwem, bo a nuż się czegoś dowiem. Najwyraźniej nikt z dyrektorów nie dostrzegał napięcia iskrzącego między ojcem a córką. Albo ja nie dostrzegałem ich współpracy.

— Masz rację — mruknął Glenn.

Latke miał bujne, kręcone włosy i silne ręce. Sprawiał wrażenie człowieka, który przyjmuje na siebie przywódczą rolę. Spojrzał na zegarek.

— Jak myślisz, gdzie jest Ira?

Zmusił się do uśmiechu. Dobrzy menedżerowie nigdy nie okazują publicznie uczuć.

Douglass wychyliła się przez stół.

— Wracajmy do rzeczy.

Usiadłem na kanapie. Niewiele wiedziałem o tych dwóch dyrektorach. Przypomniałem sobie, że Douglass uchodziła za menedżerkę bardziej charyzmatyczną niż merytoryczną, co

często wykpiwała jako seksistowski komentarz. Latzke był wytrawnym handlowcem. Wierzył w swoją firmę z religijną żarliwością. Nie mogłem uwierzyć, że którekolwiek z nich jest zamieszane w niedawne ciemne sprawy, w każdym razie świadomie. Musiało tu chodzić o coś innego.

— Kiedy wygłaszasz referat? — spytał Glenn panią Douglass.

— Jutro rano — odpowiedziała, wyraźnie jednak znudzona tematem. — Warto by przyspieszyć.

Glenn wciągnął głęboko powietrze.

— Nie zaczekalibyśmy na Irę?

— Moglibyśmy tak czekać do północy — odparł Latzke i znów się uśmiechnął.

Przed Douglass leżała kartka papieru zabazgrana notatkami. Przemawiając, co chwila do niej zaglądała.

— Zacznę od podsumowania, bo przegapiłam konferencję w Taos.

Zdumiał mnie jej ton, całkiem opanowany. Ci dyrektorzy są zimni jak lód. Zrozumiałem, że nikt z nich nie zna rozmiarów huraganu, który nawiedził rodzinę Kindle i ich wypieszczone przedsięwzięcie.

Annie siedziała ze spuszczoną głową. Wysyłała SMS z telefonu. Kiedy poczuła mój wzrok na sobie, podniosła oczy, uśmiechnęła się. Czyżby pisała do mnie? Ale nie miałem przy sobie jej supertajnego telefonu szpiegowskiego.

— Impulsy klawiszowe i reklama — zwrócił się Latzke do Douglass.

— Zgadza się — powiedział Glenn, przezwyciężając wahanie. Odzyskał spokój i znów zapanował nad rozmową. Był ubrany w czarną koszulkę polo z krótkimi rękawami i uosabiał kalifornijski luz.

— Opracowaliśmy dwa sposoby zwiększenia interakcji

między człowiekiem a komputerem. Jeden to impulsy klawiszowe — ciągnął Glenn. — Przy zastosowaniu tej metody dajemy ludziom nieuchwytnie poczucie, kiedy dotykają klawiszy. Przez klawiaturę dostają wstrząs wprost do ośrodka przyjemności w układzie nerwowym. Ma on formę impulsu elektrycznego. Przy każdym dotknięciu klawisza następuje wstrząs, na każdy klik jeden wstrząs. Służy wzmocnieniu zwykłych emocji przy otrzymywaniu bądź wysyłaniu e-maili lub pobieraniu informacji inną drogą. Różne warianty tej samej zasady znajdują zastosowanie w telefonach komórkowych i innych urządzeniach. Przerwał.

— Podkreści to przymus klikania i wpatrywania się w monitor.

— Ja już jestem nieźle uzależniona. — Douglass zachichotała, ale spoważniała. — Czy coś takiego naprawdę zadziała?

— W pewnym sensie już działa — odparł Glenn. — Konsole do gier wideo mają wibrujące kontrolki, kiedy gracz strzela albo ktoś przypuszcza atak na jego ekranowego bohatera. Jak wspominałem, nasze telefony wibrują, żebyśmy zwrócili na nie uwagę. To tylko kwestia dopracowania techniki. Neurologia też się rozwija, podsuwa nam więc mapę, jak dawać ludziom podczas korzystania z klawiatury pozytywne odczucia porównywalne z niewielką dawką kofeiny.

Uprzejmie odczekawszy chwilę, Glenn ciągnął wywód:

— Zatem wszystkie doznania związane z użytkowaniem komputera ulegają wzmocnieniu. Komputery pobudzają i angażują nasze zmysły. Następuje więc chipów z mózgiem.

Użytkownicy domagają się wciąż więcej, bo sprawia im to nie lada przyjemność. W rezultacie użytkownicy otrzymają z korzystania z komputera ekstazę równą przyjemności wyniesionej z czystego doznania fizycznego. Bo też jest to w istocie doznanie fizyczne. Słowem, oni dostają takie doznania, a my

bezprecedensowo wierną klientelę. Proszę pamiętać, że istotą zarabiania na Internecie nie jest przyciągnięcie jak największej liczby oczu. Taki model biznesowy padł przy pierwszym załamaniu rynku. Sęk w tym, żeby przytrzymać ludzi przy komputerze, zapewniając im bardzo intensywne, interaktywne doznanie.

— Ale w jakim celu, Glenn? — spytała Douglass. — Czy ten model biznesowy jest bardziej wyrafinowany?

W pokoju zapanowało ożywienie. Chociaż nienawidziłem Glenna i przerażały mnie jego potajemne knowania, jednocześnie podziwiałem jego smykałkę do handlu. To był jego katalog SkyMall, a on, zachwalając go, przedzierzgnął się w złotoustego, kapitalistycznego kaznodzieję.

— Świetne pytanie. Przynosi różne bardzo korzystne możliwości — odpowiedział. — Przede wszystkim ta technika okaże się świętym Graalem reklamy. Stworzymy grono użytkowników bez reszty oddanych sprawie. Już i tak komputery oraz telewizja bardzo nas kuszą. Mocno nas pobudzają poprzez światło i dźwięk. Teraz znacznie podniesiemy tę intensywność. Ludzie z wielką przyjemnością będą oglądać nasz produkt. Nie będą mogli się oderwać od przekazywanych wiadomości. Politycznych, komercyjnych, co kto woli. Będziemy im sprzedawali oprogramowanie, połączenia internetowe z szybkim transferem danych, produkty konsumenckie.

— To mi zakrawa na inżynierię dusz — powiedziała Douglass.

Odpowiedź na ten komentarz padła jakby z bardzo daleka.

— Ale nie będzie to sztuka dla sztuki, Helen. Mamy rok dwutysięczny szósty, nie tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty. — Wszystkie głowy odwróciły się w stronę Annie, która powiedziała te słowa. — Chcemy czuć się podłączeni. Tęsknimy za prawdziwymi doznaniem.

Natychmiast targnął mną wewnętrzny konflikt. Choć jej słowa miały swoją moc, nie potrafiłem już traktować jej poważnie.

— Jak wiecie, Tara zrobiła badania i pomogła opracować tę technologię — przerwał Glenn córce, po czym odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. — Ale to oczywiście nie jest model biznesowy.

— Oczywiście — zawtórowała mu, znów ulegle. — Bo model biznesowy ma niesamowite zastosowania. I niesamowitą efektywność. Zauważmy, że ludzie nauczyli się oczekiwać w Internecie darmowych informacji. Chcą dostawać za darmo wiadomości, sport, filmy i muzykę. Zatem w przyszłości odbiorcy przestaną płacić za informację pieniędzmi, będą natomiast płacili uwagą.

Annie przerwała swój wywód. Wzięła ze stołu butelkę wody. Popijając, spojrzała w moją stronę. Dojrzałem w jej oczach błysk. Przypomniało mi się, jak kiedyś podczas zabawy z psem pocałowała go w nos. W takich chwilach była od niej niezmaczona czułość w najczystszej postaci. Kim była ta zimna osoba, którą teraz miałem przed sobą? Czyżby grała? Kto się na tym pozna? Wydawało mi się, że ją również bawi ta gra.

Odstawiła butelkę, wróciła do wykładu.

— Pominąwszy metodę impulsów klawiszowych, doskonalimy wykorzystanie reklamy podprogowej polegającej na wmontowywaniu obrazów w tło stron internetowych, obrazów megaszybkich i megaintensywnych. Taką właśnie metodę zastosował Hitchcock w swoich filmach, ale dopiero my ją zrewolucjonizujemy. Skupimy się na wysoce osobistym przekazie. Dlatego, że po nawykach surfowania w Internecie poznajemy dokładne zainteresowania naszych użytkowników. Narciarzom wstrzelimy reklamy turystyczne z Aspen, osobom z zamiłowaniem do gotowania pokażemy grill George'a Foremana.

— Brzmi podejrzenie — skomentowała Douglass. — A co na to Federalna Komisja do spraw Komunikacji? Nie chcemy podzielić losu przemysłu tytoniowego.

— Reklama podprogowa to chyba niefortunna nazwa — rzekł Glenn. — Pod względem technicznym taka reklama nie narusza prawa państwowego. Ale zastanówcie się, co my tu rozważamy na wzmocnione tło. Może użytkownicy udzielą nam nawet zgody na puszczenie dyskretnych bloków reklam — migających, niewidocznych błysków zindywidualizowanego przekazu — w zamian oczywiście za darmowe usługi. Ponadto dowiedzimy, że technika pozwala nam się komunikować bardziej skutecznie niż kiedykolwiek dzięki żywym, zindywidualizowanym przekazom przesyłanym przez komputer, telefon lub inne przenośne urządzenia.

— I usługom lokalizacyjnym — dodał Latzke.

— Otóż to — podchwycił Glenn. — GPS w telefonach komórkowych pozwala nawiązać kontakt z ludźmi nie tylko na podstawie tego, kim są, lecz również gdzie są. Przekazujemy im informacje na temat pobliskich restauracji, imprez kulturalnych i tym podobnych. Nie będą mogli się rozłączyć, lecz też nie będą chcieli.

Zarówno ojciec, jak i córka nie mówili jedynie o stworzeniu pewnej technologii. Kreowali swoisty narkotyk.

— Metoda przekazu wtopionego w tło może również pociągnąć za sobą tworzenie żywszych dźwięków, kolorów i innych bodźców komputerowych — ciągnął ów podstępny venture kapitalista. — Na tym etapie pokładamy wszelkie nadzieje w rozwoju i dopracowaniu techniki oraz utrzymaniu kanałów komunikacji z wami, żeby móc przejść do następnego etapu, kiedy wszyscy będziemy gotowi.

— Naprawdę wierzysz, że to się uda? — spytała Helen.

Tu znów wkroczyła Annie.

— Jestem pewna. Jak wspominaliśmy wcześniej, od ponad pięciu lat opracowuję tę technikę.

Od pięciu lat. Zakasłałem, żeby nie krzyknąć ze zdziwienia. Latzke odchrząknęła i przemówił:

— To nie tak długo.

— Społeczeństwo jest w pół drogi do celu — dodał entuzjastycznie Glenn. — Gry wideo, przymusowy telefon, Internet, e-maile. Już teraz godzimy się na kakofonię stymulacji. Non stop, przez okrągłą dobę, bombardują nas dane w niewiarygodnym tempie. Kiedy ta kanonada ustaje, ludzie czują nudę. Czeka ją na silniejszą dawkę.

Latzke spojrział na Douglassa.

— Wyszukiwarki już podsuwają wysoce targetowane reklamy, w zależności od miejsca pobytu, gustów i innych parametrów użytkowników. Jest to finisz zindywidualizowanego marketingu przeznaczonego dla całkowicie zniewolonej publiczności.

— To już jest nałóg — przerwał czyjś głos.

Ze zdziwieniem uprzytomniłem sobie, że ten głos należy do mnie. Zaraz jednak wszystkie głowy znów odwróciły się do Glenna.

— Niezależnie od metody musimy przekształcić wszechobecne urządzenia cyfrowe w najpotężniejszy system łączności znany ludziom. Wciąż w Dolinie Krzemowej słyszymy o kolejnym wielkim wynalazku. To jest właśnie ten wynalazek. Przeżucie was nie myli. To nieuchronna przyszłość człowieka podłączonego do komputera. Pomyślcie, że damy użytkownikom poczucie, jakiego doznaje się w kasynie. Próbujemy stworzyć środowisko, które ludzie bezwzględnie pokochają.

I które da im niesłychanego kopa.

Przerwała mu Annie.

— W każdym razie chcieliśmy — podsumowała i dodała cicho: — Ale mamy problem.

Padły chłodne słowa wypowiedziane zimnym tonem. Twarde i pewne siebie jak lód. Podobnie jak komentarz Glenna.

— Niekoniecznie.

Nie wrócili jednak do rozmowy, bo rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

— Rothsberger! — zaanonsował głęboki, gardłowy głos z korytarza.

— W końcu przyszedł Ira — powiedział spokojnie Latzke.

Wszedł grubas o wielu podbródkach, czyli Ira Rothsberger, dyrektor generalny jednej z największych wyszukiwarek internetowych na świecie.

— Nie mogłem przerwać rozmowy telefonicznej z „USA Today” — ogłosił tubalnie głosem człowieka przyzwyczajonego do ustawicznych przeprosin. Potoczył wzrokiem po pokoju. — Czyżbym się spóźnił na pogrzeb? — Przerwał. — Cholera. Pewno rozmawialiście o Edzie. Słyszałem, że popełnił samobójstwo. Jezu, koszmarna tragedia.

Ed Gaverson, kolega Glenna Kindle'a i menedżer nowych technologii, którego śmierć uznano za samobójstwo.

— Zastrzelił się z dubeltówki, prawda? — upewnił się Rothsberger. — Tragiczny koniec.

— Zmagał się z depresją — powiedziała Douglass. Na chwilę zapadło milczenie.

— Chyba będziemy musieli na dzisiaj przerwać.

Wszystkie oczy zwróciły się na Glenna, który nachylał się do Annie, jak gdyby szeptał jej do ucha.

— Chryste Panie! — Rothsberger westchnął. Należał do dyrektorów tak wielkiego formatu, że jego brak poprawności politycznej wydawał się ożywczy, a w każdym razie nie można mu się było przeciwstawić.

— Bardzo przepraszam. Mieliśmy pewne kłopoty techniczne. Musimy je usunąć, zanim ośmielimy się zajmować państwu czas — oznajmił Glenn. — Możemy spotkać się ponownie w grudniu na Targach Elektroniki Stosowanej.

Latzke wstał. Annie też. Przerwała brzemienne ciszę.

— Nie możesz tak rozpuścić tych ludzi. Bo jeszcze się w coś wpakują.

— Błagam cię.

— O czym ona mówi?

— W co wpakują?

— Absolutnie nie ma powodów do obaw — zapewnił Glenn.

— Słynne ostatnie słowa przed śmiercią — powiedział Rothsberger.

Latzke znów usiadł.

Glenn westchnął ze zniecierpliwieniem. Nie uważał za stosowne dzielić się tragedią minionych dni ze swoim kierownictwem.

— Jak wiecie, badaliśmy metody rozwoju reklamy. Wykonaliśmy bardzo skuteczne testy laboratoryjne, w których uczestniczyli płatni ochotnicy. Potwierdzili nam tylko ogromną skuteczność tej metody — powiedział Glenn. — Postanowiliśmy zatem przejść do badań terenowych.

- I co dalej?
- Chwileczkę, Andre — wtrącił Rothsberger. — Chciałbym mieć jasność. Czy nadal mówimy o podkreśnianiu komputera, żeby użytkownicy mieli prawdziwie interaktywne doznania. Żeby doświadczali doznań fizycznych w prawdziwie wirtualnym świecie.
- Owszem — potwierdził Glenn, po czym odchrząknął i ściszył głos. — Niektóre z badań terenowych prowadziliśmy w kawiarni Sunshine.
- Gdzie ona się znajduje?
- To ta kawiarnia, która wybuchła w San Francisco.
- Po zebranych przeszedł dreszcz. Dyrektorzy patrzyli po sobie, zastanawiali się. Co to mogło oznaczać?
- Ale co to ma wspólnego z nami? — spytał Rothsberger.
- To straszliwy zbieg okoliczności — wtrącił Latzke. — Straszliwy.
- Otóż to — ucieszył się Glenn. — Nie ma powodów do obaw.



Zapadła cisza, toteż dokonałem w myślach podsumowania rozmowy w stylu bryków, jakie czytywałem w serwisie Cliff's Notes. Obecni na sali dyrektorzy tylko mgliście rozumieli to, w co wierzyli lub chcieli wierzyć, mianowicie że jest to nowatorski, lecz nieszkodliwy sposób uatrakcyjnienia komputerów. Glenn chyba podzielał taki punkt widzenia. Ale zawsze trudno go było przeniknąć. A już najtrudniejsza do rozgryzienia była Annie. Nie mogłem dopuścić, żeby ta chwila minęła i nie przyniosła żadnych rozstrzygnięć.

- Nie zapominajcie o szczurach.
Wszystkie oczy znów zwróciły się na mnie.

- Truskawkowe Laboratorium.
- Nie wiem, o czym on mówi — rzucił prędko Glenn. Pokręcił głową. Zamrugał. Na jego twarzy odmalowało się szczere zdziwienie.
- O czym on mówi? — spytał Rothsberger.
- Nie mam zielonego pojęcia, Ira — odparł Glenn i spojrzął na mnie. — Chyba już powinieneś iść.
- Spojrzałem na Annie. Odwróciła wzrok.
- Testy na zwierzętach?
- Douglass pokręciła głową, a potem wzruszyła ramionami.
- Nic o tym nie wiedziałem — wtrącił Latzke. — Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. W razie czego zapewnię o tym udziałowców.
- Annie wyciągnęła ręce, dłońmi do dołu. Uciszyła tym gestem zebranych. Glenn przebiegł prawą ręką po włosach, przyklepując je na skroniach.
- Pozwólcie, że wyjaśnię — powiedziała Annie.
- Siadaj, Annie.
- Annie? — ktoś zapytał.
- Tara.
- Spojrzała na ojca. Następnie uniosła ręce w geście poddania się, ustąpiła mu miejsca, usiadła.
- Jak już apelowałem, może przerwijmy na dzisiaj — powtórzył Glenn. — Macie naprawdę większe zmartwienia.
- To prawda. Musimy działać w pełnej przejrzystości. Musimy znać swoją sytuację. Wiecie, jakie są media. Z rozkoszą podchwycą nawet najdalsze powiązanie między nami a wybuchem w kawiarni.
- Te słowa wypowiedziała Douglass.
- Po za tym, do cholery, jesteśmy ciekawi — wtrącił Latzke. — Czy prowadzono jeszcze jakieś badania, o których nie wiemy?

— Zapewniam was, że nie — odparł Glenn. — Znacie mnie od lat. Wiecie, jak pracuję. Nie rozdmuchujemy niepotrzebnie sprawy.

— Dziwnie to nazywasz.

— Jesteś zupełnie pewien, Glenn?

— Mogło się rzeczywiście zdarzyć — powiedziała Annie ledwie słyszalnym głosem — że mieliśmy jakieś powiązania z nieuprawnionymi badaniami.

— Chwileczkę — przerwał jej Glenn. — Nic nie wiem...

— Daj jej skończyć.

— Nie mogliśmy polegać wyłącznie na danych od uczestników, którzy zgodzili się poddać badaniom, nawet jeżeli nie byli pewni, czemu mają one służyć. Jak powiedział Glenn, wszyscy uznaliśmy, że następnym krokiem są badania terenowe. Osobiście wdrożyłam plan ojca w czyn.

— Nieprawda — sprzeciwił się Glenn.

— Przeprowadziliśmy anonimowe badania — ciągnęła Annie. Mówiła ustępliwym, skruszonym tonem zastępcy dowódcy, na którego spada obowiązek poinformowania podwładnych, że zostali wystawieni na niebezpieczeństwo. — Wybraliśmy grupę zagorzałych użytkowników Internetu i na jednych przebadaliśmy metodę impulsów klawiszowych, a metodę podprogową na innych. Mieliśmy nadzieję ustalić ich zachowanie i nawyki surfowania zarejestrowane przez komputery, na których zainstalowaliśmy oprogramowanie...

— Rozumiem, że osoby badane podpisały zgodę. Jeżeli ktoś nam cokolwiek zarzuci, możemy wytoczyć wam sprawę — przerwał jej Latzke, rozkręcony. Już słyszałem, jak radcy prawni jego firmy rozmawiają z mediami.

— Jest coś jeszcze — powiedziała Annie. — Eksperymenty wymknęły się nam trochę spod kontroli. Kilka osób badanych zachorowało, najpierw odczuwali bóle głowy. Potem... aczkolwiek

pragnę podkreślić, że nie wykryliśmy jeszcze powiązania... jeden badany być może odebrał sobie życie.

Rothsberger rąbnął wielką dłonią w stół.

— Dość tego.

Douglass omal nie rzuciła się na Glenna.

— Oszalałeś. Mówimy tu o eksperymentach na ludziach wbrew ich woli, a wreszcie o ich śmierci. Rozumiesz, w jakim to nas stawia świetle? I co ryzykujemy?

— Helen, nie martw się o siebie — powiedział. — Jesteś odalona co najmniej na wyciągnięcie ręki od zastosowania tej technologii w codziennym życiu. Przysięgam, że o tym wszystkim nie wiedziałem. Sprawy przybrały nieoczekiwany obrót, zdarzył się wypadek. Najwyraźniej zawiodła metodologia, rozmiary eksperymentu. — Glenn urwał, po czym zwrócił się do Annie. — Jeżeli naprawdę zdarzyła się poważna wpadka, miałbym pewne podejrzenia co do tożsamości sabotażysty.

— Chyba nie mówisz poważnie — zaoponowała.

— Nie mam pojęcia, jak, dlaczego ani nawet czy pożar kawiarni w ogóle wiąże się z naszymi badaniami. Powtarzam, że to zbieg okoliczności — zapewnił błagalnym tonem swoich współpracowników.

Wydawało się, że mówi szczerze, ale ława przysięgłych już wydała werdykt. Im dłużej przemawiał, tym bardziej wydawał się winny. Annie przejęła pałeczkę.

— Dwa dni temu rozmawiałam z Edem Gaversonem. Czulałam się w obowiązku powiedzieć mu prawdę. Bardzo cierpiał.

Glenn spojrzął na Annie.

— Muszę zamienić z tobą słowo na osobności.

— Przykro mi, tato, ale musimy to wyjawić. Dlaczego nie powiesz wszystkim, co się stało z dowodami, które ujawniłyby nasz związek z tą kawiarnią?

Glenn wytrzeszczył oczy.

— Dość tego.

— Gdzie jest komputer, laptop, przez który zginął tamten nieszczęsny młody człowiek, a który mógł zniszczyć nas wszystkich? — spytała ojca. — Mógł zniszczyć reputację wszystkich zebranych tu menedżerów.

Glenn zamilkł. Nie odzywał się.

— Gdzie on jest? — spytał Latzke.

Annie schyliła się i podniosła torbę. Wyjęła z niej laptop.

— Wszystkich was to może obciążyć — powiedziała, trzymając komputer. — Zadałam sobie dużo trudu, żeby go odzyskać, kiedy zrozumiałam, w jakim Glenn postawił was wszystkich położeniu. Obciąża największych tytanów całego przemysłu nowych technologii. Mógłby stanowić dowód waszego powiązania z przypadkową śmiercią, ale sami wiecie, że ci szaleńcy nazwą to zabójstwem. Zapewniam was, że osobiście zadbam, żeby został zniszczony i nie trafił w niepowołane ręce.

W pokoju zapadła cisza, która z ogłuszającej przybrała postać atomowej.

Menedżerowie znów spojrzeli po sobie. Panika. Glenn rozdziawił usta, szczeka opadła mu do kolan. Annie spojrzała na mnie. Na jej twarzy wykwitł uśmiech, w którym czaiły się satysfakcja i złowrogość. Dopiero teraz połąpałem się, że w pełni panuje nad sytuacją i że nigdy tego panowania nie straciła.



Rozległo się szybkie pukanie do drzwi, które się otworzyły. Na dźwięk głosu mężczyzny wszyscy podskoczyli.

— Przepraszam, że przeszkadzam — rzekł — ale musimy przerwać obrady.

Wszedł mężczyzna o znajomym wyglądzie, posiniaczony na twarzy. Dave Elliott. Spojrzał na Annie, skinął głową. Wściekli, zdumieni menedżerowie wstali z miejsc. Glenn skoczył do Annie jak pantera.

56.

Dyrektorzy wybiegali w popłochu. Zostali tylko idioci. Zanim przemyślałem swój pierwszy ruch, ojciec już skoczył córce do gardła.

— Annie, co ty sobie myślisz? — Był sparaliżowany strachem. Ostrożnie podszedłem. — Co ty sobie myślisz? Co ty wygadujesz?

— Musieliśmy raz na zawsze wyłożyć kawę na ławę — odparowała.

Z laptopem w ręce ruszyła do drzwi.

— Coś ty zrobiła? — Ruszył za nią. — Wysadziłaś kawiarnię, żeby zniszczyć dowody.

Odwróciła się, spojrzała na niego buńczucznie.

— Daj mi spokój. Wiedziałeś, że wykonujesz badania nielegalnie.

Przybrał kamienną twarz, ale po chwili się uśmiechnął i powiedział:

— Nikt w to nie uwierzy. Zginiesz od własnej broni.

— I jak się teraz czujesz, tato?

— O czym ty mówisz? — zapytał, jakby nie dosłyszał.

— Wykiwany.

Glenn całkiem stracił panowanie nad sobą.

— Uważasz, że możesz szantażować tych ludzi? — Aż się zaszapał. — To już nie jest Vestige, Annie. Tam była tylko kłapa. Tu mamy do czynienia z profesjonalnym samobójstwem. Nie wolno palić za sobą mostów. A sam pomysł? Jeżeli wyjdzie na jaw, ja pójdę siedzieć, ty pójdziesz siedzieć, prasa będzie miała używanie, a potem, znasz ciąg dalszy, ktoś nas w tym prześcignie.

Wtedy przemówiłem i ja, dolewając oliwy do ognia.

— Nie zapominaj o drobnym szczególe w postaci zabójstwa i tortur.

Oboje spojrzeli na mnie, ale zaraz Annie zwróciła się do ojca ni to płacziwym, ni to oskarżycielskim tonem.

— Nie pękłoby ci serce, gdybyś zobaczył mnie w kajdanach? Przychodziłbyś na widzenia?

— Nawet nie wiesz, jak bardzo się na tobie zawiodłem, Annie.

— Nie wierzę — ucięła stanowczo. — Żeby odczuć zawód, musiałbyś być zdolny do jakichkolwiek uczuć.

Glenn spurpurowiał na twarzy. Podniósł rękę, trochę jak uczeń, który wrywa się do odpowiedzi, a jednocześnie wziął zamach, jakby chciał ją uderzyć. I wtedy na jego twarzy odmalowała się porażka. Rzuciłem się naprzód, przypomniawszy sobie, jak dawniej chciałem ją chronić.

— Annie, to ty jesteś w największych opałach. Nie rozumiesz, że znowu staniesz się *persona non grata*? Już zapomniałaś, jak to jest żyć w ukryciu, bez nikogo? Jeżeli to się wyda, taki cię czeka los. Odludzie. Samotnia, przy której wiejska chata we Francji będzie zakrawała na centrum handlowe w Los Angeles.

Annie przeszedł dreszcz. Teraz ojciec ją zmroził. Przypomniały mi się jej wcześniejsze słowa, że odosobnienie to dla niej śmierć.

Ruszyłem do akcji. Zastąpiłem jej drogę już przy drzwiach. Złapałem ją za rękę. Drugą, prawą, chwyciłem laptop.

— Żółwiku, to wariat. Wariat, w dodatku wewnętrznie pusty — powiedziała z tępą miną. — Muszę już iść.

— Proszę cię, powiedz mi prawdę. To wszystko twoja sprawka? Zlecałaś badania, tortury, wrobiłaś ojca? Pomóż mi to wszystko złożyć do kupy. Chciałbym odnaleźć w tobie dawną Annie, w której się zakochałem.

— I tak nie mieliśmy szans. — Westchnęła, wydała mi się daleka, oficjalna. — Za oszukiwanie się trzeba płacić. „Spalona ziemia”, matka wszystkich gier.

— Annie, co ty wygadujesz? Dlaczego nie mieliśmy szans?

Wyrwała mi się, nawet niezbyt gwałtownie, ale zdołała się oswobodzić. Nadal jednak ścisnąłem laptop.

Otworzyła drzwi.

Drogę zagroził jej osiłek. Usunął się, żeby mogła przejść. Ale kiedy ruszyłem za nią, wepchnął mnie z powrotem do pokoju. A kiedy wpadłem do środka, zatrzasnął za mną drzwi.



Dave zachichotał.

— Kompleks Elektry to mocna sprawa.

Glenn odwrócił się do niego.

— Ty również należysz do spisku. Razem z Annie, prawda? Wpakowaliście nas po uszy. Przenieśliście wszystko na inny poziom. Szczury? Groźne poziomy możliwości... Dobrze mówię?

— Definiujesz najnowszy krzyk techniki — uściślił Dave.

Glenn wskazał na mnie.

— A on? — spytał. — Co z nim?

— On nie piśnie słowa.

— Przysięgam — powiedziałem.

— Zaufaj mi, on nie pisnie słowa — powtórzył Dave. — Bo zorientuje się, że sam jest swoim najgorszym wrogiem.

Zanim podjąłem daremną próbę ominięcia osiłka, Dave zwrócił się do mnie.

— Wysłuchaj mnie do końca. W tej sytuacji nie ma przegranych.

Rozejrzałem się po pokoju. Ugryzłem się w policzek, żeby się skupić i odsunąć znajome pulsowanie pod czaszką. Trzymałem w ręku dużo kart. Do moich atutów nie należała jednak siła fizyczna. Co oni zrobią, żeby mnie tu zatrzymać albo powstrzymać? Zabiją mnie? A jeżeli w tej chwili nie ucieknę, czy odnajdę Annie? Czy dowiem się, co zrobiła, jakie miała zamiary?

Domyślałem się, dokąd teraz jedzie — na barkę „Małpa”. Żeby ją złapać, muszę działać szybko, ale nie tak szybko, żeby samemu się załatwić.

— Może nie tyle wysłuchaj mnie — sprostował Dave. — Wysłuchaj Sarah.

Sarah.

Wyjął mały cyfrowy odtwarzacz audio i włączył przyciskiem. Usłyszałem nagranie mojego głosu. Były to urywki wiadomości, które zostawiłem na sekretarce automatycznej Sarah.

— Nawiedzają mnie duchy.

Przerwa.

— Sarah, uważaj na siebie. Dzieje się coś niepokojącego. Sam jeszcze nie wiem co. Ale miej oczy otwarte.

— Boję się o ciebie, Nat — powiedziała Sarah. — Prawdę mówiąc, gadasz tak jakoś dziwnie.

— A to już wyjaśnię przed sądem — powiedziałem.

■ ■ ■

Dave zgasił odtwarzacz.

— Zabawa z RealAudio — powiedziałem.

— Wiesz, dlaczego nie zgłosisz na policję tego, co widziałeś lub słyszałeś albo ci się zdawało, że widzisz lub słyszysz? — spytał Dave. — Bo jesteś szalony. Nikt ci nie uwierzy. W branży mawiamy, że sam podważyłeś własną wiarygodność jako świadka.

Glenn usiadł. Spuścił głowę.

Dave zaczął wyliczać powody mojego braku wiarygodności albo potencjalnych plam na mojej reputacji. Wyszedłem cało z wybuchu w kawiarni, uczestniczyłem w pogrzebie Simona Andersona, znajdowałem się w jego domu, kiedy stanął w ogniu, byłem na miejscu podczas pożaru w Felton. Policja znalazła moje odciski palców, a w końcu odkryje moje włosy na ich dwóch nieżyjących braciach, Wellerze i Velardem. Zachowało się nagranie wideo z kamer nadzorujących, przedstawiające mnie, jak wychodzę ukradkiem z budynku, w którym pracował Dave, kiedy wezwał ochronę. I na dobitkę przypomniał mi, że nie mam sprzymierzeńców w szeregach policji.

— To pewne — dodał Dave. — I jeszcze pozostaje Vestige.

— Vestige?

Przypomniał mi wizytę pracowników skarbowki po śmierci Annie. Kryło się w niej coś więcej niż tylko rutynowa kontrola. Zaciśnąłem zęby i zwalczałem znajomy ból w czaszce, kiedy on przedstawiał swoją wersję zdarzeń. Kiedy byłem w Nowym Jorku, Annie zapomniała w naszym pokoju hotelowym teczkę z dokumentami. Jak dobry piesek, bo tak się wyraził, przyniosłem jej tę teczkę na zebranie. Po moim wyjściu Annie powiedziała bankierom, że zajmuję się dorywczo księgowością firmy. Moje nazwisko pojawiło się nawet w wykazach księgowych. Przyniesiona wówczas przeze mnie teczka zawierała jakieś rozdmuchane projekty, które przysporzyły firmie kłopotów z władzami.

— Kłamiesz! — krzyknąłem. — Łiesz jak pies!

— A ty zachowujesz się jak wariat. Irracjonalnie — odprowadzał Dave. — Spójrz na siebie.

— Dave, kilka prostych wyjaśnień obali ten twój domek z kart. Policja złoży wszystko razem. W myśl zasady brzytwy Okhama najprostsze wyjaśnienie brzmi, że jestem tylko dziennikarzem, który usiłuje obnażyć prawdę.

— Przykro mi, ziom. Ta zasada działa na moją korzyść. Zresztą, co w tym wypadku jest prawdą? Czy fakt, że komputery zabijają ludzi? Nic nie masz w garści. Ani jednego dowodu. Wszystko to twoje rojenia. Albo fakt, że Annie żyje? Jezu, koleś, cierpisz na stres pourazowy. Nikt inny jej nie widział. Ona zginęła. Przeżyłeś załamanie. Po tak straszliwym przeżyciu głowa odmówiła ci posłuszeństwa. Wyobrażasz sobie, że Annie zmartwychwstała albo że komputery zżerają nam mózgi.

Dave znów włączył nagranie mojej rozmowy telefonicznej z Sarah. Konkurując z nagraniem z odtwarzacza, wyjaśnił, że kilka dni wcześniej dostał e-maila od Sarah, w którym pisała mu, że się z nią skontaktowałem. Odpisał, że zgodnie z jego obawami nie pogodziłem się ze śmiercią Annie i teraz szukam kontaktu z jej dawnymi znajomymi. Dodał, że może trzeba będzie uzyskać zakaz mojego zbliżania się do Sarah i poprosił, żeby nagrała naszą rozmowę.

— Nathanielu, czy ty w ogóle wiesz, co się stało? — Nagle przybrał łagodny ton. — Byłeś bardzo zmęczony. Omal nie wyleciałeś w powietrze. Zachorowałeś. Trudno wtedy o skupienie, prawda? Nie mówimy tu o zasadnych wątpliwościach. Raczej w grę wchodzi pytanie, czy nie przeżyłeś epizodu psychotycznego.

Zamilkłem. Nie byłem wariatem, ale nie czułem się na siłach odeprzeć takiego ataku. Przynajmniej na razie. Kto jeszcze widział Annie? Erin jej nie widziała, bo miała opaskę na oczach. Tylko ja czytałem dziennik Andy'ego. Dowód w kawiarni

zniknął. Ale pozostały zbiegi okoliczności, na przykład to, że Velarde prowadził śledztwo w sprawie śmierci Annie, a zginął w San Francisco. Czy ta okoliczność działała na moją korzyść, czy przeciwko mnie?

— Erin potwierdzi moją wersję — zaprotestowałem cicho.
— Widziała to samo co ja. Była tam ze mną.

Kiedy Dave znów przemówił, czułem się, jakby w głowie pulsował mi jaskrawy neon.

— Boże, ty naprawdę nic nie rozumiesz. A kto, twoim zdaniem, wysadził kawiarnię?

57.

Złożyłem ręce i wcisnąłem pod brodę. W pokoju rozszedł się nowy zapach. Słodki, przypominający herbatę z hibiskusa. Poczulem go w przetyku. Odepchnąłem od siebie. W zwolnionym tempie podszedł do mnie Dave. Niemał uprzejmym ruchem zaczął mi odbierać laptop. Komputer już wysuwał mi się z rąk. Porażka.

— Cholera — powiedziałem.

— Nigdy nie wiadomo, komu można zaufać.

Szarpnąłem laptop. Puścił. Z kieszeni marynarki wyjął mały pistolet, z niewielką strzałką wystającą z lufy.

— Nie jestem zabójcą, lecz prawnikiem. Usypiam ludzi. — Wypuściłem laptop z rąk. — Świetnie. Wolę nie zostawiać żadnych śladów na twoim ciele.

Obmacał mi kieszenie. Powiedział, że chce się upewnić, czy nie mam żadnych urządzeń do nagrywania. Zabrał mi komórkę, po czym razem z Glennem wyniknął się z pokoju.



Chciałem dogonić Annie, ale nie miałem w sobie wystarczającej energii, żeby się ruszyć. Nie mogłem się na tyle skupić,

aby znaleźć zasadniczą rzecz — dowód. Co wiedziałem na pewno? Prezentacja dla dyrektorów była przejrzysta, konkretna, niepodważalna. Pracowano nad technikami manipulacyjnymi. Wszyscy zebrani o tym zaświadczą. Nietrudno będzie ich do tego skłonić. A może trudno? Bo jeżeli spisali mnie na straty jako czubka, czy mogą po prostu zlekceważyć mnie razem z moimi zarzutami? Czy klucz do wszystkiego znajduje się w komputerze Andy'ego? Czy nawet gdybym go miał, potrafiłbym zademonstrować, co zawiera? Czy zapiski w dzienniku Andy'ego przyniosą konkretne dowody? Stałem się sztandarowym przykładem paranoi. Wszystko inne — niebezpieczne oprogramowanie, Andy i Andersonowie — pozostawało tylko w sferze moich domysłów. A Erin? Jeżeli wynajęli ją Kindle'owie, to się jakoś wywinie. Czy się wyłoży, czy ktoś ją wrobił?

Rąbnąłem pięścią w kanapę. Wstałem i wybiegłem na korytarz.



Nie mogli uciec daleko. Wyszli najwyżej minutę, dwie przede mną. A co potem? Będę musiał improwizować. I liczyć na szczęście. I wierzyć, że Mike zrobił swoje, a nie oddał się grze w blackjacka.

Kiedy wysiadłem na parterze z windy, potoczyłem wzrokiem po przedwieczornym tłumie. Ranne ptaszki wracały do domów, nocne marki wciąż nadciągały. Usłyszałem czyjś podniesiony głos.

— Ej, koleś, nastąpiłeś mi na nogę.

Spojrzałem za gromadkę drabów w slipach. U szczytu wykwintnie zdobionych schodów stał Mike naprzeciwko Dave'a Elliotta i na niego krzyczał.

Za dużo tych zbiegów okoliczności. Widocznie Mike śledził

laptop. Grał na zwłokę. Schowałem się za parą tłuściochów pilnujących, żeby opłaciła im się oferta obiadu, na którym można dokładać sobie bez ograniczeń. Kiedy dotarłem do miejsca, w którym przed chwilą stał Dave, obaj już zeszli po schodach. Spojrzałem w dół. Dave, Glenn i ich ochroniarz puścili wolno Mike'a i szli teraz zdecydowanym krokiem w drugą stronę. Ochroniarz niósł laptop. Poszedłem za nim, resztką sił wyrwałem mu komputer, i w nogi.



Przede mną było wyjście na basen pod gołym niebem. Planowałem ucieczkę? Ale skąd! Nie mogłem pozwolić, żeby Dave wraz ze swoją bandą zdybał mnie samego. Skręciłem w prawo, kierując się znakami prowadzącymi do kasyna. Nadal biegłem, kiedy zorientowałem się, że zwrócił na mnie uwagę strażnik ochrony.

— Proszę zwolnić — zażądał.

Żadnych glin. Gliniarze tylko mnie oddała od Annie. I od dowodów.

Zwolniłem do truchtu, potem do szybkiego kroku. Obejrzałem się za siebie. Dave i Glenn szli kilka kroków za mną. Zobaczyłem, że ochroniarz skręca w lewo. Minąłem ogromne drzwi, spojrzałem do góry. Znajdowałem się w przepastnym kasynie. Światła, dzwonki, życie, namiętność, strach. Wmieszałem się w tłum, żeby w nim zniknąć.

Włączyłem się w grupę dwudziestu kilku facetów, rozwrzeszczanych uczestników wieczoru kawalerskiego. Wymknąłem się z drugiej strony wprost w hałaśliwe stadko podstarzałych kobiet w kowbojskich kapeluszach i obcisłych westernowych strojach. Minąłem stoły do blackjacka, skręciłem w stronę rzędu automatów do gry, obejrzałem się za siebie. Ani Dave'a, ani Glenna.

Zwolniłem, zaczerpnąłem głęboko tchu, otarłem się o automat do gry „Kryminalne zagadki Miami”, który ogłuszał dzwonekami i brzęczeniem. Łoskot rozsadzał mi czaszkę. Walczyłem o kolejny oddech.

Kiedy podniosłem znów wzrok, zobaczyłem, że mnie znalezione. Glenn i Dave schodzili z lewej, ochroniarz z prawej. Pochwyciłem spojrzenie Dave'a. Pokręcił głową z ulgą, a jednocześnie z politowaniem. Patrzyłem w światła i w lustra, czując, że tysiąc kamer obserwuje mnie z sufitu. Nagle wyostrzył mi się węch.

Poczułem, że dłoń zaciska mi się w pięść. Złapałem się za serce.

Upadłem na podłogę.

58.

Odpowiedź na pytanie numer 237 z teleturnieju medycznego — najlepszym miejscem na zawał serca poza szpitalem jest kasyno w Las Vegas. Potwierdzi wam to nawet epidemiolog. Wszystkich bez przerwy obserwują kamery, a właściciele wiedzą, że najgorszą rzeczą na świecie dla reputacji lokalu jest upadek człowieka na podłogę. W kasynach na całym Zachodzie ratownicy medyczni z defibrylatorem zjawiają się jako pierwsi.

Mnie jednak nie był potrzebny defibrylator ani ratownicy. Symulowałem.

Przybiegli w ciągu kilku sekund. Dwaj mężczyźni i kobieta w białych koszulach, otoczyli mnie ochronnym kokonem, który miał raczej na celu chronić postronne osoby przed zobaczeniem jakiegoś nieboraka. Jeden złapał mnie za rękę, żeby zmierzyć puls, drugi zaczął mi nakładać maskę tlenową.

Usiadłem.

— Fuj — powiedziałem w oszołomieniu. — Cóż to było za obrzydliwe sushi.

Podniosłem na nich wzrok. Dave i Glenn czaili się za ich

plecami. Wypatrzyłem też twarz ochroniarza. A za automatem do gry wydało mi się, że widzę Mike'a.

Wyjaśniłem ratownikom, że od rana biegam do toalety. Powiedziałem, że dam radę wstać. Nalegali, żebym poszedł z nimi do przychodni.

Na to liczyłem.

Glenn i Dave ruszyli za nami.



Dziesięć minut później siedziałem w szpitalu znajdującym się trzy ulice dalej. Ratownicy posadzili mnie w zabiegowym i uznawszy, że nie wymagam natychmiastowej pomocy, zapowiedzieli, że niebawem zjawi się pielęgniarka. Włączyłem komputer Andy'ego do prądu. Po otwarciu ukazał mi się pulpit z Andym siedzącym na kanapie, który trzyma na kolanach czarnego kota.

Na razie byłem wolny, ale pomoc mogło mi tylko szczęście.

Czułem, jak mnie ścisza w dołku. Tym razem z emocji. Im więcej myślałem o Annie spotkanej w hotelu, tym mniej sytuacja wydawała mi się szalona. Tym mniej niepasująca do niej. Całkowite opanowanie, wyraźna manipulacja, wykalkulowany atak na ojca. Jak, do diabła, mogłem to wszystko przegapić wcześniej ! Chociaż mimo wszystko było w niej coś kuszącego. Pewno z boku wyglądałem na szczawia z liceum marzącego o dziewczynie, która wyśmiała go okrutnie w stołówce przed całą szkołą. Czy moi koledzy od początku to widzieli? Może jednak w tym należało upatrywać ratunku. Działała z niejasnych pobudek, może nawet uczciwych, tyle że niezrozumiałych dla mnie. Czułem, że moje nadzieje, chociaż wciąż żywe, bledną, obciążone poczuciem straszliwej porażki.

Niebawem drzwi się otworzyły. Weszli Dave i Glenn. Dave zamknął za sobą drzwi na zamek. Nacisnął guzik na ścianie

włączający lampkę informującą osoby na zewnątrz, że w gabinecie odbywa się badanie. Rozchylił kurtkę i błysnął paralizatorem.

— Dobra, wygraliście — powiedziałem. — Negocjujmy.

— Teraz gadasz do rzeczy — odparł Dave.



— Musicie mi powiedzieć, co jest z Erin.

— Jest agresywna i rozjuszona — powiedział Dave. — W sam raz na osobę, która pociąga za spust.

Zniecierpliwionym tonem wyjaśnił, że tuż przed wybuchem kawiarni Erin podczas swojej przerwy pracowała na komputerze. W pewnym momencie wyszła do toalety, zapaliła światło i lokal wyleciał w powietrze. Spustem okazał się włącznik światła. Ocalała, ale Simon Anderson, którego nie bardzo lubiła, nie przeżył. Policja znalazła resztki środków wybuchowych w jej mieszkaniu. Dave oczywiście przypomniał, że Erin miała już na swoim koncie okropne podpalenia. Słuchałem z przymkniętymi oczami.

— Erin nie wysadziła tej kawiarni świadomie. To wyście ją zaprogramowali. — Tknęło mnie coś jeszcze. — Siedziała przy komputerze i wyszła do toalety. Zaprogramowaliście ją. Mignęliście jej podprogowo jakiś obraz, żeby... wyszła do toalety.

— Zgadza się. Żeby umyła ręce. Podprogowe migawki brudnych rąk — powiedział Dave. — Naprawdę wierzysz w takie brednie, że komputery mogą programować ludzi?

Glenn mruknął coś pod nosem.

— Nie wierzę — powiedziałem. — Masz rację, to niemożliwe. Komputer nie może nikogo zmusić, żeby coś zrobił albo poczuł. Nigdy nie przeszedł testu węchowego. Czyli to jedna wielka bzdura.

Dave westchnął. Nie miał na to czasu.

— Chociaż raz rusz głową, nie kieruj się emocjami. Nie tak trudno to sobie wyobrazić. Klawiatura wysyła niewykrywalne impulsy elektryczne. Zakończenia nerwów są pobudzane z częstotliwością oddziałującą na ośrodki przyjemności w mózgu. Trzeba to zsynchronizować z reklamą podprogową. Prywatne obrazy — żywe, błyskawiczne, niewidzialne bombardowanie zmysłów. Kiedy siedzisz przy komputerze, skupiając wzrok i wszystkie zmysły na ekranie, dosłownie do niego przylepiony, przekazy, wzmocnione doznaniem fizycznym, docierają wprost do mózgu. Zawierają potężne sugestie, chociaż absolutnie nie decydują za człowieka.

Glenn oparł się ciężko o stół zabiegowy. Mocno zaciskał zęby. Oddychał powoli tak jak ludzie, którzy ćwiczą, jak nie stracić panowania. Zwrócił się do mnie.

— Podejrzewam, że wrażenie cię myli. Owszem, Annie żyje. Widziałeś ją. Ale reszta to nieprawda. Nie miałem z tym nic wspólnego.

— Glenn, przestań — powiedział Dave.

Glenn podniósł rękę do góry.

— Wprowadziliśmy niesamowitą innowację. Nową walutą klienta jest jego uwaga. Czy to drenaż mózgu? Nie. Posłuchaj, ludzie nadal myślą sami, ale możemy im to myślenie uprzyjemnić. Uatrakcyjnimy je. Przekształcimy handel w wysoce stymulujące doświadczenie. I tak zmierza w tym kierunku drogą naturalnej ewolucji. A myśmy to dostrzegli. Mogliśmy to stworzyć i tym samym poprowadzilibyśmy ewolucję. Mieliśmy w swoim gronie najpotężniejszych menedżerów świata. Ale, jak rany Boga, Dave... ty i Annie sięgnęliście do skrajności.

Oboje chcieli mnie zniszczyć.

Dave położył Glennowi rękę na kolanie.

— Dość już. Nie zapominaj, że niszczyłeś Annie od lat.

Dave zwrócił się do mnie.

— Zarządzam przerwę.

Podszedł bliżej, wyciągnął paralizator. Zamknąłem laptop i wręczyłem mu go.

— Nie masz żadnych dowodów. Możesz odejść — powiedział Dave. — Czekasz na dalsze dowody z mojej strony?

Spojrzałem mu głęboko w oczy.

— Chyba przeżyję bez komentarza.

Ruszył do drzwi.

— I jeszcze jedno, Nathanielu — dodał. — Musisz zapomnieć o Annie. Chyba sam się już zorientowałeś. Ona nie jest tego warta.

— Jasne. Bo nie możesz się doczekać, żeby sam się do niej dobrać.

Roześmiał się.

— Daj spokój, Nat. Przecież nie zależy ci na Annie. Niemożliwe, żebyś ją kochał. Od początku jej nie kochałeś. Tak ci się tylko zdawało. Tak sobie wyobrażałeś. Zastanów się. Zobaczysz, że mówię prawdę. Dopiero wtedy się z tym uporasz. Dobrze by było. Bo Annie Kindle jest już jedną nogą na tym świecie.

Pokręciłem głową. Nadal usiłował przeniknąć mi do mózgu. Drzwi się zamknęły.



Wyszedłem, rozejrzałem się po korytarzu. Na krześle, zatopiony w lekturze pisma, siedział Mike.

— I co? — powiedziałem.

Głęboko westchnął.

— Blackjack — powiedział. — Szykuje się piekielnie trudny podcast.

Mike zainstalował w laptopie Andy'ego program audio i

miniaturowy mikrofon. Kiedy włączało się komputer, jednocześnie nagrywał rozmowę i przekazywał ją do najbliższego odbiornika, w tym przypadku kontrolowanego przez Mike'a. W ten sposób nawet gdyby laptop uległ zniszczeniu, pozostanie zapis nagrania. Nie miałem czasu wdawać się w dalsze szczegóły.

59.

„Małpa” okazała się siedemnastometrową barką mieszkalną. Zniknęła. Nie stała na swoim miejscu na przystani w zatoce Callville. Annie już uciekła.

Patrzyłem na ogromne jezioro Mead o zmroku i zacisnąłem pięści.

— Odpłynęła pół godziny temu. Jeszcze ją widać — odezwał się czyjś głos.

Zza stanowiska wędkarskiego nadeszła Erin. Wskazywała horyzont. W oddali widać było „Małpę”, która powoli odpływa. Zacząłem przeczesywać wzrokiem przystań, ale słuchałem Erin.

— Żyjesz — powiedziała. — To już dobry początek.

— Widziałaś Annie?

— Kiedy tu przyszłam, łódź odbijała od brzegu.

Czułem, że Erin zachodzi mnie od tyłu. Jakiś mężczyzna rozebrany do pasa czyścił z resztek fauny i flory swój skif z ogromnym silnikiem na zewnątrz. Podeszedłem do niego z Erin.

— Co chcesz zrobić?

Odwróciłem się do niej.

— Wrobili cię.

— Kto?

— Podrzucili ci do mieszkania dowody. No oni — zacząłem, ale urwałem. Nie miałem odwagi jej powiedzieć, że pociągnęła za spust, że uczyniono z niej narzędzie do zdetonowania bomby. Jeszcze przyjdzie na to czas. — Wykorzystali cię. Ci sami ludzie, którzy zabili Andy'ego.

Błysk zrozumienia rozjaśnił jej twarz. Chociaż sama była ofiarą, podejrzewano ją o zabicie bliskich. Chciałem wyrazić ubolewanie i zapewnić, że niedługo odbijemy się od dna i wrócimy do domu. Ale podszedłem do półnagiego mężczyzny. Wskazałem „Małpę”. Zaproponowałem mu całą zawartość portfela, osiemdziesiąt dwa dolary, za podwiezienie.

— Policja już wie? — spytała.

— Jeszcze nie. Gdzie jest Bycze Oko?

— Zostawiłam go w hotelu. Siedział w holu, rozmawiał przez telefon z Samanthą wsłuchany w jej słowa.

Wsiadłem do swojej wodnej taksówki.

— Jadę z tobą — oznajmiła Erin, jakby nagle wstąpiła w nią energia.



Przekonałem ją, żeby zaczekała na przystani — bo następny krok muszę wykonać sam — i śmignąłem za „Małpą”. Wdrapałem się na pokład, na którym zastałem Annie siedzącą w kubryku. Wcale się nie dziwiła na mój widok. Wcześniej głowiłem się, co jej powiem, a mimo to na jej widok nie umiałem znaleźć właściwych słów. Jak wszystko mogło się tak zawalić? W końcu ona pierwsza przerwała milczenie.

— Zrozum, Żółwiku. Kochałam cię. I nadal kocham. Byłeś jedynym mężczyzną, który rozumiał mnie i moje tęsknoty.

Dawna Annie.

— Przestań. Czas wyjawić całą prawdę. Pomóż mi zrozumieć.

— Kto wie, że tu jesteś?

— Nikt.

Kłamstwo, bo zataiłem nie tylko Erin. Mike dał mi kolejny GPS do samochodu na wypadek, gdybym zaginał. Za kilkaset dolarów i odrobinę wiedzy technicznej możesz wystrychnąć CIA na dudka.

Zacząłem składać fakty razem. Może w końcu ustępowały objawy zatrucia komputerowego, mogłem więc zacząć myśleć samodzielnie. Simon Anderson nie wiadomo skąd dowiedział się, że Annie żyje. Chyba to miał na myśli Andy, mówiąc, że Simon denerwuje się o jakąś Tarę. Znowu usiłował zaszantażować ich rodzinę. Musieli zacząć działać, wyeliminować go, wraz z innymi ofiarami eksperymentów, a także zniszczyć pozostałe dowody badań laboratoryjnych. Annie i Dave działali w porozumieniu, wykorzystując koneksje Glenna, ale posunęli się dalej, niż on sobie wyobrażał. Według mnie po drodze chcieli go załatwić. SMS-em wezwała Dave'a, żeby przyjechał na konferencję menedżerów. Powiedziałem to Annie szeptem. Pokiwała głową, jakby się w pewnym sensie przyznała.

— Stali za tym ojciec i Dave — sprzeciwiła się bez przekonania. Ten temat wyraźnie ją nudził.

Podeszła, objęła mnie w pasie. Spojrzała mi w oczy.

— Dokopałam mu, prawda?

Odsunąłem ją.

— Rozczarowałam cię? — zapytała cicho ze smutkiem.

Nie poznawałem w niej dawnej zdobywczyni, zdolnej zamordować z uśmiechem. Zbyt łatwo byłoby doszukiwać się w jej zachowaniach zaburzeń osobowości wielorakiej. Bardziej przypominała odmieńca. Przybierała różne postaci, odcienie i punkty widzenia, reprezentowała na przemian światło i ciemność. Wszystkie te aspekty miały jeden wspólny mianownik — egoizm. Jeżeli Annie czegoś pragnęła, to zaraz, natychmiast.

Szczerze przyznawała się do swoich namiętności. A czego chciała teraz? Mojej pomocy w ucieczce? Nie odpowiedziałem nic, toteż zapadło milczenie. Nagle wydała mi się taka stara jak moja babcia, przybita, oplakująca śmierć dziadka.

— Nie, nie możesz takiej mnie kochać. Nie mogłeś — zawyrokowała w tonie uzalania się nad sobą. Po chwili dodała z rozdrażnieniem: — W twoich oczach byłam piękna. Odpowiedział ci seks ze mną, tak? Owszem, był wspaniały. W twoich oczach byłam mądra i dowcipna. Co to wszystko znaczy?

O dziwo, czekała na potwierdzenie. Mówiła to tonem, którym dawniej robiła mi sceny zazdrości.

— To nieprawda, Annie. Przy tobie czułem coś, czego nie czułem nigdy przedtem. I nadal to czuję — powiedziałem. — Prawdziwą miłość. Cokolwiek się stanie, cokolwiek się stało.

— Naprawdę?

Musiałem sobie przypominać, że to morderczyni. Ale kiedyś łączyła nas miłość. O nią ludzie się modlą, za nią giną. O kogoś, kto pozwoli im przeżyć te wszystkie uniesienia i głębie, jakie to uczucie ma do zaoferowania. Żeby mogli zaznać boskości, czuć się potrzebni i zrozumiani. To coś lepszego od wszelkich narkotyków. Bo dzieli się to z drugą osobą.

— Tak, przy tobie ją czułem — potwierdziłem.

Oparłem się o barierkę i zrozumiałem, co intuicja podpowiada mi od wielu godzin.

— Annie, nie byłem twoją pierwszą prawdziwą miłością, co? Byłem twoim testem beta.



Objawieniu towarzyszył szum w uszach. Lecz zaraz rozległ się też drugi dźwięk. Syreny wozów policyjnych wjeżdżających na przystań.

— Reklama podprogowa na komputerze, który dostałem w

prezencie od ciebie. Razem z biurkiem i gęsim piórem. — Podszedłem do niej. — Wgrałaś coś do tego komputera. Zaprogramowałaś mnie tak samo, jak zaprogramowałaś Erin, żeby wysadziła w powietrze kawiarnię. Tak samo jak programowałaś szczury. Manipulowałaś moimi uczuciami. Stworzyłaś neon naszej miłości. Rozdmuchałaś ją. Zrobiłaś ze mnie nałogowca.

Zamknęła oczy. Odpowiedziała cicho.

— A jak sądzisz, dlaczego nie widziałeś moich wad? To takie proste, że aż prymitywne. Podprogowa reklama, moje zdjęcia, pozytywne przekazy.

— Przekazy i zdjęcia? One stworzyły fundamenty naszego związku?

— Notowałam, co mam na sobie i co mówię w chwilach, kiedy najbardziej cię pociągałam. Zrobiłam sobie zdjęcia wysokiej rozdzielczości w tych samych ubraniach, wstrzeliłam je do twojego komputera. Pozowałam nago. Robiłam nam zdjęcia w łóżku. Tworzyłam obrazy z krótkimi podpisami takimi jak „Kocham Żółwika” lub „Annie = szczęście”, moje fotki okolicznościowe w podkoszulkach reklamujących futbolistów Denver Bronco albo zajadającej twoje ulubione potrawy. Stworzyłam plik audio z moim imieniem, który odtwarzałam ci na bardzo niskich i bardzo wysokich częstotliwościach. Sto eksperymentów. Za każdym razem, kiedy siadałeś do komputera, migały ci te obrazy. Kiedy surfowałeś po sieci, sprawdzałeś wyniki sportowe, wysyłałeś e-maile, robiłeś zakupy albo grałeś z babcią w scrabble.

Wreszcie wszystko brzmiało przekonująco. Aczkolwiek gdzieś w głębi trąciło fałszem. Ogarniałem rozumem przebieg wypadków, chociaż odczuwałem go jako dogłębny, nieunikniony atak. Walczyłem w głowie i w sercu. Wet za wet. Niewiara zmagala się z wiarą.

— Bzdury! To nie takie proste. Nie przekreślisz tego, co czuliśmy. Kochałem cię, nawet kiedy zginął ten twój przeklęty komputer. Nigdy mi tego nie odbierzesz.

Annie wzięła mnie za rękę. Odepchnąłem ją.

— Przyglądałam ci się, kiedy pracowałeś przy komputerze, i zastanawiałam się, co wolisz, czy mnie, czy moje cyfrowe wcielenie.

— Manipulowałeś mną? Liczyłem się dla ciebie tylko jako eksperyment.

Milczenie.

— Czyli również ty wgrałaś mi pięć dni temu coś na laptop?

— Nie.

— Nie?!

— Nie kazałaś mnie torturować? Nie zleciłaś tym glinom, żeby mnie torturowali?

— Dave zlecił. — Powiedziała to szeptem. — On cię nienawidził, zżerała go zazdrość. Po tej historii z kawiarnią...

— To jakiś bezsens. Dlaczego miałybyś mnie ocalić z wybuchu? Nigdy ci na mnie nie zależało. Dlaczego miałybyś mnie ratować?!

Annie opadła na kanapę. Dosłownie skoczyłem ku niej. Odsunęła się.

— Bo też mnie kochałaś — odpowiedziałem sam sobie. — Annie, nie wyobrażasz sobie, co czułem. Nie da się tego wymyślić. Ani przekształcić w postać cyfrową. Nie da się sfingować.

— Przyznaję, że przy nikim nie czułam się tak jak przy tobie — powiedziała po chwili.

— Przyznajesz?

— Kiedy się poznaliśmy, nie wierzyłam w szczerość twoich uczuć. Wątpiłam też we własne uczucia. Nie ufałam sama sobie — powiedziała. Gładko podsumowała aspekt psychiczny całej sprawy.

— Przecież to się nam, do cholery, zdarzyło naprawdę! Ty mi się zdarzyłaś. Zakochałem się w tobie od pierwszego wejścia. W twoim śmiechu, uśmiechu, twojej namiętności.

— Dlatego idealnie się nadawałaś.

— Bo mnie inspirowałaś?

— Bo jesteś w głębi duszy romantykiem. Bo potrafiłeś rzucić karierę medyczną, żeby zostać pisarzem. Bo pisałeś mi wiersze, śmieszne rymowanki. Bo wierzysz w żarliwość uczuć.

— Przestań wszystko tłumaczyć rozumowo!

Mój krzyk zakołysał łodzią.

Usłyszałem przyływ wzburzonej fali. Motorówki siedziały nam na ogonie. Policja.



Annie wstała, wybałuszyła oczy. Wybiegła drugimi drzwiami z kajuty na pokład. Skoczyłem za nią w ciemności. Stała na dziobie łodzi. Nadciągały światła policyjnej motorówki. Słyszałem głosy. Podszedłem, widziałem twarz Annie z bliska. Odwróciła się do mnie.

— Jeżeli mnie wrobią, dostanę dożywocie.

— Wrobią? Chryste Panie.

— Oni nie rozumieją — powiedziała. — Nie łapią, w czym rzecz.

— Czego nie łapią?

— Ty też jeszcze nie łapiesz. Mój ojciec jest skończony. Był płótką. Nie potrzebowałam ani jego, ani tych cennych menedżerów. Chociaż przydawali mi się. Dawali mi podstawy i środki, ale pokazałam tym obłudnikom drzwi, kiedy zrozumiałam, że ich czas minął. Nie mają zielonego pojęcia o prawdziwej istocie podłączania się, zwłaszcza o związkach mojego ojca. To zresztą niczego nie zmieni. Ludzie będą się chcieli podłączać.

Bo im to jest potrzebne. O niczym innym nie marzą. Możliwości już są w zasięgu ręki.

— Annie, to koniec.

Podeszła do barierki. Stanęła, na chwilę jakby zmięła. Przysięgam, że zobaczyłem łzę.

— Kilka miesięcy przed wyjazdem zjadłam lunch z Sarah — powiedziała, nagle przybierając racjonalny ton. — Powiedziałam jej, że gdyby cokolwiek się ze mną stało, chciałabym, żebyś był szczęśliwy. Żebyś sobie kogoś znalazł. I nadal tak myślę. Chcę, żebyś był szczęśliwy.

Uśmiechnąłem się cierpko.

— Erin wydaje mi się wspaniała. Widzisz, jak łatwo mnie zastąpiłeś?

Zamknęła oczy, lecz zaraz ponownie je otworzyła.

— Czas na mnie. Tym razem żadnych sztuczek — powiedziała. — Będziesz próbował ratować mi życie?

— Co?

— Przecież umiesz ratować życia. Mówiłeś mi to na drugiej randce. Uratujesz mnie?

Annie nie była niewrażliwa na ból. Chociaż oblekała to w różne szatki, nasze uczucia, choćby zmanipulowane, coś dla niej znaczyły. Ja coś dla niej znaczyłem.

— Masz rację — powiedziałem.

Rozległ się głos przez megafon.

— Zgasić silniki.

Policja była dosłownie tak blisko, że mogła wejść na pokład.

— Rację w jakiej sprawie?

— Nie kochałem cię. Nie umiałbym cię pokochać.

Skrzywiła się. Taki grymas widziałem na jej twarzy, kiedy ojciec powiedział jej, że będzie musiała zniknąć.

— Natychmiast wyłączyć silniki — zadudnił rozkaz.

Annie weszła na barierkę.

— Uratujesz mnie? — zapytała szeptem jak dziecko.

Słyszałem, że policjanci już wchodzą na pokład.

Złapałem ją za rękę.

— Nie zapominaj o mnie. Nie zapominaj, jak czuliśmy się ze sobą.

Spojrzała mi w oczy i skoczyła. Siła ciężkości rozerwała mój uścisk, powaliła mnie na barierkę. Kiedy Annie wpadła do wody, łypnęła na mnie okiem i młócąc wodę rękami, posłała mi uśmiech.

60.

Na łodzi wybuchła luna światel i chaos. Nadbiegli hurmą policjanci. Pokazałem im miejsce, w którym przed chwilą widziałem bąbelki. W niespełna minutę pierwszy funkcjonariusz skoczył do wody. Czyjaś ręka powstrzymała mnie od skoku, a może po prostu byłem sparaliżowany.

Obejrzałem się. Znajoma ręka. Za mną stał porucznik Aravelo.

— Śledziliśmy cię do Vegas. Ty i twoja przyjaciółka będziecie musieli sporo wyjaśnić.

— Właśnie, niegrzeczne dzieci wtrącały się w trudne sprawy — odezwał się czyjś głos.

Zobaczyłem Erin. Aravelo prychnął.

— Chcieli, żebyśmy zidentyfikowała Annie — powiedziała.

Patrzyłem w wodę i pokazywałem.

Erin objęła mnie za ramię. Po chwili zsunęła rękę po mojej ręce. Ujęła moją dłoń i zaczęła delikatnie masować mi błonę między kciukiem a palcem wskazującym.

EPILOG

W pewnej grupie ludzi istnieje przekonanie, że niezwykle piękno naszego świata dowodzi istnienia Boga. Jak bowiem inaczej wyjaśnić to, że różne aspekty przyrody tak idealnie pasują do ludzkiej radości i wygody?

Inny natomiast pogląd głosi, że ludzkość wraz ze swym otoczeniem rozwijała się przez miliony lat. Dostrzegamy oczywiście piękno świata, bo wychowaliśmy się w harmonii z nim, wpasowaliśmy się weń i jemu zawdzięczamy życie. Przyroda nie musi stanowić świadectwa boskości, lecz jest raczej swobodnym salonem, w którym nasze siedzenia wpasowują się w kanapę na całe życie.

Co jest rozrywką? Co prawdą?



Trzy miesiące po drugim zniknięciu Annie miesięcznik „American Health Journal” opublikował mój artykuł na temat podstaw naukowych fizjologicznych uzależnień od komputera. Nieświadoma lub podświadoma poezja kazała mi usiąść w kawiarni (innej niż ta, która wyleciała w powietrze) i przeczytać ostateczną wersję w druku.

TWÓJ MÓZG ZAŁĄCZNIKIEM DO EMAILA

Nat Idle

Nieliczne jak dotąd, lecz wciąż rosące dowody wskazują na to, że nasza interakcja z komputerem zmienia funkcjonowanie mózgu oraz wpływa na nasz nastrój i produktywność, niekoniecznie na lepsze.

Chociaż ta nauka jest dopiero w powijkach, wskazuje na wymierny wpływ sprzężenia zwrotnego bodziec — reakcja — które następuje, kiedy wysyłamy i otrzymujemy informacje za pomocą komputerów, telefonów komórkowych i innych urządzeń cyfrowych — na neuroprzeźwiaki.

Powyższa kwestia wypłynęła po raz pierwszy trzy miesiące temu, kiedy wybitnego venture inwestora z Doliny Krzemowej wraz z gronem współpracowników przyłapano na opracowywaniu techniki mającej na celu maksymalizację efektów stymulacyjnych komputerów. Finansistę Glenna Kindle'a czeka proces w sprawie o zabójstwo uczestników eksperymentów. Inwestor utrzymuje, że jest niewinny, i zapewnia, że jego spółka próbowała tylko zrozumieć i rozwinąć nowe metody wykorzystania komputerów.

Odpowiedź na szerzej postawione pytanie, czy interakcja mózgu z komputerem wpływa na pracę mózgu, wydaje się twierdząca, chociaż badania w tej dziedzinie są chyba na ogół wtórne. Podczas pionierskiego badania na Uniwersytecie Stanowym Michigan sporządzono mapę mózgu człowieka podczas grania w gry wideo i dowiedziono, że pobudzone mózgi graczy przypominają mózgi osób z zaburzeniami agresji kompulsywnej.

Podobno współpracownicy Glenna Kindle'a prowadzili eksperymenty na szczurach, żeby sprawdzić, czy gryznie porzucą jedzenie na rzecz pożywki dla ośrodków przyjemności, dostarczanej do mózgu za pomocą stymulacji elektrycznej, porównywalnej ze stymulacją doświadczaną przez zapamiętałych użytkowników komputera.

Bardziej chyba wymowne świadectwo potencjalnych skutków i rozpowszechnienia nałogu komputerowego ma charakter przyczynkowy. Psychologowie i terapeuci w całym kraju donoszą o wzroście liczby osób wykazujących uzależnienie od komputera i Internetu. To zjawisko — obejmujące ludzi wykazujących przymusowe zainteresowanie surfowaniem po sieci, sprawdzaniem poczty głosowej i używaniem telefonu, często jednocześnie — uznawano dotąd za przejaw wolnej woli.

W świetle aresztowania pana Kindle'a oraz Dave'a Elliotta, radcy prawnego jego spółki, zaistniała obawa, że może dochodzić do bardziej tradycyjnej formy uzależnienia. Niektórzy terapeuci zaczęli leczyć tę czynność jako przymus fizyczny, nakłaniając użytkowników bądź do pełnego odstawienia sprzętu, bądź do ograniczonej interakcji, choćby ograniczonej tylko do godzin pracy, żeby złagodzić skutki oddziaływania sprzężenia zwrotnego bodźców.

Teoria medyczna opisująca uzależnienie komputerowe niesie pewne paralele z zespołem nadpobudliwości psychoruchowej. Ustawiczna stymulacja elektroniczna podnosi poziom pewnych środków neurochemicznych. Kiedy stymulacja ustaje, organizm domaga się zwiększonej dawki owych środków. Trudno jednak dokładnie ustalić, jak technika oddziałuje i jaki wpływ wywiera na nasz mózg. Odpowiedź dodatkowo komplikuje dziwny los córki Glenna Kindle'a, Annie.

Prawnicy inwestora zapewniają, że ta młoda kobieta była mózgiem ich technologii stymulacji komputerowej. Trudno jednak potwierdzić to stwierdzenie, albowiem tuż przed aresztowaniem ojca panna Kindle znikła. Uciekając przed policją, skoczyła do jeziora Mead. Uważa się ją za zmarłą.

Również przyczynkowy charakter miało pojawienie się nowego, wedle nomenklatury terapeutów, wysypu przypadków ostrych uzależnień od komputera, mianowicie setek ludzi tak urzeczonych korzystaniem z komputera, że wkracza on we wszystkie ich dziedziny życia. Do typowych objawów tej przypadłości należy częsta, kompulsywna wielozadaniowość oraz nagła potrzeba wypełniania życia stymulacją lub rozrywką. Dotknięte nią osoby cierpią nudę z braku zajęcia, szukają zatem obiektu koncentracji, aktywności, a nawet intensywnej dyskusji, słowem pobudzenia emocjonalnego, którą zwolennicy Freuda określiliby mianem dramy.

Dziwnym zbiegiem okoliczności powyższa cecha ujawniła się niedawno wraz z pojawieniem się nowej odmiany wirusa komputerowego, który podobnie jak wiele wirusów powoduje wyskakiwanie reklamowych okienek, tyle że te obrazy działają podprogowo, bo migają na ekranie bardzo przelotnie.

Zdaniem terapeutów, jeśli użytkownicy zorientują się, że ich komputer złapał takiego wirusa, jeśli coraz rzadziej będą rozumieli, dlaczego stale ciągnie ich do tych zabawek, mogą się znaleźć pod wpływem działania sił wymykających im się spod kontroli. Specjaliści twierdzą, że wówczas jedynym środkiem zaradczym jest podjęcie walki z nałogiem.

W tym miejscu w tekście widniała ilustracja, rysunek wymyślony przez Kevina, mojego naczelnego, ukazujący tajemniczy promień cząsteczek płynących z monitora do mózgu. Roześmiałem się na głos.

— Pierwsze słyszę, żeby czasopisma medyczne zamieszczały śmieszne teksty — rozległ się kobiecy głos. Erin usiadła przy sąsiednim kawiarnianym stoliku. Miała na sobie dres, jak gdyby właśnie wróciła z przebieżki, włosy ściągnęła w koński ogon.

— Bo ciebie bawi „New York Times” — powiedziałem.

Kilka tygodni temu Erin wciągnęła mnie do wymyślonej przez siebie gry zwanej „Zgadnij przyczynę śmierci”. Czytała mi nekrolog, a ja zgadywałem, na co dana osoba umarła.

Spędzałem z Erin dużo czasu, nawet się nauczyłem doceniać jej zainteresowanie współczesnym tańcem w wolnym stylu.



Moje dolegliwości fizyczne wywołane przez komputer znikły niedługo po tym, jak przestałem używać laptop ze specjalnym oprogramowaniem. Pomogła mi Samantha, mimo że zerwałem na dłużej z akupunkturą, bo zesłała na mnie jakieś złowrogie duchowe voodoo, a Bycze Oko wspomógł moje leczenie swoją terapią holistyczną polegającą na zastosowaniu piwa w połączeniu z wielkoekranowym telewizorem.

Moje uczucia w stosunku do Annie przeszły nieuchronnie drogę od niedowierzania do gniewu, po czym przybrały mniej oczekiwaną postać. Choć przestałem mitologizować romantycznie Annie ani nie marzyłem o jej powrocie, bo nie chcę się więcej spotykać z socjopatkami, nadal zmagalem się z uczuciami, które we mnie obudziła. Jak odróżnić zdrową wersję namiętności od destrukcyjnej? Jeżeli ktoś raz poczuł taką więź, czy to prawdziwą, czy w marzeniach, jak potem może do niej nie tęsknić?

Może tak się czują alkoholicy, którzy do końca życia mają świadomość, że ten najpiękniejszy na świecie smak może ich zabić. Skąd możemy wiedzieć, czy obsesyjna pogoń na krótką metę za czymkolwiek pożądanym — pracą, zdrową żywnością, śledzeniem życia miłosnego gwiazd, a także codziennymi wiadomościami, hazardem, uprawianiem gimnastyki, czytaniem — nie odbywa się na dłuższą metę kosztem szczęścia?

Co jest prawdą, a co rozrywką? Co jest miłością?

Może inaczej to wygląda u każdego z nas, zależnie od indywidualnej przemiany uczuć i przeżyć albo po prostu od tego, w co wierzymy. Z każdym dniem staję się coraz rozsądniejszy, co pozwala mi ocenić, którzy ludzie i które doświadczenia są moją prywatną miarką jacka daniel'sa.

Nawet jeżeli następna miłość nie będzie tak wielka, może okazać się większa.

PODZIĘKOWANIA

Nie wystarczy jednego pióra, żeby powstała powieść. Niech więc w tym duchu przyjmą moje pokorne podziękowania wszyscy. A są to:

Moi rodzice. Tata — za to, że pokazał mi wielkie idee i bojaźń. Mama — za to, że nauczyła mnie patrzeć i wsłuchiwać się w ulotne chwile oraz uczucia, które liczą się najbardziej. Kocham Was oboje.

Moja wielkoduszna, niedawno poślubiona żona, Meredith Jewel (nazwisko wciąż do ustalenia), której dziękuję za cierpliwość, opanowanie, nieustanną czułość, pomysłowość, intuicję osobistą i redakcyjną, a także umiejętność unikania napałów szaleństwa oraz dostrzegania mniejszego zła.

Barney, Bob, Brad, Cheryl, Josh i Trish (w kolejności alfabetycznej) za zachętę na początku, tak mi potrzebne wsparcie, a także pomysły w kwestii fabuły i postaci, na które sam nie wpadłem.

Sara-Jane za geniusz gramatyczny (prawda, że to jakoś niepoprawnie brzmi?).

Alex, Ana i Zach, Annie Richtel, Liga Zatroskanych Kolegów,

dr Ratey, Erik, Gary, Grove, Jake, Jay, Kara, Karen, Kevin, Leah (i Twoja mama), Noel, Rick, Skol, Stacey, Susan, Syersowie, Tic i zespół lekarzy ze Stanfordu za lekturę, zachętę, zabawę, picie piwa i grę w kości (o długu pamiętam).

Gorąca czekolada i guacamole za treściwość.

Laurie Liss ze Sterling Lord Literistic, niesamowita agentka, przebojowa akuszerka książek.

Jonathan Karp (pedantyczny i błyskotliwy), redaktor i wydawca. Masz szósty zmysł. Oraz dwunasty odcinek programu Nate'a Graya, Cary Goldstein i Mari Okuda.

Pamięci Alyse Neundorf, która opromieniła świat żarliwą, namiętą miłością.

Dziękuję Wam, a także wszystkim innym, nieopatrznie zapomnianym osobom, które darzę głębokim szacunkiem za ten absolutnie zbiorowy wysiłek, a także wszystkim pisarzom, którzy byli mi natchnieniem. I jeszcze raz guacamole.

Matt Richtel